

LITERATURA W GALICJI.

LITERATURA W GALICJI

(1772—1848.)

WSTĘP Z PAMIĘTNIKÓW

WŁADYSŁAWA ZAWADZKIEGO.

ŁWÓW.

Nakładem Władysława Webera.

Z DRUKARNI WŁ. ŁOZIŃSKIEGO.

1878.

WYDZIAŁ HISTORII I ETNOLOGII

CRANE CIVIL



884(091)

ZBIORY SPECJALNE

2744

884(091) = 17/184

WYDZIAŁ HISTORII I ETNOLOGII

AKG. 3 85

KOCHANEMU BRATU

PROSPEROWI ZIMMERMANOWI

wspomnienia te poświęcam.



SPIS TRESCI

zawartej w niniejszym pamiętniku.

CZĘŚĆ PIERWSZA

(1772 — 1830)

ROZDZIAŁ I.

Wstęp — Przeszkody tamujące początkowo rozwój literatury w Galicyi — System germanizacyi — Organizacya szkół — Uniwersytet i jego profesorowie — Brak życia publicznego — Biurokracyzm — Wychowanie domowe — Jego wpływ i znaczenie — Autodydaktyzm — Drukarnie lwowskie — Księgarnie.

ROZDZIAŁ II.

Teatr — Aleksander Fredro.

ROZDZIAŁ III.

Przed rokiem 1820 niema literatury — Ignacy Lubicz Czerwiński — Ruch umysłowy budzi się — Wpływ literatury niemieckiej — Młodzież oddająca się literaturze — *Polyhymnia* — Jej powodzenie — Tymon Zaborowski — Stach z Zamiechowa — Zakład naukowy im. Ossolińskich — Jego statut i organizacya — Pierwsi dyrektorowie Zakładu — Ks. Franciszek Siarczyński — Konstanty Słotwiński.

ROZDZIAŁ IV.

Dziennikarstwo — Gazety polityczne — *Gazette de Leopol* — Gazety i pisma literackie niemieckie — Pisma literackie peryodyczne polskie — *Rozmaitości*, dodatek do *Gazety Lwowskiej* — *Pamiętnik lwowski*, wydawany przez braci Chłędowskich — *Pszczola polska* — *Pamiętnik galicyjski* — Eugenjusz Brocki i jego biblioteka — Noworoczniki kalendarzowe — *Pielgrzym lwowski* — Pisma zbiorowe — *Haliczanin* i jego znaczenie w literaturze — Walenty Chłędowski — Jan Nep. Kamiński.

CZĘŚĆ DRUGA.

(1830 — 1848)

ROZDZIAŁ V.

Trzy okresy literatury w Galicyi — Zbiory pieśni ludu — Wacław z Oleska — Zegota Pauli — Obudzony nanowo ruch literacki — Zebrania literackie u Augusta Wysockiego — Jego księgozbiór.

ROZDZIAŁ VI.

August Bielowski i jego stanowisko literackie — Plastyka w poezyi — *Wyprawa Igora na Polowców* — *Rękopis króloworski i Trąby w Dnieprze* Lucyana Siemieńskiego — *Pieśń o Henryku Pobożnym* — Stan dziejopisarstwa w Galicyi — Ks. Chodyniecki — Wizyta w bibliotece klasztornej — Belletrystyka historyczna — Powieści Jaszowskiego — Metoda porównawczo krytyczna — Bielowskiego dzieła historyczne — *Wstęp krytyczny do dziejów Polski* — *Monumenta historiae polonica* — Inne wydawnictwa.

ROZDZIAŁ VII.

Wincenty Pol — Jego autobiografia — Podróż do Wilna — Pobyt w Dreźnie — Znajomość z Adamem Mickiewiczem — Poezye — Konserwatyzm i wsteczniectwo — Pola prace naukowe i pisma prozą — Wykłady publiczne we Lwowie — Charakterystyka osobista.

ROZDZIAŁ VIII.

Ziewonia — Koryfeusze obozu literackiego — Józef Borkowski — *Prace literackie* — *Album na korzyść pogorzalców Rzeszowa* — Leszek Borkowski — *Niepowieści i Nierozprawy* — *Parafiańszczyzna* — Dominik Magnuszewski — *Obóz minorum gentium* — Stanisław Jaszowski — *Słowianin i Dniestrzanka* — Redaktor *Lwowianina* Ludwik Zieliński — Dyonizy Zubrzycki.

ROZDZIAŁ IX.

Nowa organizacja Zakładu im. Ossolińskich — Adam Kłodziński — Gwałbert Pawlikowski — *Biblioteka Zakładu* — Posiedzenia doroczne w Zakładzie — Aleksander Batowski — Stanisław Przyłęcki — Jan N. Deszkiewicz — Główny kierunek badań naukowych — Historycy — Maurycy hr. Dzieduszycki — Aleksander i Kazimierz hr. Stadniccy — Karol Szajnocha — Wagilewicz.

ROZDZIAŁ X.

Dziennik Mód paryskich Tomasza Kulezyckiego — Józef Dzierzkowski — Kornel Ujejski — Jan Dobrzański — Reforma *Dziennika Mód* — Jego tendencyjność i zasady — *Czasopismo Zakładu im. Ossolińskich*, pod redakcją Wincentego Pola — Życie towarzyskie — Wieczory literackie — Szczyśny Morawski i jego obraz historyczny — Liszt we Lwowie — Wystawa obrazów — Zakończenie.

CZEŚĆ PIERWSZA

(1772 — 1830.)

I

Wstęp — Przeszkody tamujące początkowo rozwój literatury w Galicyi — System germanizacyi — Organizaacya szkół — Uniwersytet i jego profesorowie — Brak życia publicznego — Biurokracyzm — Wychowanie domowe — Jego wpływ i znaczenie — Autodydaktyzm — Drukarnie lwowskie — Księgarnie.

Literatura nasza w ostatniem stuleciu tem się cechuje iż główne prądy jej rozwoju wedle mniej lub więcej przyjaznych okoliczności przerzucęły się, że tak powiem, z miejsca na miejsce, z jednej prowincyi w drugą i objawiały się silniej raz tu, raz tam, na przemian w prowincyach pozostających pod rządem rosyjskim, pruskim i austryackim, wedle tego, jak kiedy w której z nich tętno umysłowego życia silniej uderzyło i pomyślniej dało się pielęgnować. Warszawa, Wilno, Kraków, Poznań, Lwów, były na przemian ogniskami skupiającemi w sobie promienie życia umysłowego i potęgującemi je do pewnego stopnia w tym lub owym kierunku. Każdy taki kierunek miał swoje odrębne cechy, wyróżniał się tak wybitnie od kierunków naukowego i literackiego życia innych prowincyi — co zresztą łatwo da się tłómaczyć, będąc koniecznym skutkiem odmiennych zupełnie wpływów, pod jakimi życie to tu i owdzie się wyrabiało — iż każdy z nich bliżej uważany tworzy osobny niejako okres w sobie zamknięty i ma swe osobne dzieje, stanowiące część dziejów całej naszej literatury. W ten sposób literatura rozwijająca się w okresie bieżącego stulecia w Galicyi ma także swoje szczegółowe właściwości, swoje punkta wytyczne, swe cechy charakterystyczne, a zatem i dzieje swoje, wpłatające się w całość dziejów literatury. Jest to przedmiot zajmujący i ważny. Skreślenie monografii historycznej życia umysłowego Galicyi

przyczyni się wielce pod niejednym względem do zrozumienia i wyjaśnienia ogólnego rozwoju naszej literatury i wytkómaczy nie jeden objaw i nie jedno przejście, któremi umysłowe życie nasze ostatniego stulecia znaczyło swą drogę.

Pisać dzieje literatury nie jest mojem zadaniem. Rzeczą to uczonych badaczy. Zamiar mój o wiele skromniejszy. Nie kusząc się o pióro dziejopisarskie, chcę w szczupłej pamiętnikowej ramce zamknąć parę uwag, zawierających pobieżny pogląd na główne punkta owego rozwoju, na charakterystyczne jego kierunki, na te wreszcie, że tak powiem, pozakulisowe mało komu znane sprężyny, pobudki i wpływy nań działające, które ostatecznie sprawiły że w tym a nie innym objawił się kształcie, że tem a nie innem popłynął łożyskiem. Będzie to ilustracją rzeczy, służącą do jej uwydatnienia. Przez długi lat szereg patrzyłem z bliska na te prace, znałem wszystkich tych, co w tem krzątaniu się około podźwignienia literatury w tutejszem jej ognisku główną odgrywali rolę, i miałem nieraz sposobność poznać ich bliżej i lepiej niż ktokolwiek inny, z dala patrzący; toż chciałbym poznać z nimi moich czytelników.

Patrząc na życie umysłowe Galicyi od chwili jej przejścia pod rządy austriackie, przez pierwszych jakie lat pięćdziesiąt, widzimy przed sobą jakby pustkowie, niczem niezapełnione; doznajemy wrażenia próżni zupełnej. Nowy stan rzeczy wywołuje zupełne przeobrażenie wszystkich stosunków; społeczeństwo ulega i przetwarza się pod naciskiem tysiąca nowych wpływów — odbywa się fermentacya wyobrażeń, tendencyi, starych tradycyi z nową koniecznością — jak w retorcji za dodaniem nowych pierwiastków chemicznych, wszystko burzy się, musuje. — Raz apatya ogarnia umysły, to znowuż na przemian budzą się instynkta życia, przebierając miarę aż do lekkomyślności. Wśród tego zaś wszystkiego przez dłuższy czas ani śladu jakiejś poważniejszej pracy umysłowej, literackiej — nic zgoła, coby w tym kierunku objawiło jakąś tendencyę tej społeczności rozbolądej, apatycznej lub płaskiej, co by świadczyło, iż pojmuje ona że oświata jest podstawą pomysłności i przyszłości każdego społeczeństwa, że pojmuje i ucuwa jej potrzebę.

Przez lat przeszło pięćdziesiąt od chwili przejścia pod rządy austriackie niema Galicya żadnego ruchu umysłowego, żadnej literatury. I nie dziw zresztą. Lwów, małe wojewódzkie miasteczko, stawszy się stolicą prowincyi nie posiadał na razie żadnych zgoła warunków aby mógł być ogniskiem nauk i literatury. Nie było w nim ani tradycyi akademickich, ani Towarzystw uczonych, ani

koronowanego mecenasa i obiadów czwartkowych. Zkądże miało się wziąć życie literackie, przez nikogo nie pielęgnowane, bez żadnej z niczyjej strony inicjatywy? Długiego potrzeba było czasu nim się ono samo z siebie, naciskiem naturalnej konieczności, jak pisklę z jaja wykłuło i spotęgowało.

Dwa są źródła, z których literatura czerpie zasoby i siłę. Źródłami temi są szkoły i życie publiczne. Literatura jest niejako dalszym ciągiem wykształcenia zaczerpniętego w obu pomienionych źródłach. Szkoły dają zasadniczą podstawę dalszej pracy, której owocem bywa mniej lub więcej świetny rozwój literatury. Gdzie niema szkół dobrych, tam ubywa literaturze jeden z najpotężniejszych czynników, będący niejako jej gruntem, jej fundamentem, którego brak zastępować musi wielkim wysiłkiem pracy, dobijając się przygotowawczych rudymetów nauki, które w innym stanie rzeczy byłyby miała sobie podane w szkole. Związek ten literatury ze szkołą jest tak ścisły, a obopólny ich wpływ na siebie tak potężny, iż są one, rzec można, nierozłącznymi czynnikami, niemogącymi bez siebie rozwijać się pomyślnie inaczej jak z wielką trudnością i bardzo pomału. Dowodem tego Galicya. Literatura pozbawiona tutaj gruntu szkolnego, rozwinęła się jak kwiat wazonowy, sztucznie wypielęgnowany ciepłem kilku sere gorętszych, szlachetniejszych umysłów i pracowitszych rąk, ale jakże długiego potrzeba było czasu aby kwiat ów pierwsze wypuścił kielki i listki rozwinął! Pięćdziesiąt lat — pół wieku — zaiste przestrzeń nie mała. Życie całego pokolenia. A głównie dla tego iż brakło szkoły, zasilającej umysły młodzieży zdrowym pokarmem, i rozszerzającym widnokrąg jej wiedzy we właściwym kierunku; słowem szkoły będącej podstawą i inicjatywą prac naukowych i ruchu literackiego w kraju. Że w Galicyi nie mogło być inaczej, przekona nas krótki pogląd na system szkolny, zaprowadzony tutaj przez rządy austriackie.

Po zajęciu Galicyi mniemano w Wiedniu że należy i że łatwo będzie zgermanizować ją zupełnie i zajęto się tem systematycznie, używając ku temu rozmaitych środków. Systemu tego trzymano się stale i wytrwale od początku przez cały ciąg rządów Metternichowskich i później aż po rok 1860, w którym to roku dyplom październikowy zmienił stan rzeczy, zapewniając prowincjom pewien stopień autonomii. Wydane następnie statuta krajowe umniejszyły ją wprawdzie; zawsze wszelako rozpoczęła się odtąd era samostnego rozwoju. Nie tylko zresztą samą jedną Galicyę usiłowano zgermanizować. Był to system ogólny, przyjęty dla wszystkich pro-

winy, mający na celu zamalgamowanie ich ostateczne i przypro-
wadzenie do skutku jednolitości monarchji przez powolne a rdzenne
zatarcie wszystkich plemiennych, obyczajowych i tradycyjnych róż-
nic, dzielących pojedyncze prowincye.

Rzecz naturalna że jednym z najskuteczniejszych ku temu
środków uznano szkołę. W tę stronę zwrócono najprzód uwagę.
Wydany wnet po zajęciu Galicyi patent cesarza Józefa urządził
w tym duchu cały system szkolny i wprowadził naukę języka nie-
mieckiego i wykład niemiecki we wszystkich szkołach od najniż-
szej do najwyższych; osobne instrukcye i rozporządzenia wydane
do nauczycieli i inspektorów szkół, zaleciły osobno jeszcze jak naj-
większą troskliwość w tym kierunku i zniemczyły szkołę zupełnie.

Były dwa rodzaje szkół, niższe i wyższe. Niższe, w języku
urzędowym także ludowemi zwane, były poświęcone wyłącznie niemal
nauce języka niemieckiego. W wyższych, to jest w gimnazyach,
uczono języka łacińskiego i greckiego. Nauka pomienionych trzech
języków była wyłącznem zadaniem szkół austryackich podówczas.
Oprócz historyi austryackiej nie uczono w nich niczego więcej.
Wszystko, cokolwiek z przepisanych, acz w homeopatycznej dozie,
przedmiotów szkolnych, potrącało o inną dziedzinę wiedzy, zastoso-
wywano zawsze głównie do nauki języków i o tyle ich uczono, o
ile główny ten cel wytknięty szkole wymagał.

Szkoły ludowe były trojakiego rodzaju. Szkołki parafialne po
wsiach; te zaledwie na nazwę szkoły zasługiwały. Nauczycielem tu
był z urzędu organista lub dyak. Dzieci zbierały się na naukę
w jego pomieszkaniu. Mało gdzie bywał osobny na to budynek.
A prawdę mówiąc w onym stanie rzeczy nie był on też i bardzo
potrzebny. Dzieci bowiem zbierały się lub nie zbierały do szkoły
zupełnie dowolnie. Zależało to od dobrej woli rodziców, gorliwości
organisty czy dyaka, głównie zaś miejscowego księdza. Lecz i tu
znowuż Bogiem a prawdą wyznać potrzeba że tak czy owak
się działo, czy dzieci licznie czy nielicznie szkołę odwiedzały, oświata
powszechna mało na tem cierpiała, jako też i nie wiele w razie
gorliwości w nauce odnosiła korzyści. Bo jakaż to, pożał się Boże,
była nauka, udzielana przez ludzi niemających najmniejszych pojęć
pedagogicznych, a nawet rzec można, żadnego wykształcenia i do
tego żyjących zawsze niemal w niedostatku, mających tysiąc innych
rzeczy na głowie: służbę około kościoła, troskę o utrzymanie ro-
dziny, a najmniej szkołę. W tych szkołach wiejskich, zaledwie jak
powiedziałem na nazwę szkół zasługujących, uczono katechizmu i
syllabizowania po niemiecku, i po polsku w zachodniej przy ko-

ściołach, po starosłowiańsku w wschodniej części Galicyi przy cerkwiach, tudzież znajomości liczb i trochę spiewu kościelnego. Najcenniejsi uczniowie tych szkółek wychodzili co najwięcej na posługaczów cerkiewnych i kościelnych. To był najwyższy szczyt kariery naukowej. Na organistę potrzeba już było daleko wyższego wykształcenia. Potrzeba było liźnąć nawet łaciny. Ale włościanin galicyjski zaledwie miljonowy miał możność i chęć pójścia do wyższej szkoły, choćby tylko normalnej. Nauka udzielana w szkołkach parafialnych nie tylko nie rozbudzała pragnienia nauki i przekonania o jej potrzebie, ale przeciwnie zrażała od niej i nie mając na względzie praktycznych potrzeb włościanina, zaszczepiała w nim przekonanie o bezużyteczności wszelkiej nauki. Włościanin galicyjski pozostawał tedy ciemny pomimo szkółek parafialnych i sposobności nauczania się w nich syllabizowania po niemiecku.

Po miastach i miasteczkach były szkoły trywialne, trzyklasowe i tak zwane wzorowe normalne, czteroklasowe. Uczono w nich tylko po niemiecku. Tylko w dwóch pierwszych klasach to jest w przygotowawczej, zwanej zazwyczaj pogardliwie sztabą, (po niemiecku *Stube*, izba, ochronka a nie szkoła jeszcze) dla niskiego stopnia udzielanych w niej nauk — i w pierwszej, uczono katechizmu po polsku, elementarza polskiego i gramatyki polskiej z kilku kartek złożonej. Począwszy od klasy trzeciej cała nauka była już wyłącznie niemiecka. Katechizmu nawet uczono w języku niemieckim, podobnie rachunków. Gramatyka niemiecka obszerna, i nauka ortografii niemieckiej (*Rechtschreibung*) były głównymi przedmiotami nauki szkolnej i zajmowały cały prawie czas. Ukończony uczeń szkoły normalnej powinien był doskonale umieć po niemiecku i przechodził do gimnazjum.

Gimnazjum składało się z sześciu klas: czterech niższych i dwóch wyższych, czyli *humaniorów*, mianowicie poetyki i retoryki, tak zwanych dla tego, że w nich uczono prozody łacińskiej i prawideł oratorskich. W całym gimnazjum nie uczono nic więcej jak tylko łaciny i greki, tudzież początków matematyki, algebry, historii biblijnej i historii austryackiej. Nauk przyrodniczych nie uczono wcale — ani historii naturalnej, ani fizyki; tem mniej literatury polskiej lub dziejów powszechnych. W dwóch pierwszych klasach wykład był niemiecki — począwszy od trzeciej przeważnie już łaciński.

„Nie chcę mieć uczonych, ale potrzebuję urzędników“, wyrzekł Cesarz Franciszek I, dając w tych słowach normę systemu szkolnego,

jaki chciał mieć zaprowadzonym. Jakoż pamiętne to powiedzenie jest doskonałym wyrazem kierunku szkół ówczesnych. Sądy odbywały swe czynności urzędowe w języku łacińskim, w szkołach też uczono przeważnie łaciny. Cesarz Franciszek założył we Lwowie uniwersytet. Znajomość nauk prawnych i administracyjnych potrzebna była do wykształcenia urzędników, teologia dla dostarczenia krajowi duchowieństwa. Nowo założony uniwersytet składał się z trzech wydziałów: mianowicie prawniczego, teologicznego i filozoficznego. Ten ostatni w bardzo szczupłym zakresie obejmował wykład nauk objętych zazwyczaj zakresem szkół gimnazyalnych. Składał się z kursu dwuletniego, czyli dwóch klas, zwanych potocznie: Logiką i Fizyką, od przedmiotów, które przeważnie w jednej i drugiej wykładano. Na pierwszym roku uczono tedy psychologii i logiki, religii, filologii i matematyki, na drugim metafizyki i etyki, matematyki i fizyki. Po reformie uniwersytetów austriackich, po roku 1849 dokonanej przez ministra oświaty hr. Thuna, oba te lata włączono w system nauki gimnazjalnej, przetrworzywszy tym sposobem gimnazya dawniejsze sześcioklasowe na ośmioklasowe, których dwie klasy najwyższe objęły dawniejszy dwuroczny kurs filozoficzny uniwersytecki; wykład zaś uniwersytecki został rozszerzony i podniesiony do właściwego poziomu.

Co do wydziału prawniczego, ten miał zaraz z początku zakres o wiele rozleglejszy i obejmował lat cztery. Językiem wykładowym na uniwersytecie był język niemiecki, z wyjątkiem niektórych przedmiotów na wydziale prawniczym i na teologicznym, które wykładano po łacinie, jak prawo natury, prawo rzymskie i t. d. Wykład gramatyki polskiej i literatury, w bardzo szczupłych rozmiarach, był przedmiotem dowolnym i ograniczał się na kilku godzinach tygodniowo. Wykładał go Michalewicz, który był także jakiś czas redaktorem *Gazety Lwowskiej* i *Rozmaitości*, wychodzących przy *Gazecie* jako dodatek tygodniowy. Był to człowiek dobrych chęci, lecz miernego talentu i nie wielkiej erudycyi. Wykład jego był suchy i nie zastąpił bynajmniej tego, czem w takich nawet jak ówczesne okolicznościach mogła i powinna była być dla języka i literatury polskiej katedra tych przedmiotów na uniwersytecie lwowskim.

Wydziału medycznego nie było weale. Był tylko kurs chirurgii, bardzo niedostateczny, na którym uczono także położnictwa i okulistyki w bardzo elementarnym zakresie. Obecnie kurs ten zwinęto zupełnie, przekonawszy się długiemi doświadczeniami iż był raczej szkodliwym niż pożytecznym, dostarczał bowiem krajowi mnóstwo niedouczonych chirurgów, umiających zaledwie tyle co

pierwszy lepszy cyrulik umieć powinien, którzy pomimo tego na mocy uzyskanego dyplomu na magistra chirurgii, odgrywając rolę lekarzy po wszystkich miasteczkach prowincjonalnych, więcej ludzi dobijali niż leczyli.

Widzimy tedy że uniwersytet lwowski pomimo swej nazwy nie był uniwersytetem zupełnym, gdyż tylko wydział prawniczy i teologiczny odpowiadał poniekąd swemu zadaniu. Był to zresztą uniwersytet rdzennie niemiecki; wszystkie po większej części katedry obsadzone były Niemcami. Nietylko zatem że wykładano wszystko po niemiecku, ale i duch obcy wiał w treści wykładów i w kierunku nauki. Nie mógł więc uniwersytet lwowski wywrzeć pomysłnego wpływu na rozwój literatury; wychodzące zeń słowo nie mogło być w takim składzie rzeczy iskrą elektryczną, rozbudzającą życie umysłowe w duchu swojskim, chociaż dobór profesorów był dobry. Byli to po większej części ludzie uczeni, wywiązujący się znakomicie z swego zadania i mogący w innych stosunkach, na właściwym sobie gruncie, wielki wpływ wywrzeć na wykształcenie młodzieży i rozwój naukowy w ogóle. We Lwowie uczynić tego nie mogli. Obcy krajowi, nie znali ani języka krajowego, ani społeczności, wśród której mieli szerzyć światło umiejętności, toż promienie tego światła bladły, nie sięgając po za obręb murów uniwersyteckich; świeciły a nie ogrzewały. Do obudzenia ruchu literackiego, do wzrostu literatury, nie przyczyniły się one bynajmniej.

W gronie profesorów znajdowały się znakomitości naukowe, jak Haimberger na wydziale prawniczym, Kunzek, Mauss, Stroński, na wydziale filozoficznym. Pomędzy profesorami prawa był tylko jeden Polak, Napadjewicz. Syn chłopa, zachował rubasność i szorstkość pierwotnego wychowania, ale był dzielnym profesorem i lubianym przez swych słuchaczy, pomimo szorstkiego i surowego obchodzenia się z nimi. Na wydziale filozoficznym matematykę wykładał Kodesz, później Szulc Strasznieki, Niemiec nobilitowany z czeskim przydomkiem. Był to profesor jenjalny w swoim przedmiocie. Słuchacze bali się go jak ognia; był bowiem ostry i wymagający. Przeciwnie Kunzeka, profesora fizyki, lubiano powszechnie, znając jego dobroć i wyrozumiałość. Był to profesor oddany swemu przedmiotowi; typ uczonego, niedbającego o powierzchowność i pozory światowe. Jak bym go dziś widział przed sobą, z włosami jak runo kłaczyste, jasnobłond, zawsze bezładnie zmierzwionemi, w jasnoszafirowym, jak worek surducie, wieczystie zabelonym kredą, z którą miał do czynienia przy tablicy podczas wykładu. Wydał on kilka

podręczników, streszczających zasady fizyki według ówczesnego stanu umiejętności. Nie był to badacz samodzielny na polu umiejętności, ale profesor wyborny, wykład jego jasny i przystępny zajmował bardzo słuchaczy i zyskiwał w nich chętnych adeptów.

Profesorem historii powszechnej był Mauss, Niemiec urodzony w Szwabii, typ oryginalny w swoim rodzaju, umysł wyższy, obdarzony rozległym poglądem i bystrością, której u ludzi pozbawionych tego daru, nie zastąpi największa nawet erudycja. Mauss był perłą między profesorami uniwersytetu lwowskiego. Człowiek bardzo zajęty, kochał młodzież i troszczył się o jej wykształcenie, nawzajem od niej szanowany i kochany. Obok wielkiej erudycji, pojmował on swój przedmiot z wyższego stanowiska i starał się słuchaczom tłumaczyć ducha dziejów w jego właściwym świetle. Przed laty był on nauczycielem cesarza Ferdynanda, któremu wykładał historię, gdy ten był jeszcze wyrostkiem. Okoliczność ta, jako też i to że był Niemcem, którego przywiązanie do dynastji Habsburskiej nie mogło w żaden sposób być podejrzanem, pozwalało mu być nieraz o wiele swobodniejszym w wykładzie, niżeli którykolwiek profesor na jego miejscu byłby się odważył. Był on z przekonania zasad bardzo liberalnych, których nie zaćmiewały u niego ani nienawiści szczepowe, ani żadne inne względy. Wyznawał je zarówno w życiu potocznym jak i z katedry. Z młodzieżą lubiał fraternizować. Nieraz przyszedłszy na godzinę wykładową, zamiast wejść na katedrę, spędził ją całą na potocznej gawędce z słuchaczami. w której bywały nieraz potrącane najważniejsze kwestje dziejowe i filozoficzne, a gawędy te przynosiły młodzieży więcej korzyści, niżeli nie jeden wykład profesorski, wystudyowany z największą erudycją. Jak wszyscy zazwyczaj ludzie genialni, miał on dar uczynienia rozmowy zajmującą, łącząc z głębszą myślą oryginalny a bystry dowcip. Aforystyczne jego zdania pełne głębokiej prawdy, w potocznej formie, pobudzały umysł młodzieży do samodzielnego myślenia i rozwierały przed nią nowe sfery wyobrażeń. Nie zawsze też rozmowa toczyła się poważnie. Czasami pozwalano sobie i żartów, które profesor umiał zawsze sprowadzić na tor właściwy i we właściwych zamknąć granicach. Razu pewnego niewczesny jakiś dowcipniś położył na katedrze, przed przyściem Mausa do sali wykładowej, mysz niezwyłą; co miało być alluzją do jego nazwiska, gdyż jak wiadomo Maus znaczy po polsku mysz. Oczekiwano ciekawie jakie wrazenie wyrwie ten koncept na profesorze. Gdy wszedł Mauss i wstąpiwszy na katedrę obaczył mysz na niej położoną, zatrzymał się, wyprostowany jak zwykle, z uśmiechem na krągłutkiej, wygolonej i czer-

wonej jak jabłuszko twarzy, o siwych króciutko ostrzyżonych włosach, przetarł złote okulary, a pomyślawszy chwilę, jak to miał zwyczaj czynić gdy go jakie zdanie lub okoliczność silniej zajęła, ujął mysz i wyrzucając ją przez otwarte okno, rzekł zwracając się do audytorium:

*Ich bin der Mauss ,
Das ist die Maus ,
Der Mauss wirft die Maus
Zum Fenster hinaus.*

Dowcip tego kalemburu, polegający na podobieństwie nazwiska odpowiadającego nazwie myszy, nie da się wyrazić po polsku. Obudzili on w audytorium śmiech powszechny. Okoliczność ta drobniaczkowa, cechuje wszakże dobrze usposobienie profesora i sympatyę, jaką starał się utrzymać ze swymi słuchaczami. Mauss chociaż Niemiec, nieumiejący po polsku, interesował się wielce literaturą polską i pisywał artykuły do polskich czasopism.

Najbardziej wszakże kochany, najwięcej sympatycznego wpływu wywierał na młodzież profesor filozofii Stroński. Mąż wysokiej nauki i niezmiernej załości charakteru, przytem uprzejmy i przyjacielski w obejściu z młodzieżą, zjednał ją sobie do tego stopnia, iż słowo jego było dla niej rozkazem, a wszyscy słuchacze daliby się byli, jak to mówią, zabić za swego profesora. Jako Polak nie mógł on mieć tej swobody wykładu co Mauss i nieraz doznawał z tego powodu rozmaitych przykrości, co go wreszcie zniechęciło do tego stopnia, iż przy pierwszej sposobności ustąpił z katedry, otrzymawszy posadę dyrektora biblioteki uniwersyteckiej. Uniwersytet poniósł przez to ogromną stratę; utracił najdzielniejszego z profesorów. Strońskiemu wszakże dogodziło się, albowiem oddać się teraz mógł zupełnie naukowemu swym pracom, w otoczeniu książek, będących jego żywiołem, tak iż go zazwyczaj mółem książkowym nazywano. Dla literatury ojczystej Stroński, pomimo swej erudycyi i nieustannej pracy, nie nie działał; gdyż wykształcony na żywiole niemieckim, w niemieckiej szkole, nie wżył się w polską literaturę tak aby dla niej mógł skutecznie pracować. Obcował więcej z światem naukowym niemieckim niż polskim, jakoż praca naukowa szła mu łatwiej w języku niemieckim. Pomimo tego postanowił opracować po polsku wszystkie działy należące do zakresu filozofii i rozpoczął pisać antropologię, nad którą wiele lat pracował. Gdy dzieło było już na ukończeniu, spłonęło w pożarze uniwersytetu roku 1848 wraz z wszystkimi innymi jego rękopisami i materyałami do

dalszych dzieł przygotowanemi. — Tak jedna chwila zniszczyła pracę dziesięć lat niepowrotnie, gdyż Stroński drugiego odpisu swej antropologii nie posiadał. Opowiadał mi o tem ze łzami w oczach. Strońskiemu należy się zasługa wyratowania podówczas z ognia znacznej części biblioteki uniwersytetu, jego pieczy poruczonej. Niepomny własnego bezpieczeństwa i życia, dotrwał nieustraszony wśród szalejącego wściekle pożaru i walących się murów, dopóki ostatniej książki nie wyrzucił na ulicę. Pomimo tego wiele spłonęło, wiele rozkradzono; ale to co uratowanem zostało, on uratował, podczas gdy własne jego pomieszkание, znajdujące się w obrębie murów uniwersytetu, własna biblioteka i rękopisy zgorzały ze szczerem. Stroński został później przeniesiony ze Lwowa do Krakowa na posadę bibliotekarza akademii Jagiellońskiej.

Miejsce profesora filozofii w uniwersytecie lwowskim po ustąpieniu jego z katedry zajął prof. Hanusz, autor po niemiecku napisanego dzieła o *Mitologii Słowiańskiej*. Pomimo że za przedmiot swych badań obrał sobie Słowiańszczyznę, trzymał on się, podobnie jak wszyscy inni niemieccy profesorowie uniwersytetu lwowskiego, z daleka od wszelkiego ruchu umysłowego w kraju, tem bardziej że polskiego wcale nie znał języka. Uniwersytet lwowski nie przyczynił się tedy niczem, jak powiedzieliśmy, aż po najnowszą jego reformę w ostatniem dziesięcioleciu, do wzrostu literatury krajowej. Oprócz szkół powyżej wymienionych, były jeszcze w kilku miastach galicyjskich szkoły realne, z wykładem także niemieckim, ale nie było ani jednej szkoły wyższej technicznej. Ukończywszy szkołę realną, uczeń chcący się kształcić w jakimkolwiek zawodzie technicznym, musiał jechać na polytechnikę do Wiednia lub Pragi, co mało który był w stanie uczynić. Tym sposobem ówczesne szkoły realne galicyjskie, nie już literaturze, ale i krajowi w ogóle nie mogły przynieść pożytku.

Życia publicznego w Galicyi nie było. Wszystkie czynności koncentrowały się w biurach rządowych. System biurokratyczny był na najrozleglejszą skalę rozwinięty. Cała administracya odbywała się w języku niemieckim, sądownictwo po łacinie. Wszystkie urzędy obsadzone były obcokrajowcami. Krajowcy mieli wstęp bardzo utrudniony; jakoż i sami się nie bardzo do urzędów garnęli. Natomiast importowano Czechów. Ponieważ potrzeba było aby urzędnicy porozumiewali się przecież jakimś sposobem z mieszkańcami kraju, w którym urzędowali, przeto wydany został patent, orzekający iż od kandydatów na urzędy w Galicyi wymaga się oprócz biegłości w języku niemieckim, także znajomości języka krajowego,

lub któregokolwiek słowiańskiego. Otóż Czesi posiadali ten wymagany warunek, albowiem choć nie umieli po polsku, umieli po czesku. Czechy stały się tedy magazynem dostarczającym urzędników Galicyi. Przy znamionującej Czechów łatwości wędrowania w świat za chlebem i wypróbowanej ich wierności dla ówczesnego systemu, cała Galicya pokryła się mrowiskiem Czechów, zappełniających wszystkie biura rządowe, wszystkie urzędy, począwszy od konsyliarza aż do *Landsdragona*, rozwijającego po wsiach jednokonnym wózkiem rozporządzenia *Kreishauptmanów*.

W takim stanie rzeczy oświata, pozbawiona właściwych źródeł, szukała innego przytułku, chroniła się pod dach rodzinny i usiłowała rozwijać jak mogła u domowego ogniska. Wychowanie domowe zastąpić musiało naukę szkolną. Ale wychowanie takie było kosztowne, ulegające wielu trudnościom i zamożniejszym tylko ludziom przystępne. Z mlekiem matki wysysało dziecię zarody owych uczuć i wyobrażeń rodzinnych szlachetniejszych, które musiało później rozwijać dalej w młodzieńcu słowo nauczyciela lub własna praca. Życie rodzinne odegrało ogromną rolę w dziejach oświaty tutejszej. Było ono jej źródłem i opiekuńczym duchem. A rolę tę czynił tem trudniejszą i tem bardziej godną uznania zupełny niedostatek środków pomocniczych, brak książek podręcznych, mogących pełnić służbę pedagogiczną w domowym wychowaniu, dopomóż do pewnego systematycznego udzielania nauki. Książek takich albo wcale nie było w polskim języku, mianowicie takich, któreby obejmowały cały system nauki, lub jeżeli były, to trudno ich było dostać z rozmaitych przyczyn. Cenzura ówczesna nadzwyczaj ostra, mało w ogóle dopuszczała książek, albowiem książka polska, dla tego już tylko samego że po polsku napisana, była pod rodzajem anatemy, wzbraniającej przystępu. *Rozrywki dla dzieci* panny Tańskiej były najpożądańszem i najgłówniejszem źródłem oświaty młodego pokolenia w Galicyi. Ubiegano się o nie powszechnie i na nich to, podobnie jak na *Spiewach historycznych* Niemcewicza i kilku innych podobnego rodzaju książkach, kształciła się młodzież galicyjska od dziecka, zaczynającego pojmwować naukę i przyswajając sobie wyobrażenia, do wyrostka — a kto sam pragnął kształcić się dalej, musiał poprzestać na czytaniu książek jakie mu się nasunęły pod rękę i jakich mógł dostać. O trzymaniu się jakiegokolwiek stałego systemu trudno było myśleć w takich okolicznościach. To też całemu wychowaniu ówczesnemu, całej w ogóle oświacie społecznej, nie dostawało zasadniczej jednolitej podstawy, ułatwiającej naukę i prawidłowy jej postępek. Kiedy około roku 1820 zaczął


się budzić ruch literacki w Galicyi, wszyscy jego adepci, krzątający się około ożywienia i stworzenia literatury, cały młody zastęp literacki składał się z autodyktów, czerpiących wykształcenie po za szkołą, z rozmaitych źródeł, jak kto mógł i wiedział. Wszyscy oni w gruncie rzeczy ożywieni byli jednym duchem i jednym uczuciem, ale ileż to potrzeba było pracy i czasu nim każdy z nich, na tej żmudnej i wyosobnionej drodze, doszedł do pewnych jasno określonych pojęć naukowych i dostroił je do dyapazonu oświaty powszechnej, aby mógł pożytecznie na niwie literatury dalej pracować. Autodydaktyzm idący samopas, miewa czasem zaletę oryginalności, ale korzyść tę przypłaca stokroć gorszymi niedogodnościami. W ogóle opóźnia on postęp nauki, a częstokroć czyni ją ekscentryczną ze szkodą prawdy. Pozbawiona właściwych motorów i źródeł literatura w Galicyi, oparta na autodydaktyzmie, w początkowym swym rozwoju przedstawia najlepszą tego ilustracyę.

Rząd austriacki zastał dwie drukarnie we Lwowie. Jedną posiadało Bractwo św. Trójcy, drugą mieli OO. Jezuitci. Obie pod względem typograficznym stały bardzo nisko. Drukowało się w nich lichemi czcionkami, najwięcej rzeczy nabożnych, panegiryków, kalendarzy i t. p. Rząd potrzebował osobnej drukarni dla ogłaszania swych rozporządzeń, instrukcyi i dostarczania urzędom formularzy i rozmaitych druków podręcznych, czego wszystkiego przy wprowadzeniu nowej administracyi bardzo wiele wychodziło. Rząd potrzebował mianowicie drukarni, posiadającej czcionki niemieckie, albowiem wszystkie nowe patenta i rozporządzenia wychodziły w obu językach, w oryginale niemieckim i w przekładzie polskim. Skutkiem tego sprowadził rząd austriacki, zaraz po objęciu Galicyi, do Lwowa Niemca Pillera, który założył tutaj drukarnię, odpowiedną wymaganiom rządowym, i tytułował się Jego Ces. Król. Mości typografem gubernialnym. Znacznie później założył we Lwowie drukarnię Józef Sznajder. Dwie te drukarnie, Pillerowska i Sznajderowska, były jedynymi drukarniami tutejszemi aż po rok 1848 i wystarczały aż nadto potrzebom ówczesnego ruchu literackiego. — Obie drukarnie dawniejsze bracka i jezuicka, wkrótce istnieć przestały. Drukarnia Pillerowska, najstarsza dzisiaj we Lwowie, istnieje dotychczas, przeszedłszy z ojca na syna i wnuka. Posiada ona lejnarnię czcionek, której nie mają inne drukarnie lwowskie, zaopatrujące się czcionkami w Wiedniu lub Pradze, albo też w miejscu u Pillera. Pod względem typograficznym drukarnia Pillerowska stała zawsze wyżej od Sznajderowskiej. Żadna z nich atoli nie przyczyniła się do wzrostu literatury. Nie trudnili się Pillerowie nigdy

wydawnictwami, chociaż doszedłszy do ogromnego majątku, mogli byli pod tym względem wielkie literaturze oddać przysługi. Nie pojmowali oni swego zadania w tym kierunku. Ztąd też, pomimo że oprócz drukarni pozakładali później także księgarnie we Lwowie i na prowincyi, nie działali nie, czemby istnienie swych zakładów w dziejach rozwoju literatury upamiętnili, czemby się literaturze rzetelnie zasłużyli. Drukowali jak każda drukarnia to, co kto wydrukować polecił; ale pomiędzy własnymi ich wydawnictwami nie znajdziemy podobno nie wyższą literacką wartość posiadającego. Bywały to, co najwięcej, książki do nabożeństwa, lub inne specjalne a popłatne, np. gospodarskie, kucharskie itp. Nie dawno temu obchodził uroczyste Kornel Piller, dzisiejszy właściciel drukarni, stuletni jubileusz jej istnienia. W letnim pawilonie ogrodu miejskiego zebrało się z tego powodu grono jego znajomych, tudzież osób, pozostających w styczności z drukarnią, na ucztę jubileuszową. Był tam prezydent miasta, kilku panów Rady miejskiej, wszyscy księgarze itp.; były toasty, mowy i oklaski, słowem wszystko tym porządkiem, jako zwykle w takich razach bywa. Jubileusz przeminął, toasty przebrzmiały i zapomniano o wszystkim. Gdybyż przynajmniej z okazji tej była stuletnia drukarnia zajęła się sporządzeniem i ogłoszeniem bibliograficznego spisu druków przez ten przeciąg czasu u niej wydanych, byłaby to rzecz bardzo pożądana dla bibliografa i historyka, śledzącego dzieje literatury i drukarstwa w Galicyi. Nie było atoli nikogo, coby był o tem pomyślał, a tem mniej zajął się tą pracą, a nawet nie wiem zresztą czy drukarnia Pillerowska posiada materiały, z którychby taki dokładny katalog dał się ułożyć, gdyż o zachowanie ich nigdy się nie troszczono tak jakby należało.

Księgarnię założył we Lwowie Pfaff, także Niemiec, jak widać z nazwiska. Pfaffowie mieli księgarnię w Warszawie. Założona przez jednego z nich księgarnia lwowska była tedy poniekąd filią warszawskiej. Ztamtąd zaopatrywała się w książki i ogłoszone od czasu do czasu swe katalogi, sama tytułowała katalogami książek warszawskich, z Warszawy sprowadzanych. Około roku 1820 przybył do Lwowa Szlązak Millikowski i wspólnie z Kuhnem założył tu księgarnię pod firmą Kuhn i Millikowski. Później przeszła ona na własność samego Millikowskiego. Oprócz tego otworzył jeszcze księgarnię Karol Wild. Dwie te księgarnie, zastąpiwszy miejsce dawnej Pfaffowskiej, pomyślnie rozszerzały swą czynność, a jako jedyne przez długi czas na całą Galicyę, miały przed sobą bardzo zyskowne i wdzięczne pole działania. Millikowski zrobił wkrótce duży ma-

jątek i założył księgarnie w Tarnowie i Stanisławowie, które przez długi czas były jedynymi księgarniami prowincjonalnymi w Galicyi. Millikowski zajął w księgarstwie galicyjskiem bardzo poważne stanowisko. Księgarnia jego była ogniskiem, około którego grupowały się przez długi czas wszystkie tutejsze stosunki literackie i wydawnicze. Była ona niejako kasynem literackiem, w którym schodzili się codziennie profesorowie uniwersytetu i literaci. Później ruchliwszą stała się księgarnia Wilda, po objęciu po ojcu firmy przez dzisiejszego jej właściciela. Młody Wild rzucił się na pole wydawnicze i przez dłuższy czas bardzo był czynny w tym względzie. Był on wydawcą dzieł Szajnochy i wielu innych rzeczy znakomitych i pożytecznych. Księgarnia Millikowskiego tymczasem coraz stawała się mniej ruchliwą, poprzestając na uzyskanem z dawna rozległem kole swych stosunków. Była jeszcze trzecia księgarnia Jabłońskiego, posiadająca same książki polskie. Po śmierci pierwotnego właściciela, przeszedłszy na własność syna, nie mogła dotrzymać spółzawodnictwa z dwoma poprzedniami. Dopiero w najnowszych czasach zwiększony ruch umysłowy w kraju wywołał potrzebę większej liczby księgarń. W ostatnim lat dziesiątku założono kilka nowych w samym Lwowie, a każde niemal większe miasto powiatowe posiada już dziś księgarnię.



II

Teatr — Aleksander Fredro.

W pośród uspienia umysłowego, które opanowało Galicyę. wśród powszechnego zalewu obczyzny, przez długie lata teatr był jedynem schronieniem czystości języka i myśli narodowej, jedynem ogniskiem rozbudzającym, o ile się dało, życie umysłowe i zamiłowanie literatury. Książek mało czytano, a nie pisano wcale; ale teatr budził ciekawość, rozgrzewał uczucia i zasiewał ziarno pożytecznej myśli i szlachetniejszych popędów. Był on prawdziwym przybytkiem zachowawczym tego, co jest największym skarbem każdego społeczeństwa, mianowicie języka i obyczaju. Pod tym względem teatr dzisiejszy utracił swe dawne znaczenie, nie jest tem, czem był w owej epoce, gdy sam jeden umiał zastąpić szkołę i literaturę. Przysnąć potrzeba że teatr ówczesny dobrze pojmował swe powołanie. Dziś za chleb codzienny w teatrze lwowskim grają Offenbachyady i tańczą kankana, a sztuka poważniejsza bywa niezbędną niejako okrasą repertoarza, jako złe konieczne, bez którego się obejść nie można, chociaż nie przynosi takiego dochodu jak skandal z lubością wprowadzony na scenę. Smutno to wyznać, ale tak jest. Publiczność karmiona rozmaitego rodzaju skandalami oswoiła się z niemi, rozmiłowała w nich do tego stopnia, iż dyrekeya zmuszona starać się o pokupny towar, kankanując przed publicznością, może się słuszną poniekąd zastaniać wymówką że czyni to z potrzeby zapełnienia kasy i ochronienia się od strat, grożących jej przy przedstawieniu sztuki poważniejszej. Tak przedtem nie było. Scena wyrabia sobie publiczność. Podnosi ją lub psuje. Po jej owocach poznać ją. Scena dawniejsza uważała się za palladium skarbcza narodowego i za taką uważana była przez publiczność. Jakżeby się były zdziwiły ściany dawniejszego teatru lwowskiego

gdyby były ujrzały i usłyszały którekolwiek z najulubieńszych błazeństw dzisiejszych, wprowadzanych z takim sumptem i starannością na scenę. Byłyby zapewne nie czekając pożaru, który je zniszczył w roku 1848, zapadły się same z oburzenia i żalu. Scena ówczesna musiała rywalizować z niemiecką; nie posiadała ani baletu, ani opery, na którą przywilej służył jedynie dyrekcji teatru niemieckiego. Nie znała też przepychu wystawy, ani sztucznych bardzo maszyneryi. Gdy tańczono, to mazura lub krakowiaka w chłopskiej sukmanie; gdy zaśpiewano, to jakąś piosnkę, której każde słowo uderzało w serca iskrą elektryczną, wywołując powszechny zapał i oklaski. Losy sceny lwowskiej bywały różne. Teatr bywał czasami pusty, a stary Kamiński miewał długi, z których uwalniała go wielokrotnie ofiarność zacnych i patriotycznych obywateli, którym chodziło o utrzymanie sceny w czasach krytycznych. Nie można się wszakże dziwić że teatr bywał pusty czasami, bo też i kraj był ubogi, nawiedzony rozmaitemi kataklizmami, i w kieszeni publiki okropne bywały pustki. W ogóle jednak zamiłowanie sceny wzrastało nieustannie, a starzy artyści, ze szkoły Kamińskiego, poświęcający się gorliwie scenie lwowskiej, zbierali sobie ostatecznie kapitaliki, zapewniające im jaki taki dochód na starość. Niektórzy z nich pokupowali wioski. Publiczność lwowska lubi teatr i chętnie doń zawsze uczęszcza, z czego okazuje się jak potężną może on być dźwignią publicznej moralności i oświaty, opłacając się przytem dobrze swym przedsiębiorcom.

Teatr lubiono tutaj zawsze. Kiedy w roku 1795 przybył Bogusławski z swą trupą z Warszawy do Lwowa, zapał dla sceny posuwał się nieraz do entuzjazmu. Nie tylko sami Lwowianie zachwyceni byli teatrem, ale zjeżdżało się umyślnie dla teatru wiele gości z prowincyi. Na przedstawienie *Krakowiaków i Górali*, powtarzane wielokrotnie, zjechało się tyle osób z najdalszych okolic, pomimo że nie było w ówczas jeszcze kolei żelaznych, ułatwiających podróże, iż nie stało miejsca w domach zajezdnych dla pomieszczenia przybywających, każdy kąć przepłacano, a większa część mieściła się jak mogła po obozowemu. Zapał bywał tak wielki, iż pewnego razu na przedstawieniu w amfiteatrze letnim, urządzonym przez Bogusławskiego w ogrodzie Jabłonowskich, publiczność zajęta widowiskiem, nie uważała że przesiedziała w teatrze noc całą, aż brzask wschodzącego słońca, wychylającego się po nad drzew szczyty, okazał się na widnokregu, powitany grzmiącymi oklaskami i oświecił przepyszny amfiteatr wzgórz, otaczających we śnie pogrążone miasto. Zaiste trudno znaleźć w dziejach teatrów całego świata dru-

giego podobnego przykładu. Bogusławski przez pół piąta roku bawił we Lwowie z swą trupą, poczem powrócił do Warszawy, gdzie zaczęły się znów otwierać lepsze widoki dla sceny.

Pomiędzy zwolennikami teatru, podczas pobytu Bogusławskiego we Lwowie, znalazł się ktoś, co goręcej niż ktokolwiek inny zajmował się sceną, i całą duszą lgnął do niej. Był nim ośmnastoletni zaledwo podówczas jeszcze młodzieniec, Jan Nep. Kamiński, nieznan nikomu i niezwracający na siebie uwagi, który wszakże w przyszłości miał stać się twórcą i długoletnim kierownikiem teatru lwowskiego. Zamiłowaniem do teatru i wyższym nad rówieśnikami talentem odznaczał się on już z dziecka zaledwo wyrósłszy. Mając lat trzynaście napisał dla teatru amatorskiego sztukę, którą koledzy jego z powodzeniem odegrali. Uczęszczając do szkół we Lwowie miewał sposobność bywania w teatrze niemieckim, gdzie zamiłowanie widowisk teatralnych się w nim rozwinęło. Za przybyciem Bogusławskiego z teatrem polskim do Lwowa, zamiłowanie przeszło w entuzyazm. Ośmnastoletni wyrostek z bijącym sercem wpatrywał się w przesuwające się na scenie obrazy, połykał chciwie każde słowo, a w głowie budziły się roje myśli, snując się zawsze około jednego punktu, około sceny i ideałów sztuki. Kamiński poznał się z Bogusławskim i dostarczył mu przekładu trzech sztuk: *Drzewo Dyanny*, *Żal przed uczynkiem*, *Pustelnicy w lesie*. Znajomość z Bogusławskim i odegranie sztuk tych, zbliżywszy Kamińskiego do *sanctuarium* sceny, roznamiętniło bardziej jeszcze wyobraźnię młodzieńca w tym kierunku i rozstrzygnęło o jego powołaniu. Po wyjeździe Bogusławskiego ze Lwowa, konsyljarz Wronowski, posiadający na przedmieściu pałacyk ogrodowy w miejscu dotychczas górą Wronowskiego zwanem, zebrał grono amatorów i urządził w r. 1800 w pomienionym pałacyku formalny teatr, w którym przedstawienia regularnie się odbywały. Duszą tego teatru był młody Kamiński. On głównie się nim zajmował, urządził, dostarczał sztuk i sam grywał. Było to pierwsze jego pole, na którem miał sposobność rozwinać praktycznie swe zdolności jako pisarz sceniczny, dyrektor teatru i aktor. Trwało to jednak nie długo, niespełna lat cztery. W roku 1804 rząd kazał zamknąć teatrzyk Wronowskiego, upatrując w jego istnieniu uszczerbek dla uprzywilejowanej sceny niemieckiej, chociaż była to tylko zabawa szczupłego grona prywatnego, nie mogąca rościć sobie możności spółzawodniczenia z jakąkolwiek instytucją publiczną. Po rozwiązaniu się trupy amatorskiej pałacyku Wronowskiego, Kamiński nie opuścił już zawodu, któremu się poświęcił z całym fanatyzmem młodzieńczego

zapału. Wyjechał z trupą amatorską do Kamieńca Podolskiego, później do Odessy, zkąd po kilku leciech wędrówki wróciwszy do Lwowa, zajęty bezprzerwanie myślą utworzenia tutaj stałego teatru, tyle dokazał swemi zabiegami i usilnem staraniem, iż zniósłszy się z Bullą, dyrektorem teatru niemieckiego, wyjednał sobie u niego, jako u posiadającego wyłączny przywilej przedstawiania widowisk teatralnych we Lwowie, a za jego pośrednictwem u rządu, pozwolenie utworzenia teatru polskiego obok sceny niemieckiej. Początkowo ustąpił mu Bulla swego teatru w przerobionym na ten cel kościele pofranciszkańskim, na ośm przedstawień miesięcznie. Później wyjednał sobie Kamiński pozwolenie na dwa jeszcze przedstawienia. Scena polska miała zatem prawo dziesięciu przedstawień na miesiąc, później zaś. po przeniesieniu jej do dzisiejszego gmachu teatralnego hr. Skarbka, dodano do tego jeszcze dwa przedstawienia, tak iż bywało po dwanaście polskich przedstawień na miesiąc aż po rok 1872, w którym to roku za staraniem miasta i Wydziału krajowego fundacyę Skarbkowską uwolniono od obowiązku utrzymania teatru niemieckiego, skutkiem czego zwinięto scenę niemiecką, a dyrekcya trupy polskiej, otrzymawszy gmach teatralny do wyłącznego swego rozporządzenia, zaczęła dawać widowiska polskie codziennie.

W roku atoli 1810, gdy Kamiński otwierał swój teatr we Lwowie, brał on istną pracę Syzyfa na swe barki. Wszystko potrzeba było stworzyć samemu. Nie było nic — ani funduszków, ani aktorów, ani repertoarza. Wszystko z pod rąk się usuwało. Trudności z każdej strony nasuwały się spodziewane i niespodziewane. Potrzeba było samemu starać się o repertoarz, samemu pisać, grać i dyrygować. Kamiński sprowadził z Krakowa Bensę z żoną, jedynego rutynowanego już artystę z talentem; zresztą musiał złożyć początkowo trupę swą z dyletantów i amatorów, z których potrzeba było dopiero samemu stworzyć zastęp przyszłych artystów. Jeden też tylko Kamiński był w stanie dokonać tego zadania. Zamierzony w naukach, a zwłaszcza w studyowaniu literatury niemieckiej, zaznajomił się doskonale z nowożytną filozofią i estetyką, równie jak i z całą literaturą dramatyczną dawniejszą i nowszą, od starych Greków począwszy, po Szekspira i Szyllera, których obu wprowadził na scenę lwowską. Posiadał przytem Kamiński ów instynkt artystyczny, który nie tylko wiódł go właściwą drogą i odślaniał misterya sztuki, niedostępne ludziom pozbawionym wyższego poglądu i poczucia ideału, ale czynił go zarazem wybornym nauczycielem i dozwalał dojrzeć prawdziwe talenta w garnących się ku

niemu adeptach sceny. Kamiński wyuczył i wychował sobie cały zastęp artystów, tworzących trupę dramatyczną, jakiej kompletu najlepsze nawet nie miewają sceny. Z jego to szkoły wyszli tak znakomici, każdy w swoim rodzaju, artyści, jak Jan Nep. Nowakowski, Smochowski, Rudkiewiczowa, Kamińska, Starzewski, Rudkiewicz i inni podrzędniejsi, tworzący przez długie lata wybornie dobrany komplet teatru lwowskiego. Od roku 1810 do 1833, zatem przez lat dwadzieścia i trzy, był Kamiński nieprzerwanie dyrektorem lwowskiego teatru; że atoli nie był zarówno dobrym finansistą i jak to zazwyczaj się dzieje z uczonymi i literatami, bywał w nieustannych kłopotach pieniężnych, z których wynikała wielka nieregularność w wypłacie gaży artystom, zmuszonym czasami grywać o głodzie, a zaległości im należne z kasy teatralnej zaczęły przybierać olbrzymie rozmiary, Towarzystwo przeto postanowiło objąć na siebie administrację teatru i od r. 1833 artyści prowadzili dyrekcję sami pod wspólnem kierownictwem. Taki był stan rzeczy aż do roku 1842, w którym to czasie hr. Skarbek skończywszy budowę nowego gmachu teatralnego, wszedł w posiadanie przywileju i sam objął administrację teatru, powołując Kamińskiego na artystycznego kierownika sceny. Tu atoli Kamiński nie miał już swobodnego pola działania i musiał stosować się we wszystkim do widoków hr. Skarbka. Skarbek miał inne wyobrażenie o zadaniu sceny i powołaniu sztuki. Jakoż scena polska od czasu przeniesienia jej do nowego teatru rozpoczęła nowy okres w odmiennym od dawniejszego kierunku. Dawne towarzystwo rozbite, rozprószyło się. Niektórzy tylko jego członkowie zostali do składu nowej trupy przyjęci.

Przez ciąg lat trzydziestu pracując niestrudzenie w zamierzonym kierunku, położyło ono wielkie zasługi dla sceny, języka i oświaty w ogóle. Scena była szkołą pielęgnującą uczucia, język i obyczaj, podającą szerokiej publice myśl zdrową w szacie przystępnej zabawy, łącząc zawsze *utile dulci*. Pod światłą dyrekcją Kamińskiego, a później idąc dalej wytkniętym przezeń torem, zaznajała ona publiczność z wszystkimi kolejno kierunkami literatury zagranicznej. Była odzwierciedleniem zagranicznego ruchu dramatycznego, do którego swojski grunt przysposabiała. U brzasku budzącego się życia literackiego w Galicyi z niej to zajaśniał jak pierwszy promień słońca jenjusz Aleksandra Fredra.

Fredro był jenjuszem samorodnym. Nie przygotowywał się do pisania długoletnimi studjami — nie naśladował nikogo, ani też nie pisał według powziętego z góry planu. Brał wzory z ota-

czającego go towarzystwa, myśli nasuwały się same bezwiednie i bez mozółu. Pisał raczej dla zabawy, z humoru; ale humor ten był natchnieniem, potrzebą duszy, objawem talentu tryskającego dowcipem i nacechowanego nieraz namaszczeniem poetycznym. Po ukończeniu wojen Napoleońskich powrócił do rodzinnej zagrody młody kapitan, po sześciu latach wojaczkiej wędrówki, dosłużywszy się pomimo bardzo młodego wieku zaszczytnego stopnia zaletami cechującymi dzielnego żołnierza. Dotąd Fredro miał do czynienia tylko z orężem; o piórze myśleć czasu nie było. Za powrotem do Lwowa, żyjąc w najwyższych sferach arystokracji, do której z rodu i majątku należał, ujrzał się porwany wirem owego życia towarzyskiego, jakie tu zastał. Było to życie noszące na sobie piętno kosmopolityzmu, którem się cechuje zazwyczaj arystokracja całego świata, dopóki z poziomu arystokracji rodu i mienia nie podniesie się na stanowisko prawdziwie wyższe, arystokracji umysłowej. Towarzystwo arystokratyczne lwowskie podówczas nie mogło się niestety pochłubić tą wyższością. Prowadziło życie próżniacze, oddane zabawie, plotkarstwu i drobnym intrygom salonowym, miewającym czasami stronę bardzo komiczną. Fredro powziął myśl zrobić wierną sylwetkę tego życia i ukazać ją na scenie. Po raz pierwszy obudziła się w nim chęć autorska i napisał pierwszą komedię: *Mąż i żona*. Talent Fredra od razu tutaj objawił się pełnym źródłem. Pierwszy ten utwór dobrze przyjęty, zachęcił go do postępowania dalej po drodze zawodu komedyopisarskiego; pomimo tego przecież nie jest on jeszcze dotychczas dostatecznie oceniony. Powszechnie cenią najwyżej pomiędzy komediami Fredry *Śluby panińskie* i *Zemstę*. Zdaniem mojem *Mąż i żona* nie tylko nie ustępuje tamtym, ale posiada nawet właściwe sobie zalety, podnoszące rzeczoną komedię do najlepszych w tym rodzaju utworów. Jestto w małe, stosowne do przedmiotu ramki ujęty obraz, tak wiernie przedstawiający życie pewnej sfery towarzystwa z jego wszystkimi odcieniami, obraz w szczupłym swoim zakresie tak wszechstronnie obejmujący to wszystko z czego się składa owo życie moralnej czczości, błyskotliwe i próżne, że trudno o coś doskonalszego w tym rodzaju, o wierniejszą i z prawdziwszym humorem oddaną fotografię. *Śluby panińskie*, ów wzór salonowej komedyi, świetniejące lekkością dialogu, elegancją rysunku w nakreśleniu wprowadzonych w grę postaci, mają treść zapożyczoną i bądź co bądź nieco wymuszoną, przy nadzwyczaj misternem i wdzięcznem wycieniowaniu szczegółów. *Mąż i żona* posiada wszystkie te zalety, nie posiadając niedostatków. Osnowa sztuki wzięta wprost z życia rozwija się tu cał-

kiem naturalnie, dowcip tryska pełnem strumieniem, scena po scenie z samejże wypływa sytuacji, dialog płynie lekko wierszem potoczystym; sztuka zawiera w tendencji swojej wielką naukę moralną, jest zwierciadłem zepsucia obyczajowego, okazaniem w całej nagości owemu zepsutemu światu, aby tenże przejrzawszy się w niem przyszedł do poznania swej szpetności i podniósł się z upadku. Pierwszy tedy zaraz występ Fredra świadczył o wielkim twórczym talencie, o bystrym wzroku spostrzegawczym, o wrodzonym dowcipie, tryskającym niewymuszenie z każdego niemal słowa, z każdej sytuacji, a nadto co się rzadko zdarza u pisarzy początkowych, o instynktowem poczuciu wymagań sceny i jej efektów, która tutaj jakby u wytrawnego już znajdujemy komedyopisarza. Słowem pierwszy ten występ znamionował wielkiego pisarza polskiej scenie. Pióro Fredra było obfite, jenjusz jego posiadał bogate zasoby — komedye nowe następowały szybko jedna po drugiej i zachwycały publiczność, a autorowi coraz większą czyniły sławę. Od roku 1822 w którym pierwsza jego sztuka przedstawioną była na scenie lwowskiej, po rok 1834, w którym zamilkł dla współczesnego pokolenia, Fredro był najpłodniejszym pisarzem w Galicyi, a co więcej, jedynym może utalentowanym, którego jenjusz tworczy prześcigał powszednią miarę.

Komedye jego, tak wielce ulubione na scenie, wyszły wkrótce w pięciotomowem wydaniu w Wiedniu i rozchwycone były przez publiczność czytającą je w całym kraju równie pożądliwie. W następnych komedjach swoich wprowadził Fredro niektóre typy przedziwnie z natury schwycone. Takim był *Geldhab*, postać niezrównanie mistrzowsko nakreślona, pełna komizmu i typowej prawdy. Fredro lubiał z rzeczywistego życia brać wzory, które pod jego piórem idealizowały się i nabierały typowego znaczenia. Znałem jeszcze osoby, które zapamiętały żywego Geldhaba, unieśmiertelnionego piórem Fredra. Podobnież typem w swoim rodzaju był Radosz w *Cudzoziemczyźnie*, napisany celem wychłostania szerzącej się podówczas manji chwytania i małpowania zwyczajów zagranicznych, manji zacierającej obyczaj narodowy, zapominającej własnych tradycji ze szkodą miłości własnego kraju. *Damy i Huzary* były skarykowaną nieco, ale niemniej przepyszną, pełną dowcipu reminiscencją grona obozowych towarzyszy. *Przyjuciele*, komedya wyższego rzędu, posiada wiele dramatycznego żywiołu, a obok tego przedstawia grono komicznych typów wybornie nakreślonych z natury. Obok powyższych komedyi większego rozmiaru, których słusznie pozazdrościć nam mogą wszystkie literatury świata, chociażby

nawet chlubić się mogły swoim Molierem czy Goldonim, płynęły z pod Fredrowskiego pióra, jakby wyblęski chwilowego natchnienia, pomniejsze komedyjki, nieustępujące tamtym w swej wartości. Taki n. p. drobny obrazek jak *Odludki i poeta*, jakież to prawdziwe cacko sztuki, misternie wyrzeźbione a odpowiadające w drobnych swych ramkach wszystkim jej wymaganiom — istny brylancik naszej literatury dramatycznej, w którym jak tęcza kolorów miesza się i spływa podniosłość i rzewność myśli poetycznej z humorem pełnym naturalnej a prawdziwej komiki. Nawet *Don Kiszot* czyli *Sto szaleństw*, owa w chwili przystępu wesołej myśli z obcego gruntu przeszczepiona krotofila, jak bańka mydlana dla zabawki wydmuchnięta a tysiącem tęczyowych barw połyskująca, w nicości swojej za wzór posłużyć może jak się takie rzeczy pisać mają, aby publice parę chwil uciesznej sprawić zabawy. Prawda że i Fredrze nie zawsze służyło natchnienie, i jest kilka jego komedyj niemogących się nie tylko równać z poprzedniami, ale niemogących nawet wytrzymać krytyki niezmaconej egzaltowaniem a *tout prix* uwielbieniem autora. *Pan Jowialski* jest bądź co bądź skarykowanym utworem wymuszonego dowcipu, chociaż Fredro zapewniał że znał rzeczywiście podobnego szlachcica rozmiłowanego w przysłowiach i starał się kopiować z natury. Z tem wszystkim komedia ta, przedstawiająca niesmaczne grono błazeńskich postaci, smutne czyni wrażenie. O wiele niżej jeszcze stoi farsa nieszczęśliwie pomysłana *Gwałtu co się dzieje*, mogąca być strawnym pokarmem chyba dla najwyższych sfer paradysu, w której pomimo najlepszej chęci trudno dopatrzeć bądź to trafnych jakichś aluzji, bądź zdrowego, tak właściwego zresztą Fredrze dowcipu, czy to w pomysśle, czy w przeprowadzeniu sztuki, aby się z nią jako tako pogodzić można. Niech mi raczą przebaczyć bezwzględni wielbiciele Fredra to zdanie otwarcie wypowiedziane. *Amicus Plato*, ale prawda przedewszystkiem, chociażby za nią nawet ukamienowanym być przyszło. Ze zresztą owych parę mniej fortunnych komedyj nie było upadkiem talentu Fredra, ale tylko chwilowym brakiem natchnienia, niesłużącego na zawołanie, świadczą później już napisane i później na scenę wprowadzone komedye, liczące się do najlepszych jego utworów, mianowicie *Dożywocie* i tyle uwielbiana *Zemsta*. Już to kontuszowe postacie Fredrowskie — kreślone z nadzwyczaj wyborynym humorem i komizmem — przedstawiają przeważnie ujemną stronę dogasającego, a raczej zupełnie dziś wygasłego społeczeństwa czasów Stanisławowskich. Nie mówiąc już o kapotowym mieszczaństwie osieckim, Jowialski jest karykaturą, Orgon w *Dożywociu* gotów poświęcić dla

interesu los własnej córki przebrzydłemu sknerze, niezrównany Dyndalsio jest komicznym głuptasem, Rejent Milczek, typ w swoim rodzaju doskonale nakreślony, niktzemnym obłudnikiem, a nawet najpiękniejsza z Fredrowskich postaci kontuszowych, typ kontuszowej zacności, Cześniak Raptusiewicz, ma dobrą dozę śmieszności *con amore* uwydatnionych. Nie byłoby tutaj na swoim miejscu wdawać się w szczegółowy rozbiór dzieł Fredra. Po tem, co powiedzieli już o nim Siemieński i Lewestam, po odczytach Tarnowskiego, jakkolwiek do entuzjazmu posuwających uwielbienie dla pisarza, stanowisko jego zostało dostatecznie ocenionem i nie przypisuję sobie abym mógł coś nowego o nim powiedzieć. Słusznie nazwano Fredrę twórcą komedyi polskiej. Od Zabłockiego wyższy całym bogactwem zasobów twórczości, talentem i dowcipem, w jednym Korzeniowskim miał dotąd godnego siebie następcę. Z całego grona młodych komedyopisarzy ostatnich czasów, żaden mu nie dorównał bogactwem i oryginalnością dowcipu. Krzywdę czynią mu ci, którzy w komedjach jego upatrują naśladownictwo Moliera, i Molierowskim uczniem go mieniają. Moznaby na to odpowiedzieć słowami Bielowskiego, użytymi w wierszu o Szymonowiczu jako odpowiedź tym, którzy rzeczzonego poetę do starożytnych klasyków przyrównywali :

Na takie brednie uszy sobie zatul. . .

To Szymonowicz — nie Pindar, nie Katul.

Toż samo da się powiedzieć o Fredrze. Stworzył on u nas *komedję typu*, podobnież jak ją stworzył Molier w literaturze francuskiej. Wszakże pomiędzy nim a Molierem zresztą jest tyle tylko związku i podobieństwa, o ile jednym i wieczyście tem samym jest źródło motywów komicznych, spoczywające w przywarach i śmiesznościach rodzaju ludzkiego, z którego obadwa czerpali natchnienie do swych dzieł, i o ile takowe pod jedną formą scenicznych utworów przedstawiali. Zresztą jenjusz Fredra nie oglądał się na żadnego protoplastę. Tryskał pełnym zdrojem, mimowiednie i bez przymusu, jak wszystko co idzie z duszy, z natchnienia. U pisarzów mniejszego talentu zazwyczaj bywa cały aparat efektów tak pracowicie skomplikowany, że komplikacya ta daje się uczuwać mimowolnie widzowi i wtajemnicza go w ślad tych mozołów, jakie przebywać musiał autor tworząc swe dzieło. U Fredra nie czuć tego wszystkiego. Lotny jego dowcip płynie tak szybko i swobodnie, iż stokroć wywoła śmiech serdeczny na usta widza nim mu się

pozwole zastanowić i na zimno rzecz rozbierać. W tym dowcipie błyszczącym a jędrnym i pełnym głębokiego poglądu, w ironii chłospczącej dosadnie przywary, śmieszności i występki, podaje Fredro, jakby od niechcienia, myśl głęboką, naukę życia i obyczaju skuteczniejszą częstokroć i lepiej wdrażającą się w uczucia i przekonania niżeli pod jakąkolwiek inną formą. A nie tylko jest on wesołym i dowcipnym malarzem i satyrykiem, bywa też czasami podniosłym i rzewnym. Jest poetą nietylko z nadzwyczajnej łatwości i potoczystości wiersza, którym się wszystkie jego komedye, pisane wierszem, znamionują, ale tem wzniosłem poczuciem piękna, które go nigdy nie opuszcza; szczytnością i szlachetnością myśli, wznoszącej się w sfery prawdziwej poezyi. Nieraz łza serdeczna przebije się w uśmiechu i poruszy najtajniejsze struny uczucia. Mało znajdziemy w literaturze naszej rzeczy tak rzewnych, z tak głębokiem uczuciem skreślonych, jak jego *Dziennik wygnańca*, obejmujący w kilku kartkach całą skalę nieszczęścia, miotającego zboleiałem, sierocem sercem. A znowuż trudno o humoreskę zawierającą tyle pułstoty i śmiechu ile jego *Nieszczęścia najszcześliwszego męża*, w których przygody nowożeńca w najkomiczniejszy sposób opisał. Są to dwa podobno jedyne utwory jego prozą, którym nie dał formy dramatycznej. Co do znajomości sceny i środków wywołania zawsze pożądanego wrażenia, mało kto mógłby spółzawodniczyć z Fredrem. Tok rzeczy, sposób prowadzenia osnowy, grupowania scen, zestawienie wypadków podnoszących komiczność, jest zawsze doskonałe, swobodne. Fredro znajduje się tu na polu na wskrós sobie znajomem. Pisał on swe komedye umyślnie dla sceny lwowskiej i mocno się przedstawieniem ich interesował. Sam dawał wskazówki artystom i z nimi przeprowadzał próby, a nawet pisząc swe sztuki miał wzgląd na szczególne własności talentu aktora, dla którego tę lub ową rolę przeznaczał, i z góry już się do tego stosował. Pod jego też okiem wyuczone, były komedye jego na scenie lwowskiej przedstawiane tak doskonale, jak nigdy nigdzie podobno; był on bowiem wymagający i dopóty nie dopuścił przedstawienia, dopóki próby nie odpowiedziały zupełnie widokom autora. A miał też na scenie lwowskiej doskonałych wykonawców, artystów wielkiego jenjuszu, dla których nie żał było poświęcić pracę i poruczyć wykonanie swego dzieła. Niezrównanym przedstawicielem Geldhaba, Radosta w *Cudzoziemczyźnie*, Łatki w *Dożywociu*, Cześnika w *Zemście* był Nowakowski, podobnie jak Bensa oddawał niezrównanie trzpiotowatego Gustawa w *Ślubach panińskich*, a Smochowski Milczka Rejenta, że tu tylko tych parę najznakomitszych ról wy-

mieniem. Niezrównaną też była *Ciotunią* Kamińska, Klarą w *Ślubach pamięńskich* Starzewska a Anielą Rudkiewiczowa. Ale nietylko same główne role, miały wybornych przedstawicieli. Każda, najmniejsza nawet, była i być musiała doskonale przedstawioną, bo autor nie odstąpił dopóki wszystko na włos po jego nie poszło myśli; przedstawienie więc każdej sztuki Fredrowskiej na lwowskiej scenie tworzyło harmonijną całość, w której każdy szczegół był wedle myśli autora uwydatniony i wszystkie postacie jakby żywcem w świat rzeczywisty z wyobraźni jego przeniesione.

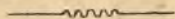
Stojąc u zenitu swej sławy Fredro raptem zamilkł, przynajmniej dla społecznej publiczności, a chociaż nie porzucił pióra, i kilkanaście jeszcze sztuk później napisał, jednakowoż zamknął szczelnie tekę i po *Zemście* żadnego już późniejszego utworu swego nie okazał światu, postanowiwszy aby to się dopiero po jego śmierci stało. Postanowienie to wywołała ostra krytyka jego komedyi, umieszczona w wychodzącym podówczas w Krakowie *Pamiętniku nauk i umiejętności*, krytyka, która do żywego dotknęła Fredrę, zwyczajonego do samych tylko hołdów i uwielbień. Pochodziła ona z pióra Seweryna Goszczyńskiego, który zapatrując się na dzieła Fredra z wyłącznego stanowiska, zarzucił mu, że pomijając żywioły narodowe przedstawiał najczęściej świat salonowy, z niego czerpał treść i wzory; przez co komedye jego techną kospolityzmem nie posiadają cechy narodowej. Nie wchodzimy czy krytyka miała po sobie słuszność, czy się z właściwego zapatrywała stanowiska i nie myliła w ocenieniu, czy nie była za nadto ostrą i stronniczą, dosyć że tak ubodła dumę Fredra, iż postanowił póki żyje nie puścić w świat żadnego z swych późniejszych utworów i z nieprzełamanym uporem dotrzymał postanowienia. Arystokrata pióra i rodu, śmiertelnie urażony iż znalazł się ktoś, co śmiał go zganić ostro i bez ceremonii, nie chciał narażać się na pociski ponowne podobnej krytyki i sy-pać perły jenjuszowi przed argusowy gmin recenzentów. Znaleźli się tacy, co surowo wyrzucali Goszczyńskiemu jego krytykę, skutkiem której ze szkodą literatury zamilkł wielki pisarz. Mojem zdaniem niesłusznie jest karcieć krytykę za to, co było wynikiem posuniętego do ostatecznych granic uporu autorskiego, lub jakiegokolwiek powodów raczej, niż winą krytyki, pełniącej koniec końców tylko swoją powinność. Krytyka może być słuszną lub niesłuszną, za nadto surową lub nieznaną się na rzeczy, taką lub owaką, wolno z nią waleczyć, odeprzeć niesłuszne pociski; ale uszanujmy jej prawa — nie pozbawiajmy jej wolności mówienia.

Niesłusznie uczynił Fredro że zamilkł; że za jeden głos który się ozwał przeciw niemu, uczynił niejako odpowiedzialnem całe społeczne pokolenie i postanowił ukarać je swem milczeniem. Mojem zdaniem głos ów pojedynczy nie powinien go być dotknąć do tego stopnia w obec powszechnej sympaty i hołdów, które nieprzerwanie do śmierci zewsząd odbierał: W roku 1864 zawiązał się we Lwowie na wniosek Adama Miłaszewskiego, ówczesnego dyrektora teatru, komitet pod przewodnictwem Wincentego Pola i generała Załuskiego, celem wybitia medalu na cześć jego ze składek publicznych, jako wyraz publicznego hołdu. Akademia umiejętności mianowała go swym członkiem, a dzieje literatury zapisały imię jego w poczet najznakomitszych pisarzy bieżącego stulecia.

Fredro żył daleko od świata i ruchu literackiego, nie wywierając nań żadnego osobistego wpływu. Trzymał się zawsze w odosobnieniu, w sferze swojego towarzystwa. Po za tą sferą mało kto miał przystęp do niego, z czego tłómaczył się po części dolegliwościami, na które w późniejszym zwłaszcza wieku często zapadał. Do deputacyi, wręczającej mu medal na cześć jego wybity, powiedział:

— Mógłbym — powinienem był na polu piśmiennictwa więcej działać — wyznaję, żałuję... Teraz już za późno.

Słowami temi scharakteryzował najlepiej sam swój zawód literacki. Wszystko co napisał wyszło z natchnienia, było owocem nie pracy mozolnej, ale wrodzonego zmysłu spostrzegawczego i artystycznego poczucia.



III

Przed rokiem 1820 niema literatury -- Ignacy Lubicz Czerwiński -- Ruch umysłowy budzi się -- Wpływ literatury niemieckiej -- Młodzież oddająca się literaturze -- Polyhymnia -- Jej powodzenie -- Tymon Zaborowski -- Stach z Zamiechowa -- Zakład naukowy im. Ossolińskich -- Jego statut i organizacya -- Pierwsi dyrektorowie Zakładu -- Ks. Franciszek Siarczyński -- Konstany Słotwiński.

Widzieliśmy, że teatr był przez długi lat szereg jedynym światlejszym punktem galicyjskiego życia umysłowego. To co było w Galicyi przed rokiem 1820, nie może się nazwać literaturą. Wyszła tam wprawdzie czasami jakaś książka treści literackiej, jak n. p. Antoniny Bratkowskiej *Uczucia y igraszki*, wydana we Lwowie 1801, ale wszystko to nie miało żadnej wartości literackiej; nie było jeszcze literaturą. Wszystko też to poszło w niepamięć, nie zostawiwszy śladu po sobie. Jedynym czynniejszym pisarzem owej epoki, lubo nie posiadającym wyższego talentu twórczego, zamiłowanym wszakże w naukach, który wiele pisał i wiele stosunkowo wydał rzeczy rozmaitej treści i rozmaitej wartości, w przeciągu czasu od r. 1811 do 1818 był Ignacy Lubicz Czerwiński, dziś już zupełnie zapomniany. W swoim czasie atoli pisma jego nie były bez wartości, starał się im bowiem nadać zawsze cel praktyczny. Był to pisarz tendencyjno-popularny, jak z treści pism jego poniżej obaczymy. Popularnym nazywam go dla tego, iż mając zawsze na uwadze potrzeby społeczeństwa, jego przywary i niedostatki, dobierał stosownie do tego treść pism swoich, i w sposób przystępny starał się oświecać i poprawiać. Z powołania był prawnikiem ale oprócz książek prawniczych pisał w różnym za-

wodzie. Był w dziełach swoich naprzemian moralistą, pedagogiem, etnografem, historykiem. Żył jak mól pogrążony w pracach literacko-kompilacyjnych, należąc do rzędu tego rodzaju entuzjastów, sfanatyzowanych dla przedmiotu pracy swej, co po za jej obrębem nic nie widzą i wyobrażają sobie skutki jej o wiele większemi niżeli są rzeczywiście.

Z dzieł Czerwińskiego najwięcej literackiej wartości posiada opisanie życia, zwyczajów i obyczajów ludu w okolicach podkarpackich, wydane we Lwowie r. 1811 u Sznajdera pod tytułem: *Okolica Zadniestrska, między Stryjem i Łomnicą*. Książka ta zapomniana i nadzwyczaj już dzisiaj rzadka, zawiera wiele szczegółów ciekawych dla etnografa, podając wierny obraz ludności, którą opisuje. Czerwiński znał dobrze tę ludność, wtajemniczył się w jej życie i opisuje z natury. Dzieło jego posiada zatem warunki wiernego wizerunku i godne jest przeczytania. Z prac literackiej natury wydał jeszcze w roku 1816: *Rys dziejów kultury i oświecenia narodu polskiego od wieku X do XVII* w dwóch tomach. Dzieło równie zapomniane, jak wszystkie zresztą dziś pisma Czerwińskiego. Było kompilacją, niemającą wartości badania źródłowego.

Inne prace Czerwińskiego ogłoszone drukiem, były następujące: „Prawa y zasady rządu wiejskiego, czyli pewne przepisy albo środki ku zaprowadzeniu do Dóbr wiejskich takiego rządu i porządku, któreby panom i urzędnikom przypominały obowiązki 1812.“ „Skazówka listowa, czyli Nauka o listach dla dzieci 1812.“ „Katechizm wiejski dla dzieci stanu rolniczego, tudzież początki gospodarstwa, przyczyny chorób, oraz środki ustrzeżenia się od nich. 1813.“ „Adwokat i nowy kolega, czyli Rozprawa o przyczynach upadku sławy w tymże urzędzie 1813.“ „Uwagi rozumu i ludzkości nad fałszem i ciemnotą zabobonów, gusłów. 1817. Sposób szczęśliwego pożycia między mężem y żoną. 1817.“ „Syn cnotliwy, czyli nauki jego do końca władzy oycowskiej. 1817.“ Wszystkie powyższe pisma wyszły w Przemyślu, u Jana Gołębiowskiego. Późniejsze drukował już we Lwowie. Tu u Sznajdera wydał: „Panicz wojażer czyli co wprzody umieć i wiedzieć powinien, nim w zagranicznych podróżach dalszego wykształcenia szukać będzie. 1821.“ „Przewodnik testatora — Jak y o czym testamenta pisać się powinny“, w dwóch tomach.

Czerwiński był płodnym pisarzem; ale pisma jego, jakkolwiek mogły być pożyteczne w swym czasie, nie wywołały ruchu umysłowego w kraju, nie wskrzesiły literatury, nie posiadał bowiem potrzebnego na to geniuszu twórczego i potęgi pióra.

W roku 1817 odbyła się inauguracja uniwersytetu lwowskiego założonego przez Cesarza Franciszka I, głównie, jak widzieliśmy, w celu dostarczania rządowi biegłych w nauce prawa urzędników. Chociaż uniwersytet był niemiecki i miał przeważnie Niemców profesorów, zaczem nie mógł wywrzeć bezpośredniego na literaturę polską wpływu, obudził on wszelako między młodzieżą garnącą się do uniwersytetu nowy ruch umysłowy, którego następstwa nie były bez skutku na obudzenie się życia literackiego. Ruch ten między młodzieżą rozwijał się coraz żywiej; chęć kształcenia się i próbowania talentów swych na polu literackiem wzrastała coraz bardziej. Na kierunek wykształcenia młodzieży garnącej się do literatury, największy wpływ wywarła literatura niemiecka. Na uniwersytecie osłuchiowano się z filozofią Kanta, będącą podówczas u szczytu swej wziętości, Szyller i Goethe zapalali umysły, do czego znakomicie przyczynił się Kamiński, który nie przestawał zwracać uwagi na piękności literatury niemieckiej, i arcydzieła jej przedstawiał na scenie, głównie zaś dramata Szyllera, którego sam był wzorowym tłumaczem. Jego tłumaczenie *Dzwona* uważane było za arcydzieło przekładu. Kamiński przedstawiał go na scenie rozłożwszy na dyalog, deklamowany z akompanjamentem zastosowanych do treści poematu żywych obrazów. Za przykładem Kamińskiego garnęła się tedy młodzież do literatury niemieckiej i każdy zaczynał karierę literacką od tłumaczenia ballad, pieśni, dramatów, czy to Szyllerowskich, czyli też innych romantyków nowożytnych, głównie niemieckich. W ówczas to jeszcze powziął Bielowski pierwszą myśl przełożenia *Fausta* Goethego, którą tylko w części później dokonał. Obok autorów niemieckich Bajron i Szekspir byli również przedmiotem powszechnego zajęcia w kółkach literackich lwowskiej młodzieży, a kiedy pojawiły się pierwsze tomiki poezji Mickiewicza, jego *Wallenrod* i *Dziady*, entuzjazm z jakim pochwycono te utwory napiętnowane cechą jenuiszu, tak odmienną i o całe niebo wyższą od tego wszystkiego co poezya nasza przedtem posiadała, entuzjazm, powiadam, nie miał granic, a poezye Mickiewicza, w których dopatrywano także wpływu Szyllera i Goethego, podniosły jeszcze bardziej znaczenie i wpływ literatury niemieckiej. Słowem ruch literacki rozwijał się coraz bardziej, ożywiał wszechstronnie. Młodzież miewała swe zebrania literackie, na których rozprawiano nad przedmiotami naukowemi, odczytywano nowe książki lub własne utwory, rozbierano takowe, udzielano sobie wzajemnie pomysłów i rozmaitych projektów literackich. Chciano wstępować w szranki spółzawodnicze z Warszawą, w której życie

literackie świetnie się rozwijało, z tą różnicą, że gdy tam pannał jeszcze wszechwładnie poważny a sztywny klasycyzm, a literaturę pielegnowały znakomitości ustalonej sławy, stojące u szczytu hierarchii towarzyskiej, jak Koźmian, Staszic i inni, we Lwowie około rozżarzenia ogniska oświaty swojskiej krzątała się garstka młodzieży, o gorącym uczuciu a nieznanym imionach, pełnej wiary w przyszłość i tą wiarą silnej a postępującej w kierunku wbrew przeciwnym tamtemu, w kierunku nowo budzącego się romantyzmu. August Bielowski w *Wspomnieniu pośmiertnem o Józefie Borkowskim* umieszczonem w *Albumie na korzyść pogorzalców Rzeszowa*, skreślił obrazek życia i prac literackich owego grona młodzieży, do którego sam należał. Rzecz naturalna, że cały ten zastęp młodych pracowników zachwycał się nadewszystko poezją, bo to już leży w naturze młodości i od poezyi zaczynały się zawsze wszystkie literatury, poezją karmiły wszystkie młode pokolenia. W niej leży potęga ogrzewająca i nadająca hart duszy na późniejszy wiek męski, czy to pojedynczym ludziom, czy całym narodom, i źle jest tak z człowiekiem jak i społeczeństwem, któremu młodość przemienie bez szału i ciepła poezyi. W gronie tedy, oddającej się literaturze młodzieży ówczesnej, najwięcej adeptów liczyła poezya. Próbowali sił swoich bądź to w utworach oryginalnych, bądź w przekładach. Najwięcej utalentowani byli Klemens Bogucki, którego wiersze rokowały mu piękną autorską przyszłość. Baltazar Zbrozek tłómaczył udatnie Szyllera i innych poetów niemieckich, Kikiewicz pisał ody w kształcie Horacyuszowych, znamionujące prawdziwy talent, Szymański pozostawił poezye świadczące o oryginalnym i podniosłym talencie, które we dwadzieścia lat później odszukał Wincenty Pol i kilka wydrukował, Ludwik Nabelak przełożył wierszem białym *Rekopis króloworski*, przełożony później wierszem rymowym przez Lucyana Siemieńskiego. Przekład Nabelaka i niektóre z jego poezyi oryginalnych wyszły w *Haliczaninie* wydanym przez Walentego Chłędowskiego. January Poźniak pisał udatne piosnki i wiersze liryczne, Kazimierz Józef Turowski wydał także tomik poezyi. Starszy od nich wszystkich August Kretowicz wyrobił sobie już był wówczas w kołach lwowskich imię poety, uważany jako powaga na tem polu. Pisywał najrozmaitsze rzeczy aż do noworocznych powinszowań i karmelkowych epigrammatów na obstalunek. Jeżeli posiadał rzeczywiście talent, to go zmarnował w najnędzniejszy sposób. Wydał poemat opisowe *Puławy*, w którym chciał wskrzesić muzę Trębeckiego.

Umarł młodo, w niedostatku i ze steranem zdrowiem, pomimo że miał posadę urzędową dającą mu pewne i dostatnie utrzymanie.

Z całego tego zastępu młodzieży tak żywo krzątającej się około literatury, zaledwo kilku zostało wiernymi jej służbie i zapisało swe imię na karcie jej dziejów, jak Bielowski, lub Siemieński. Innych imiona rozprószyły się w biegu czasu i zgasły zapomniane, jak jednodniówki błędem przez chwilę migocące światłem. Jednych śmierć młodo zabrała, jak Boguckiego, Zbrożka, Szymańskiego. Inni powołani do rozmaitych praktycznych zawodów życia przestali uważać literaturę jako przedmiot wyłącznego zajęcia, mając inną drogę i inny cel przed sobą, jak Poźniak, który porzuciwszy towarzystwo Appolina i muz dziewięciu, ujął szale Temidy i jest obecnie radcą apelacyjnym, bardzo poważnym i poważanym. Turowski, późniejszy wydawca *Biblioteki Polskiej*, złożonej z przedruków dzieł znakomitych naszych pisarzy dawniejszych, gdy mu się wydawnictwo to, kilkakroć przerywane i na nowo w rozmaity sposób podejmowane, nie wiodło, smutnie bardzo zakończył sterany żywot w późnej starości.

W owym czasie, kiedy poezya żywo zajmowała umysły, wydał Juliusz Szczepański, nauczyciel języka polskiego *Polyhymnię* czyli *Piękności poezyi polskiej*. Zbiór ten wydany nakładem J. Milikowskiego w sześciu tomach, zawierał wyjątki z najznakomitszych poetów i odpowiadał powszechnemu kierunkowi, był poniekąd odzwierciedleniem i wyrazem umysłowego prądu czasu. Była to chwila, w której poezya nasza wstępowała w najświetniejszy swój okres, inaugurowana jeniuszem Mickiewicza, a wybór uczyniony przez wydawcę był tak dobry, iż mógłby służyć za wzór tego rodzaju antologiom. Jakoż *Polyhymnia* przyjęta była z powszechnym zapałem i znajdowała się w każdym niemal domu. Przyczyniła się ona wielce do rozpowszechnienia znajomości najcelniejszych naszych poetów w szerokich kołach publiczności, zwracając umysły ku szczytniejszym sferom ideału, wzbudzając zamiłowanie poezyi a zarazem literatury w ogóle. W tym względzie spełniła *Polyhymnia* bardzo pożyteczne zadanie. Mieściła ona obok poetów nowszych, romantyków nowej szkoły, także dawniejsze klasycznej piękności utwory. Cały jeden tom zajmowały wyjątki z poezyi Mickiewicza. Dzisiaj *Polyhymnię* można zaliczyć do rzadkości bibliograficznych, gdyż całe wydanie bardzo szybko zostało wyczerpane i żadna z późniejszych antologii nie dorównała jej ani powodzeniem, ani wartością, żadna zwłaszcza nie była tak w porę obmyślana, tak odpowiedna potrzebie chwili.

W *Polyhymnii* znalazła czytająca publiczność wyjątki z poematu Tymona Zaborowskiego, którego treścią było *Zdobycie Kijowa przez Bolesława Chrobrego*. Zaborowski urodzony w Galicyi w Laszkowcach nad Zbruczem, tutaj przepędził większą część młodości, w pięknej okolicy puszczy Miodoborskich, które ukochał, niejedną chwilę natchnienia im zawdzięczając, i tutaj przedwczesnie skończył żywot w nurtach Zbrucza. W plejadzie młodych poetów onej epoki gwiazda talentu Zaborowskiego pięknie świetnieć zaczęła. Jego *Dumy Podolskie* wyszły w Puławach. Było w nich wiele poetycznego ognia obok rzewnej melancholii i właściwego kolorytu. *Bolesław Chrobry*, z którego wyjątki umieszczone były w *Polyhymnii*, był na szeroki zakrój pomyślaną epopeją bohaterką, pełną podniosłej myśli, owianą duchem nowożytnego romantyzmu. Zaborowski był rzeczy można poetą przechodowym. Forma zewnętrzna, tok wiersza, sposób dykeyi miał u niego wszystkie jeszcze zalety i powagę klasyczną, podczas gdy w samejże kompozycyi, w osnowie przedmiotu i przeprowadzeniu szczegółów wiał duch ekscentryzmu romantycznego, połączony z ogniem i siłą, jakiej nie posiadał poważny klasycyzm. Gdyby nie śmierć przedwczesna w zaraniu młodości, byłby Zaborowski niezawodnie w dziejach naszej literatury zajął znakomite w rzędzie poetów miejsce.

Sąsiadem i przyjacielem Tymona Zaborowskiego był Stanisław Doliwa Starzyński, Anakreon polski, śpiewak pełnych wdzięku i wesołości piosnek, pod przybranem nazwiskiem Stacha z Zamiechowa. Piosnki te chwytane z ust do ust, rozchodziły się po całej Polsce i nie było domu, nie było zabawy ażeby ich nie śpiewały panienki przy fortepianie, lub młodzież w chwilach hulaszcejszej wesołości. Bo już to nie wszystkie piosnki Stacha z Zamiechowa były dla pańienek komponowane. Stach z Zamiechowa był sobie hulaką wesołym. wychowanym w atmosferze zaprawionej powiewem Wolteryzmu; przenosił dowcip nad konwenanse towarzyskie, a lekka jego piosnka, poczciwa i serdeczna w gruncie, tryskająca zawsze dowcipem i wesołością, nie oglądała się zbyt pedantycznie na surowe przepisy moralności. Przełożył on tragedję Grillparzera *Die Ahnfrau*, czyli właściwie naśladował spolszczywszy nazwiska osób i dał tytuł *Matka rodu Dobratyńskich*. Przekład ten z powodu właściwej Starzyńskiemu płynności wiersza wielkie miewał powodzenie na scenie, jeżeli był dobrze deklamowany. Starzyński nie może się właściwie liczyć do poetów galicyjskich. Wspominam tu jednak o nim z okazji przyjaźni jego z Tymonem Zaborowskim z powodu, że piosnki jego, chociaż nigdzie nie drukowane, rozpo-

wszechnione były bardzo w swoim czasie w Galicyi, że jego *Matka rodu Dobratyńskich* wielokrotnie przedstawiona na scenie lwowskiej, przyjmowana była przez długie czasy z uniesieniem przez publiczność tutejszą, głównie z powodu świetnej deklamacyi Smochowskiego w roli Jaromira, że tutaj później drukiem ogłoszona została, i że wreszcie tutaj zakończył żywot w późnej starości, ów niegdyś wesoły i wiecznie młodzieńczy spiewak Zamiechowski, zamieszkawszy na starość w pobliżu Lwowa w sławnym z czerechowych sadów Kleparowie. Szkoda że dotychczas nikt się nie zajął zebraniem i wydaniem poezye Starzyńskiego. Parę jego piosnek wyszło w Warszawie w r. 1831. We Lwowie zamierzył był wydać już po śmierci autora wszystkie jego poezyi Antoni Kozieradzki, lecz wydany przez niego tom I zawiera tylko *Matkę rodu Dobratyńskich*. Śmierć wydawcy przerwała dalsze wydawnictwo. Przed dwoma laty umieścił kilka piosnek Starzyńskiego wychodzący we Lwowie *Ruch Literacki*.

W epoce, o której mówimy, utworzoną została we Lwowie instytucya wysokiego naukowego znaczenia, mająca z przeznaczenia swego stać na czele umysłowego kierunku kraju. Taka była myśl dostojnego jej założyciela. Józef Maxymilian Ossoliński, uczony, historyk i bibliograf, dyrektor biblioteki nadwornej wiedeńskiej, mający wielkie u cesarza austriackiego Franciszka I zachowanie, powziął zamiar utworzenia wielkiego księgozbioru i oddania go na użytek publiczny, wyjednaawszy zezwolenie monarchy. Pierwotnie miał Ossoliński zamiar umieszczenia zakładu swego w Zamościu i połączenia go z ordynacją Zamojską. Później gdy Zamość odłączony został znowu od Galicyi a przyłączony do królestwa polskiego, Ossoliński wybrał ostatecznie Lwów, jako stolicę Galicyi, pozostającej pod rządem austriackim, na umieszczenie nowo utworzyć się mającego zakładu naukowego, a chcąc mu trwały byt zapewnić, wszedł w układ z księciem Henrykiem Lubomirskim, właścicielem Przeworska, aby zakład rzeczony wiecześnie z ordynacją przeworską połączyć. W tej myśli ułożony statut otrzymał w roku 1817 potwierdzenie rządu. Statut ten jest tak gruntownie i dobrze obmyślany, iż może służyć za wzór przeczności o zapewnienie zakładowi pomyślnego wzrostu i zabezpieczenie jego bytu. Ossoliński zapisał na utrzymanie zakładu, mającego nosić nazwę Zakładu narodowego imienia Ossolińskich, znaczne dobra i już od r. 1790 zajmował się gorliwie gromadzeniem księgozbioru. Głównem ku temu źródłem były dlań biblioteki klasztorne zniesionych przez cesarza Józefa zakonów w Galicyi. Biblioteki te posiadały z da-

wien wiele nader cennych ksiąg i rękopisów, na których wartości nie umieli się poznać zakonnicy. Po większej części sprzedawano je po zniesieniu klasztorów przez publiczną licytację. Ale i pozostałe klasztory posiadały również biblioteki, w których pod stosami pyłu, pokrywającego foliantowe kodeksy, najczęściej nie wiedziano co się znajduje. Ossoliński, namiętny zbieracz i znawca, nie szczędził ani kosztu, ani też osobistego trudu, aby powyszukiwać i nabyć wszystko, cokolwiek znakomitszą wartość bibliograficzną lub naukową posiadało. Pomocny był mu w tem uczony Linde, autor *Słownika*, który wiele lat spędził przy Ossolińskim. Ossoliński osobiście zwiedzał biblioteki klasztorne, do których jako dyrektor biblioteki nadwornej ułatwiony miał przystęp, przeglądał szczegółowo i nabywał co się dało. Mówią o nim, że używał najrozmaitszych sposobów, byle tylko rzecz cenną, jeśli się zdarzyła, wydobyć z klasztornej więzienia do swego księgozbioru, na użytek naukowemu światu. Również ze zbiorów prywatnych skupował co się dało, starając się o to usilnie wszelkimi drogami. Tym sposobem zgromadził przeszło 140.000 tomów, przeważnie polskich lub do polskich dziejów i literatury się odnoszących. Oprócz tego zgromadził znaczny zbiór rękopisów, rycin, map, numizmatów, medałów, obrazów, starożytności i innych osobliwości muzealnych. Zjechawszy osobiście do Lwowa nabył kościół zniesionego klasztoru Karmelitanek w końcu ulicy szerokiej, dzisiejszej Kopernika, u stóp góry Wronowskiego, w miejscu dosyć ustronnem, od gwaru miasta oddalonym, i postanowił kościół rzeczony na pomieszczenie biblioteki stosownie przebudować i dobudować doń dalszą część gmachu, mającego w sobie pomieścić oprócz zakładu oraz pomieszczenie dla dyrektora i innych urzędników. Jakoż rzeczywiście stanął gmach okazały, jak go dzisiaj widzimy. Budowa atoli trwała lat kilkanaście, tak iż Ossoliński nie doczekał już dzieła swego. Tu będzie miejsce wspomnieć, że w pierwszym okresie porządkowania zakładu, przy rozpakowywaniu i inwentowaniu książek, najczynniejszym był pierwszy skryptor nowego zakładu Julian Aleksander Kamiński, autor wielu a wielu pism rozmaitej treści, dziś zapomnianych. J. A. Kamiński nie posiadał pisarskiego talentu ani wyższej bystrości umysłu, przeto literackie prace jego nie przyniosły korzyści literaturze i nie przyczyniły się do podniesienia tych istotnych zasług, jakie swą zacną gorliwością i pracą około uporządkowania zakładu położył.

Zakład im. Ossolińskich posiada oprócz biblioteki, liczącej już dzisiaj przeszło 80.000 dzieł i tysiąc kilkaset rękopisów, muzeum

starożytności, galeryę obrazów, zbiór rycin i autografów, gabinet numizmatyczny, własną drukarnię i czytelnię otwartą dla publiczności. Na mocy aktu fundacyjnego połączone z nim zostały zbiory muzealne przeworskie i w znacznej części już przewiezione do zakładu za życia księcia Józefa Lubomirskiego, ordynata na Przeworsku. Przewiezenie reszty zbiorów przeworskich wstrzymane zostało śmiercią tegoż i odroczone do objęcia kuratorji zakładu wraz z ordynacją przeworską przez małoletniego dzisiaj jeszcze jego syna, następnego ordynata. W myśl pomienionego aktu fundacyjnego, ordynaci przeworscy są zarazem kuratorami zakładu, posiadającymi naczelną nad nim władzę, z prawem mianowania urzędników zakładu i stanowienia o wszystkich jego sprawach. Kontrolę nad Zakładem, zwłaszcza co do spraw administracyjnych, oddał Ossoliński rzeczonym aktem Stanom krajowym galicyjskim, a po rozwiązaniu tychże Stanów, skutkiem wprowadzenia zmian konstytucyjnych w monarchii austryackiej, prawo kontroli zakładu przeszło w ręce Wydziału krajowego, najwyższej władzy autonomicznej przez sejm obieralnej, która w nowym porządku rzeczy miejsce dawnej instytucji Stanowej zastąpiła i w ogóle wszystkie jej czynności przejęła. Ossoliński nie chciał ograniczyć się na samem tylko utworzeniu publicznej biblioteki, ale myślą jego było ustanowić zakład naukowy rozległego znaczenia, którego działanie wnikałoby we wszystkie stosunki życia umysłowego kraju i wszechstronny na nie wpływ wywierało. W tym celu włożył na dyrekcję zakładu zastrzeżony statutem obowiązek wydawania czasopisma naukowego, w którym miały być głównie ogłaszane materiały naukowe, znajdujące się w zakładzie, obok innych prac z dziedziny umiejętności, przeważnie historycznych. Dyrektor zakładu miał być obowiązany wedle pierwotnej myśli Ossolińskiego wykładać publicznie bibliografię, co wszakże nie przyszło do skutku z uwagi, że na uniwersytecie miała być ustanowiona katedra tej umiejętności, wprawdzie w języku niemieckim, ale rząd ówczesny austryacki nie chciał udzielać przywilejów publicznego nauczania po za obrębem szkoły. Nader zaś pożytecznem było postanowienie Ossolińskiego, ażeby zakład przyjmował do pomocy w pracach bibliograficznych stale kilku akademików, na czas, dopóki odbywają studia uniwersyteckie. Statutem zakładu przeznaczony jest osobny fundusz na opłacanie tych pomoenników, zwanych stypendystami, którzy za pobieranie stypendyów od zakładu obowiązani są w nim pracować codziennie po dwie godziny. Myślą Ossolińskiego było, ażeby tym sposobem zbliżyć uczącą się młodzież do zakładu, oswajając ją z pracami na-

ukowo literackimi i z literaturą w ogóle, a tym sposobem budzić w młodzieży zamiłowanie do literatury i przygotowywać jej w młodym pokoleniu pracowników. Uskarżali się nieraz niektórzy przełożeni zakładu na to ustanowienie stypendystów, którzy z natury rzeczy zmieniając się co dwa lata, albowiem tak długo trwał kurs filozoficzny na uniwersytecie, po którego ukończeniu stypendysta musi ustąpić miejsca nowemu, nie mogą nabyć tej znajomości i wprawy w pracach bibliograficznych, jak stali urzędnicy przez wiele lat pracy tej oddani. Czyniono z tego powodu nieraz już wnioski, ażeby znieść instytucję stypendystów przy zakładzie, a natomiast z funduszu tego opłacać stale przyjętych urzędników. Byłoby to postąpić wbrew duchowi zamiaru Ossolińskiego i spaczyć myśl jego pożyteczną. Zakład miałby wprowadzić w takim razie jednego lub dwóch bieglejszych urzędników, ale cel pierwotny, o wiele rozleglejszy i pożyteczniejszy, pozostałby uroniony.

Na pierwszego dyrektora Zakładu powołany został w r. 1827 ksiądz Franciszek Siarczyński, proboszcz i dziekan jarosławski, członek warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, autor wielu dzieł historycznych, posiadający sławę jednego z najznakomitszych erudytów swego czasu. Miał on z tego względu ustaloną już powagę, był tedy najodpowiedniejszym do objęcia steru zakładu naukowego, lubo z drugiej strony z powodu późnego wieku nie mógł już posiadać tej wszechstronnej energii, niezbędnej do urzędzenia tegoż, zwłaszcza w początkach jego bytu. Siarczyński był nadzwyczaj pracowitym i płodnym pisarzem. Pierwsze swe dzieła drukował w Łucku, Krakowie i Warszawie, gdzie był nauczycielem w kollegium ks. Pijarów i kaznodzieją królewskim. Sekularyzowawszy się, otrzymał od Stanisława Augusta probostwo kozienickie, z kąd po ustąpieniu tegoż króla, poniósłszy wielkie straty przeniósł się na probostwo do Łańcuta a ztamtąd do Jarosławia. Tu mając więcej zapewnionego sobie spokoju, swobodniej mógł się oddać pracom naukowym. Tutaj spędził przeszło lat dwadzieścia nad księgami z piórem w ręku. Późniejsze swe dzieła drukował we Lwowie, mianowicie *Wiadomość historyczną i statystyczną o mieście Jarosławiu* i *Obraz wieku panowania Zygmunta III*, będący częścią obszerniejszego dzieła *Obraz panowania Zygmunta III* i t. d. napisanego z polecenia Towarzystwa przyjaciół nauk, które wszakże za życia autora z przyczyn cenzuralnych wydanem być nie mogło. Siarczyński jako historyk należy do szkoły Naruszewiczowskiej. Pojmował on wprawdzie potrzebę krytyki historycznej i starał się być krytycznym, ale nie posiadał pojęcia tej krytyki, w znaczeniu

tak ścisłym, jakiego dzisiejszy postęp dziejopisarstwa wymaga. Ztąd pochodzi, że w dziełach Siarczyńskiego, jakkolwiek pisanych z wielką sumiennością i pracą, znajduje się wiele omyłek wymagających sprawdzenia i sprostowania, zwłaszcza że przy niezmiernie rozległym czytaniu, polegał za nadto na swej pamięci, która mu nie zawsze dopisywała, co się da łatwo zrozumieć przy takim ogromie dat i szczegółów. Historyzofem w wyższem znaczeniu Siarczyński nie był, ale dzieła jego są zawsze cennym zasobem wiadomości historycznych, tylko że trzeba z nich korzystać ostrożnie i umiejętnie. Objąwszy dyrekcję zakładu, rozpoczął w myśl wymagania statutów wydawać *Czasopismo naukowe księgozbioru imienia Ossolińskich*, którego wydał ośm tomów w przeciągu lat dwóch. W *Czasopiśmie* tem znajduje się najwięcej monografi historycznych i innych artykułów pióra samego Siarczyńskiego, tudzież Józefa Max. Ossolińskiego, z pozostałych po nim rękopisów. Było to niezaprzeczenie jedno z najlepszych pism zbiorowych peryodycznych swojego czasu; gromadzące w sobie ważne materiały historyczne, wszelako nie rozpowszechniło się i nie wywarło wpływu ani na literaturę ani na oświatę w ogóle, dlatego iż było za poważne, nie zastosowane do potrzeb i prądów umysłowych społeczeństwa i sfer czytających. Dla szerokiej publiczności, która dotąd za mało jeszcze w ogóle rozmiłowaną była w czytaniu, nie posiadało ono powabu niezbędnego tam, gdzie zmysł ciekawości badawczej nie został jeszcze dostatecznie rozbudzony do tego stopnia, aby rzecz naukowa samą wartością swej treści zająć mogła czytelnika. W kołach zaś ścisłych, zajmujących się literaturą, przeważał podówczas nad ciągiem do przedmiotów historycznych duch badań filozoficznych, zamiłowanie w poezyi i pracach estetyczno-literackich. *Czasopismo* mało się więc rozchodziło lub nie rozchodziło wcale, tak początkowo pod redakcją Siarczyńskiego, jak i po śmierci tegoż pod redakcją Wiesiołowskiego a później Słotwińskiego, chociaż ten ostatni usiłował mu nadać kierunek poczytniejszy, odpowiedniejszy wymaganiom umysłowym czasu, i chciał mu przydać więcej cechy belletrystycznej. *Czasopismo* w ciągu całego okresu swego istnienia do roku 1834, w którym to roku zawieszonem zostało, nie miało nigdy więcej nad stu kilkunastu prenumeratorów, a miewało ich też czasem po kilkunastu i kilku. Był nawet czas, że przez kilka miesięcy miało tylko jednego prenumeratora. Był nim Aleksander Batowski, późniejszy autor rozmaitych prac bibliograficznych i historycznych.

Siarczyński wydał *Nowy kalendarz czyli Świątnik na rok 1829*. W tymże samym roku umarł, licząc przeszło siedemdziesiąt

lat wieku. Wiele prac swoich pozostawił w rękopisach, przechowywujących się w zakładzie Ossolińskich. Z tych kilka wyszło drukiem już po jego śmierci.

W roku 1831 powołany na dyrektora zakładu Konstanty Słotwiński, nie posiadał wprawdzie sławy ani nauki Siarczyńskiego, ale ożywiony gorącą chęcią służenia zakładowi, posiadał natomiast energię i siły młodzieńcze niezbędne do uorganizowania zakładu. Słotwiński ukończywszy w Tarnowie i Krakowie studia filozoficzne i prawnicze, obrał sobie początkowo zawód wojskowy. Najprzód żołnierz księstwa warszawskiego, później Napoleoński, odbył kampanię roku 1812. W następnym roku powrócił ranny do Galicyi, gdzie wstąpiwszy w roku 1816 do służby cywilnej rządowej, był przez dłuższy czas urzędnikiem austriackim. Następnie usunąwszy się z urzędu osiadł na wsi i oddał się zajęciom naukowym. Pracował głównie na polu nauk prawniczych i polityczno-administracyjnych. Przełożył i wydał w roku 1819 we Lwowie dzieła F. Jekla: *O Polsce, jej dziejach i konstytucyi* dwa tomy, które to dzieło w wielu miejscach sprostował, poprawił i przypisami opatrzył. W języku niemieckim wydał systematyczny wykład praw austriackich, traktujących stosunki poddaństwa, *Systematische Darstellung der Unterthansgesetze in Galizien*, Brünn 1827, w trzech tomach, dzieło bardzo ważne, wyjaśniające z praktyczną znajomością rzeczy, wiele kwestyi zawiłych i nie dosyć jasno określonych rozporządzeniami, czyli tak zwanemi patentami rządowemi. Później będąc już dyrektorem Zakładu wydał po polsku: *Katechizm poddanych galicyjskich o prawach i powinnościach ich względem dworu, rządu i samych siebie*. Lwów 1832. Oprócz kilku innych rzeczy pomniejszych, wydał także podobnie jak przedtem Siarczyński *Świątnik Lwowski czyli kalendarzyk na rok 1834*.

Słotwiński krzątał się niezmiernie czynnie około uporządkowania Zakładu, założył drukarnię i litografię, otworzył czytelnię; główną zaś uwagę zwrócił na sporządzanie katalogów, bez których biblioteka obejść się nie mogła, pozostając nieprzystępną dla osób, chcących w niej czynić jakiegokolwiek poszukiwania, jak labirynt bez przewodnika. Wielce pomocnym był mu wspomniany powyżej Jul. Al. Kamiński. Słotwiński lubiał otaczać się młodzieżą, garnącą się do literatury, ułatwiać jej przystęp do zakładu i zatrudniać ją tutaj pracami, przynoszącemi jej materyalną i umysłową korzyść. Pracowali w ówczas kolejno w zakładzie, chwilowo lub stale, mieszkający we Lwowie Stanisław Przyłęcki, Kaz. Wł. Wójcicki, Józef

Dzierzkowski i inni, znakomite później w literaturze zajmujący stanowisko.

Pamiętam, kiedy dzieckiem jeszcze będąc pierwszy raz z rodzicami we Lwowie, poszedłem z nauczycielem zobaczyć zakład im. Ossolińskich. Budowa jedo była jeszcze nie ukończoną. Z murów niewyprowadzonych do końca, nie można było jeszcze nawet poznać planu całości budowy. W kilku miejscach mur był otoczony rusztowaniem i pracowali murarze. Tylko część przyległa do murów dawnego kościoła i samże ten kościół, przeznaczony na pomieszczenie książek z kopułą oszkloną i kolumnadą od strony północnej, miał już powierzchowność dzisiejszą. Zastaliśmy Słotwińskiego w podwórzu od strony ogrodowej, otoczonego pakami książek, zajętego rozpakowywaniem i przewietrzaniem książek zwilgotniałych długiem leżeniem w pakach. Książki z Wiednia przywiezione po lat kilka pozostawały nierozpakowane dla braku czasu i dostatecznej liczby służby bibliotecznej. Postać Słotwińskiego wyrzyła mi się głęboko w pamięci. Był mały, szczupły, z włosiem rudawym i piegowały. Oprowadzał nas z wielką uprzejmością po zakładzie, i w galeryi obrazów wypytywał mię o nazwiska królów polskich i chronologiczne ich następstwo, pokazując ich wizerunki wzdłuż górnego gzymsu sali porządkiem następstwa zawieszono. Niezmiernie był uradowany memi odpowiedziami, gdyż wszystko to już w ówczas dobrze wiedziałem. Ścisnął mię i podnosił oburącz, zachęcając mię do uczenia się historii polskiej. W rok potem oskarżony o roboty polityczne i drukowanie zabronionych pism w drukarni zakładu, został aresztowany i skazany na więzienie do fortecy Kufsztejnu w Tyrolu. W ówczas opieczętowano drukarnię, zamknięto czytelnę i zawieszono wszystkie czynności w Zakładzie, co trwało przez przeciąg lat siedmiu. Słotwiński zaś po dziewięciu léciech więzienia wypuszczony z Kufsztejnu osiadł w Tarnowskiem, we wsi Głobikowie, gdzie w r. 1846 padł ofiarą rzezi galicyjskiej.

IV.

Dziennikarstwo — Gazety polityczne — *Gazette de Leopol* — Gazety i pisma literackie niemieckie — Pisma literackie perjodyczne polskie — Rozmaitości, dodatek do Gazety Lwowskiej — Pamiętnik lwowski wydawany przez braci Chłędowskich — Pszczoła polska — Pamiętnik galicyjski — Eugenjusz Brodzki i jego biblioteka — Noworoczniki kalendarzowe — Pielgrzym lwowski — Pisma zbiorowe — Pamiętnik lwowski — Haliczanin i jego znaczenie w literaturze — Walenty Chłędowski — Jan Nep. Kamiński.

W owym czasie, kiedy Austria utworzyła Galicyę, nie znano jeszcze dziennikarstwa, w jego dzisiejszem znaczeniu i kształcie. Pod gazetą rozumiano zbiór nowin politycznych i innych drobnych doniesień. Feilletonu nie znano, równie jak pary i telegrafów. To też gazety nie zajmowały się literaturą, a nowiny podawały takie, jakie nam dzisiaj, przyzwyczajonym do szybkiego połykania wiadomości dziennikarskich, wydałyby się dziwnie spóźnione i nieciekawe. Wiadomość o wypadkach politycznych dochodziła do publiczności w kilka tygodni zaledwo i to nie z pierwotnego źródła, lecz najczęściej wyjęta z innej zagranicznej gazety. Do powolnego rozwoju dziennikarstwa przyczyniał się też przeważnie brak organizacyi poczt, jaką dziś posiadamy, roznoszących dziennik zaraz po jego ukazaniu się na świat we wszystkie zakątki kraju. Gazeta przychodziła rzadko i musiała wystarczać na długo.

W Galicyi po objęciu rządów przez Austryę nikt w pierwszej chwili nie myślał o wydaniu lub czytaniu gazet. Wielka zmiana przetwarzająca rdzennie wszystkie stosunki polityczne i administracyjne za nadto silnie dotknęła i zajęła wszystkich, ażeby pozostało czasu lub chęci na czytwanie gazet. Ciekawość i chęć obudziła się najprzód w tej sferze społecznej, która najbardziej przesiąknięta

kosmopolityzmem najmniej uczuła zmianę, a jako najbogatsza, posiadała zarazem najwięcej środków do zaspokojenia ciekawości a uczuwała najwięcej potrzeby zaprzątnięcia czasu. Arystokratyczne sfery towarzystwa chciały wiedzieć co się dzieje w Paryżu, w Warszawie, w Ferney i pod Blachą. Sfery te były przesiąknięte na wskrós francuzczyzną, będącą na ówczas w modzie, zastępującą coraz bardziej w kołach o dworskie salony się ocierających dawny obyczaj, peruką, żabotami i haftowanym frakiem. Jakoż charakterystyczną cechą arystokratycznej owej społeczności ówczesnej jest ten szczegół, o którym zapewne nie wszyscy dzisiaj wiedzą, który też dziwnie się dzisiaj wydaje, że pierwsza gazeta we Lwowie, którą pod rządem austriackim wydawać zaczęto, wychodziła w języku francuskim. *Gazette de Léopol* począwszy od roku 1776 wychodziła przez lat jedenaste. Widać więc, że była czytana i pożądana. Ale z biegiem czasu, gdy stosunki się już więcej ustaliły, zapragnęła i polska publiczność, nie wykarmiona na francuzczyźnie, wiedzieć co się w świecie dzieje. Ciekawość obudziła się i o swoje dopominała prawa. Rząd także potrzebował, aby wiadomość o rozmaitych jego rozporządzeniach rozchodziła się po kraju. Przez dziesięć lat publiczność galicyjska była niejako odcięta od świata, nie posiadając oprócz powyżej wymienionej gazety francuskiej, żadnej innej. Dopiero w r. 1783 zaczęła wychodzić pierwsza gazeta polska w Galicyi, nosząca nazwę: *Pismo wwiadamiąjące Galicyi*; w roku następnym wychodziło *Lwowski pismo wwiadamiąjące*, a w r. 1786 *Lwowskie tygodniowe wiadomości*. Lepszy od nich i bardziej rozpowszechniony jako lepiej odpowiadający zadaniu gazety politycznej był wydawany od roku 1793 do 1797 przez Onyszkiewicza i Marcinkiewicza *Dziennik patriotyczny polityków*. Wychodził codziennie po pół arkusza druku i mieścił same wiadomości z gazet zagranicznych tłómaczone, w dodatku zaś obwieszczenia. Wszystkie te pisma, tak *Dziennik* jak i poprzednie nie miały żadnej wartości oprócz, że się tak wyrażę, *nowiniarskiej*. Brały wiadomości z gazet zagranicznych i takowe podawały w tłómaczeniu, srodze nieraz język kaleczącym. O jakimkolwiek szerszym na bieg wypadków poglądzie, o ocenieniu położenia, o reprezentowaniu jakiegokolwiek kierunku politycznego, jakto w poczuciu swego zadania czynią gazety dzisiejsze, w ówczas mowy być nie mogło i nie mieli o tem pojęcia redaktorowie, a jeżeli mieli, to się wcale o to nie kusili, bo i kusić nie mogli. Wszystkie te gazety galicyjskie były po prostu tylko zbieraniną wiadomości i wiadomości, często błahych, a często mylnych, a ce-

lem ich było jedynie zaspokojenie ciekawości publiki — do obudzenia uspionego ruchu literackiego nie przyczyniły się.

Napływ Niemców urzędników do kraju i wojskowości, złożonej z pułków niemieckich, wywołał wydawnictwo pism niemieckich. W roku 1787 zaczęła wychodzić pierwsza gazeta niemiecka we Lwowie, *Lemberger Zeitung*. Rząd protegował wydawnictwa niemieckie. *Lemberger Zeitung* jednakowoż wychodziła z przerwami, albowiem publiczność, dla której była przeznaczoną, nie podtrzymywała jej należycie. W roku 1803 zaczęła wychodzić gazeta wojskowa, *Militärische Zeitung*, wydawana przez Emanuela Kirschbauma.

W roku 1811 wyjednali sobie bracia Kratterowie przywilej czyli koncesyą na wydawanie pisma politycznego polskiego i z dniem 2 kwietnia rzeczzonego roku zaczęli wydawać *Gazetę Lwowską*. — Wychodziła w formacie półarkuszowym dwa razy tygodniowo. Nie była ona lepsza od swoich poprzedniczek. Zawierała takie same tłumaczenia z gazet obcych i zbieranie rozmaitych wiadomości i wiadomostek gazeciarskich. Ale czasy się zmieniły. Ciekawość i uwaga publiczności na tok wypadków politycznych bieżących była do najwyższego nastrojona diapazonu. Działy się wielkie rzeczy — spodziewano się jeszcze większych. Któż nie był ciekawy bulletynów wielkiej armii? Kto nie wyczekiwał z upragnieniem wiadomości o zwycięstwach czy klęskach, rozstrzygających o losie państw i narodów — o armii sprzymierzonych — o wygnańcu z Elby i św. Heleny itd. itd. itd. *Gazetę* rozechwytywano — Kratterowie zrobili duży majątek. *Gazeta Lwowska* nabyta w r. 1848 na własność rządu istnieje dotychczas, przeobrażona na wielkie codzienne pismo. Jest to najstarsza w Galicyi, gazeta licząca sześćdziesiąt sześć lat nieprzerwanego żywota.

W roku 1812 wznowiono też dawniejszą *Lemberger Zeitung*. Obecnie redakcyja była staranniejszą. Pisywali do niej artykuły profesorowie uniwersytetu. Obok *Gazety Lwowskiej* wychodziła do niedawna. W końcu abonowały ją już tylko władze urzędowe z polecenia rządu. Przy reformach konstytucyjnych w kraju, z zaprowadzeniem administracyi w języku krajowym, zwinięto ją, jako zupełnie nieużyteczną i nie tylko nie opłacającą kosztów na wydawanie jej łożonych, ale pochłaniającą nadto znaczne sumy z funduszków polskiej *Gazety Lwowskiej*.

Widzimy tedy, że niemieccyzna usiłowała acz bezskutecznie rozkorzeni się także na polu dziennikarskiem w Galicyi i zastąpić

miejsce dziennikarstwa polskiego, co się nie udało, nie tylko w zakresie dziennikarstwa politycznego, ale i literackiego, pomimo prób z rozmaitym wysiłkiem ponawianych. W roku 1824 założył we Lwowie pismo niemieckie literackie *Mnemosyne*, uczony naturalista profesor Aleksander Zawadzki, Niemiec pomimo polskiego nazwiska, autor znakomitego dzieła w języku niemieckim *O Faunie i Florze galicyjskiej*. Redagowali kolejno *Mnemosynę* Meehofer, Stroppeł. Wychodziła lat piętnaście. Później zastąpiły ją pojawiające się sporadycznie *Leseblätter*, *Lemberger Anzeiger* itp. Wszystkie te jednodzienniki, nie wyjąwszy *Mnemosyny*, ograniczały się na szczupłym kółku czytelników, po za którym nikt o nich nie wiedział i nikt się nimi nie zajmował. Nie uczyniły też one żadnego uszczerbku rozwojowi literatury polskiej, lubo miewały to *pium desiderium*.

Kratterowie widząc powodzenie *Gazety* postanowili ją rozszerzyć dodatkiem literackim i w r. 1817 rozpoczęli wydawać rzeczony dodatek pod tytułem *Rozmaitości*. Tytuł odpowiadał dobrze zadaniu pisma i nie krępował redakcyi jakimkolwiek ściśle wytkniętym kierunkiem, albowiem pod rubryką *rozmaitości* można było wszystko zgoła pomieścić. Tytuł był i z tego względu dobrze dobrany, iż rozciekawiał publiczność. Wiadomo, że z dawien dawna *verietas delectat*. W braku pisarzy miejscowych i rzeczy oryginalnych, *Rozmaitości* żywiły się głównie przedrukami z pism warszawskich i wileńskich, tudzież tłómaczeniami z niemieckich. Początkowo redagował je sam F. Kratter ile mógł starannie, w roku 1823 objął redakcyę Józef Bensa, brat aktora. Bensa nie był literatem, lecz urzędnikiem i nie wiele znał się na literaturze, zapełniał też *Rozmaitości* samemi przedrukami. Po trzech latach usunął się, a redakcyę objął Michalewicz, profesor języka polskiego i literatury na uniwersytecie lwowskim. *Rozmaitości* znacznie się podniosły i nabrały cechę bardziej literackiej, miewały więcej rzeczy oryginalnych. Michalewicz nie odznaczał się także wielkiem talentem redaktorskim i zdolnościami pisarskimi, ale dbał przynajmniej o czystość języka. Po nim objął redakcyę w roku 1835 Jan Nep. Kamiński. Obareczony wielu postronnemi zajęciami, teatrem i pracami naukowemi, dosyć niedbale prowadził redakcyę, zwłaszcza później, gdy do brzmienia licznych zajęć przybyło brzemień wieku podeszłego, steranego rozmaitemi kłopotami. Pomimo tego *Rozmaitości* pod jego redakcyą bywały bardzo dobre i miały nawet swój świetny okres mianowicie pomiędzy latami 1830 a 1840, w którym umieszczali w nich, jako w jedynem literackiem piśmie, prace swe naj-

znakomitsi z naszych pisarzy, rozpoczynający wówczas świetny swój zawód literacki, jak Bielowski, Lucyan Siemiński, Kaź. Wład. Wójcicki, Gorczyński pod pseudonimem Jadama z Zatora i inni. Znaczący się też w *Rozmaitościach* podawane w osobnej rubryce doniesienia literackie o wychodzących nowych książkach, projektach naukowych itp. Przeglądając dziś komplet *Rozmaitości* przekonujemy się, jak były dobrze zastosowane do potrzeb swojego czasu i jak w sobie odzwierciedlały życie miejscowe literatury ówczesnej, dosyć ubogim płynące źródłem. Głównie wszakże zapełniały się tłumaczeniami powieściami, od których lepszego lub gorszego wyboru zależała dobroć pisma. *Rozmaitości* były z przeznaczenia swego pismem belletrystycznym. W braku powieści oryginalnych umieszczały przekłady. Rzadko kiedy trafiał się artykuł przekraczający treścią swą zakres belletrystyki. Dwie ostatnie stronnice zapełnione były krótkimi wiadomościami najrozmaitszej treści, tłumaczeniami z różnych pism obcych, najczęściej niemieckich. Mieściły się w tej rubryce obok siebie doniesienia o nowych wynalazkach, wiadomości statystyczne, historyczne, etnograficzne, anegdota, słowem mieszanina przeróżnych rzeczy, nieraz ciekawych i pożytecznych. Czynność redaktorska Kamińskiego ograniczała się zwłaszcza w późniejszych czasach na wykreślanie czerwonym ołówkiem w nadchodzących codziennie gazetach i pismach zagranicznych tego, co miało być przetłumaczonym do *Rozmaitości*. Tłumaczeń tych nie odczytywał już potem, aż już w korekcie, poprawiając starannie polszczyznę. Chociaż *Rozmaitości*, tak jak były, nie odpowiadały zapewne dzisiejszemu zadaniu dziennikarstwa, musiały one wszakże w swoim czasie być potrzebne i zaspokajać potrzeby wymagania literackie szerokich kół czytelniczych; świadczy o tem bowiem ogromna wziętość, jaką miały. Rozchodziły się one po wszystkich zakątkach kraju, po dworach i dworkach, były niemal w każdym ręku. Stanowiły przez lat wiele jedyny pokarm umysłowy szerokiej warstwy społecznej. Powieść, od której każdy numer *Rozmaitości* z reguły się rozpoczynał, rozciekawiała i przywabiła; wiadomości drobnym podawane drukiem były zapasem do czytania na cały tydzień, dopóki nowy numer nie nadszedł. Oczekiwano go niecierpliwie, zwłaszcza, że spodziewano się w nim jakiegoś ciągu dalszego, jakiegoś rozwiązania powieści powikłanej a przerwanej w najciekawszym właśnie miejscu. Przypnieć też należy, że powieści bywały straszliwie romantyczne, rycerskie lub rozbójnicze, poruszające nerwy i wyciskające łzy... Jakże nie być ciekawym — jak nie czytać? Szczególniej płeć piękna była

wielbicielką *Rozmaitości*. *Gazeta* wychodziła trzy razy na tydzień, *Rozmaitości* przy niej tylko raz w sobotę. Z jakąż niecierpliwością wyczekiwano tej soboty! Dwa razy na tydzień paczkę pocztową odbierał sam gospodarz domu, a przerzuciwszy *Gazetę* wraz z ogłoszeniami oznajmiał zazwyczaj ziewając, że w niej nic niema — i na tem poprzestawała cała rodzina, nie zaglądając już do *Gazety*, w której doprawdy najeczęściej nie było, bo zakres dziennikarstwa politycznego pod ówczesną cenzurą był bardzo ograniczony. Ale gdy nadeszła z poczty paczka z numerem sobotnim, pani domu pierwsza ją porywała, zatapiając się pożądliwie w czytaniu. *Rozmaitości* szły kółkiem z rąk do rąk; tego wieczora czytano do późna, najprzód powieść pełnym haustem, a następnie wysączano drobiazgi ostatniej rubryki, kropla po kropli przez cały tydzień. Było to dobrze. *Rozmaitości* jakkakolwiek była ich wartość literacka, miały jak widzimy swe posłannictwo — wywierały skutek pożyteczny, pożyteczniejszy niż wiele innych pism dzisiejszych o wiele lepszych i wyższych pod każdym względem, ale mało czytanych, obojętnie pojmowanych. *Rozmaitości* rozbudzały zamiłowanie czytania, a uczyły przynajmniej dobrej polszczyzny — co już samo przez się, gdyby wszelkiej innej odmówić pismu zalety, było ogromną zasługą w porze, kiedy język był tak bardzo przez długi czas zagrożony niemczyzną — kiedy go nie uczono w szkołach, a tylko w użyciu powszednim zachowywała się jeszcze tradycja jego czystości. *Rozmaitości* wychodziły nieprzerwanie przez lat trzydzieści i sześć. Rząd nabywszy w roku 1848 *Gazetę Lwowską* zwinął je i zastąpił *Dodatkiem*, mającym zawierać wiadomości i sprawozdania statystyczne, historyczne i ekonomiczne o kraju i jego administracji. — W sześć lat później zamierzył był Sartyni, redaktor rządowej *Gazety Lwowskiej*, wskrziesić *Rozmaitości* i porучzył ich redakcyę Szajnosze, który wkrótce zdał ja Waleremu Łozińskiemu. Wznowienie *Rozmaitości* nie powiodło się. Inne to już były czasy, inne potrzeby umysłowe, inny stan publicystyki. Szajnocha zamierzał uczynić te nowe *Rozmaitości* pismem od dawniejszych poważniejszym, historyczno-literackiem. Inne prace, z któremi pospieszał przy gasnącym wzroku, nie dozwoliły mu zajmować się dłużej redakcyą. Wkrótce też po jego ustąpieniu Sartyni zwinął *Rozmaitości*, rozszerzywszy natomiast wyżej wspomniany *Dodatek tygodniowy naukowy*.

W ślad za *Rozmaitościami* zabiegliliśmy w nowsze czasy. Wróćmy do okresu będącego zaraniem literatury galicyjskiej. W onym

czasie, kiedy Kratterowie zakładali *Gazetę Lwowską i Rozmaitości*, budzące się życie literackie we Lwowie gromadziło się około adwokata Dzierżkowskiego. Był to człowiek lubiący literaturę, zamiłowany w naukach i wielkiej w swoim czasie używający powagi. Był on stryjem Józefa Dzierżkowskiego, powieściopisarza, który młodym chłopcem przy nim się wychowywał. Żył w wielkiej zażyłości z Węgleńskim, posiadającym w pobliżu Lwowa pałacyk letni, w lasku pięknie położonym, gdzie obadwaj spędzali często swobodne chwile wśród zajęć literackich lub w wesołym towarzystwie. Ztąd lasek Węgleńskiego otrzymał i zachował dotąd nazwę *Pohulanki*. Pałacyk istnieje dotychczas zamieniony na restaurację dla publiczności, zwiedzającej licznie to miejsce w porze letniej, a obok stanął olbrzymi browar, zasłaniający krajobraz i dostarczający piwa zwanego Klejnowskim, od imienia dzisiejszego właściciela lasku i browaru, publice nie pamiętającej, a raczej nie wiedzącej już nawet, iż tu w tem miejscu przebywali przed laty dwaj pierwsi we Lwowie mecenas literatury, snując projekta literackie przy brzęku szklanic, w których złościł się węgryzn i piniel szampan.

Dzierżkowski podał myśl wydawania pisma miesięcznego periodycznego pod tytułem *Pamiętnik lwowski* i namówił księgarza Wilda do łożenia na wydawnictwo. Redaktorem był Adam Chłędowski, głównym współpracownikiem Bruno Kiciński. *Pamiętnik lwowski* zaczął wychodzić w r. 1816, na rok przed pojawieniem się *Rozmaitości*; było to zatem pierwsze pismo w Galicyi treści nie politycznej. Zapełniało się przeważnie przekładami artykułów niemieckich lub przedrukami z pism wileńskich. Życie literackie we Lwowie było dopiero w słabym zawiązku, o artykuły oryginalne trudno było do tego stopnia, że nawet recenzje dzieł polskich wyjmował *Pamiętnik* z wiedeńskiej *Gazety literackiej* i podawał je w tłumaczeniu. Oryginalnych artykułów prozą dawał Chłędowski najwięcej swoich własnych, treści literackiej, historycznej i bibliograficznej. Tutaj umieszczał Jan Nep. Kamiński swe przekłady z Szyllera, robiące *furor* w swoim czasie, a Kiciński przekład Owidiusza. Dawał też do *Pamiętnika* artykuły swego pióra Mauss profesor uniwersytetu. Tutaj odbywał swe pierwsze pole Stanisław Jaszowski, późniejszy autor wielu powieści historycznych wierszem i prozą, nie odznaczających się wszakże wyższym talentem. Redaktorowie *Pamiętnika* czynili co mogli, aby pismo ożywić i utrzymać, co w ówczas przy braku liczniejszego koła współpracowników, słabym jeszcze ruchu umysłowym a zarazem mało rozbudzonej potrzebie

czytania w szerokich sferach publiczności nie było łatwą rzeczą, ani z literackich ani z materyalnych względów. *Pamiętnik* wychodził jednak nieprzerwanie przez lat kilka, początkowo po trzy, później po dwa tomy na rok. Gdy Chłędowski przeniósł się do Warszawy, objął po nim redakcyę *Pamiętnika* w r. 1819 młodszy brat jego Walenty. Redagował go staranniej od brata; po roku wszakże zwinąć musiał z braku współpracowników i dostatecznej liczby czytelników. Zaraz atoli jeszcze po r. 1820 założył nowe pismo, wychodzące miesięcznie zeszytami, *Pszczola polska*, lecz i to po wyjściu dwunastu zeszytów ustało. Podjęli myśl wydawnictwa dalszego Eugeniusz Brodzki i Ferdynand Chotomski, i poczęli w roku d821 wydawać *Pamiętnik galicyjski*, poświęcony historii i belletrystyce, ale po wydaniu dwóch tomów również ujrzeni się zniewoleni zaprzestać dalszego wydawnictwa, co nie dziw, skoro tak energiczny i o wiele od nich obu wyższy zdolnościami i nauką redaktor jak Walenty Chłędowski nie był w stanie podołać trudnościom redaktorskim, w czasach gdzie niwa literatury tak jeszcze słabiuchno przez szczupłą garstkę pracowników była uprawiana. Wszystkie powyższe pisma nie miały wielkiej literackiej wartości, ale były zawsze już pierwszym niejako przebudzeniem się życia literackiego w Galicyi, pobudką i zachętą dla młodzieży do pracy w tym kierunku. Brodzki i Chotomski nie posiadali wyższego talentu pisarskiego, i w szrankach zawodu literackiego ustąpili wnet pierwszeństwa zdolniejszym spółzawodnikom. W porze, o której mówimy, Brodzki należał do najczynniejszych w literackiem kółku młodzieży lwowskiej. Chotomski wydał we Lwowie w r. 1822 komedycę w pięciu aktach wierszem: *Górne uczone kobiety*, która się nie utrzymała. Brodzki pisał powiastki historyczne, nie wielkiej wartości, i dziś już wcale zapomniane. Wyniósł się on później na wieś i zamienił pióro na lemiesz, usunawszy się od ruchu literackiego. Umierając pozostawił bibliotecę, złożoną z kilku tysięcy tomów, którą wraz z legatem na jej utrzymanie przekazał Zakładowi naukowemu im. Ossolińskich, z warunkiem aby była pomieszczona osobno pod napisem *Bibliotheca Brodzkiana*.

Profesorowie uniwersytetu Karol Hitten, profesor statystyki, i J. Mauss powzięli w tymże czasie myśl wydawania po polsku kalendarzy, w rodzaju noworoczników, w których obok części kalendarzowej mieściła się także część literacka. Przedtem wydawał drukarz Piller we Lwowie kalendarze polskie i niemieckie. Noworocznik zamierzony wyszedł na rok 1822, pod tytułem *Pielgrzym*

lwowski. Zawierał kilka drobnych, umiejętnie napisanych artykułów, mianowicie statystycznych. Gdy tegoż roku w marcu umarł profesor Hitten na chorobę piersiową, Mauss wydał sam *Pielgrzyma* na rok następny. Cenzura zezwoliła na wydawanie noworocznika pod warunkiem, ażeby równocześnie wychodził także po niemiecku. Musiano tedy w tym celu przekładać artykuły doń przeznaczone na język niemiecki. Można z tego powziąć wyobrażenie, jakie trudności miała do przebycia i przewalczenia budząca się literatura polska we Lwowie.

Myśl wydawania noworoczników kalendarzowych wznowił ks. Siarczyński, objąwszy dyrekcję zakładu im. Ossolińskich. W roku 1827 zaczął wydawać Pietkiewicz pismo zbiorowe: *Patnik lwowski*. Miało wyjść sześć tomów, ale wyszedł tylko jeden. Wszystkie powyższe wydawnictwa peryodyczne i zbiorowe nie dorównały wartością literacką i znaczeniem wydanemu w roku 1830 przez Walentego Chłędowskiego: *Haliczaninowi*.

Walenty Chłędowski był jednym z najzdolniejszych i najczynniejszych w gronie młodego pokolenia literatów galicyjskich. Starszy wiekiem, miał on więcej od któregokolwiek z nich wprawy pisarskiej i rutyny redaktorskiej. Wszakże od lat przeszło dziesięć widzimy go pracującego na tej niwie. Oddawał się pilnie naukom, studiując zwłaszcza pisarzy niemieckich, posiadał przytem ogromną łatwość pióra. Oddawał się głównie studjom filozoficznym i znał doskonale filozofię niemiecką, która w ówczas właśnie wkraczała w najświetniejszą swą epokę. Chłędowski chciał przeszczepić literaturę polską na grunt umiętny i oprzeć ją na podstawach naukowych. — Przedstawicielem tego kierunku miał być *Haliczanin*, pismo zbiorowe, którego zapowiedział początkowo cztery tomy, lecz z powodu zaszłych wypadków politycznych wydał dwa tylko. Jakoż widzimy w *Haliczaninie* obok poezyi i belletrystyki, przeważający żywioł naukowy, mianowicie w artykułach samego wydawcy i Jana Nep. Kamińskiego. Chłędowski skreślił w *Haliczaninie* obraz rozwoju nowożytnej filozofii spekulacyjnej niemieckiej w sposób treściwy a przystępny, wynikający z doskonałej znajomości przedmiotu i wielkiej wytrawności pióra. Tylko wytrawny, z duchem języka ojezystego rdzennie obznajomiony i wszechstronnie nim władający pisarz był w stanie tak przystępnie wyłożyć rzecz z natury swojej w zagmatwanych sferach abstrakcyi spekulacyjnej się obracającą. Rozprawy filozoficzne Chłędowskiego są pisane tak zrozumiale, iż poznajamią czytelnika dokładnie z przedmiotem,

a czytają się tak łatwo, jakby każda inna książka o najpowszejdniejszym mówiąca przedmiocie. Chłędowski tłómaczy się jasno, wyrażając każdą myśl ściśle naukowo po swojsku, nie uciekając się do terminologii sztucznie naciąganej, do owych nowotworzonych dziwadeł językowych, naśladowujących filozoficzny żargon niemiecki, którymi szpikowali dzieła swoje późniejsi nasi filozofowie, jak Trentowski i inni, z wielką szkodą zarówno języka jako i samejże umiejętności. Chłędowski nie czuł potrzeby występowania przed publicznością swoją w zszytej z cudzoziemska sukience. Doskonałe przejęcie się przedmiotem zastępowało u niego potrzebę szcudeł terminologii, niezgodnej z duchem języka, w którym pisał. Myśl gruntownie pojęta przedstawiała mu się po swojsku, i wyrażała naturalnie, jakby na własnym gruncie urosła. Z tych zalet cechujących pierwsze prace filozoficzne Chłędowskiego sądząc, śmiało można twierdzić, iż byłby on z czasem jednym z najznakomitszych u nas na tem polu pisarzem, gdyby choroba nie wytrąciła mu z ręki przedwcześnie pióra, u rozkwitu zaledwie sił młodzieńczych. Chłędowski przebywszy heroicznie operację chirurgiczną czaszki, zmuszony był powstrzymać się od pracy umysłowej — i odtąd zajmował się literaturą już tylko jako dyletant, dla rozrywki w wiejskiem ustroniu, dokąd się przeniósł na mieszkanie z miasta, i przysyłał później już tylko od czasu do czasu jaki artykuł lżejszej opisowej lub literackiej treści do pism peryodycznych.

Haliczanin był doskonałym wyrazem ruchu umysłowego i literatury swojego czasu. Zgromadził w sobie wszystkie siły krzątające się na tem polu i wszystkie kierunki. Obok arystarchów literackich zajmujących naczelne stanowisko w życiu umysłowem lwowskiem, uznanych powag nauki i pióra, Kamińskiego, Fredry i Chłędowskiego, znajdujemy w nim imiona po raz pierwszy występujące na arenę literacką Bielowskiego, Józefa i Leszka (Aleksandra) Borkowskich, grono młodych talentów, bogate natchnieniem, co wnet potem nowy zwrot nadało życiu umysłowemu w Galicyi i nową stworzyło literaturę. *Haliczanin* jest niejako słupem granicznym pomiędzy starym a nowym okresem literatury galicyjskiej, łącznym obu okresów ogniwem, punktem stycznym pomiędzy starym obozem, składającym tu owoc swych prac i badań naukowych, a młodym podającym kwiat, bujny piękną przyszłością, poezją. *Haliczanin* był najznakomitszem swojego czasu wydawnictwem, posiada wartość literacką, do jakiej nie podniosło się było żadne przedtem pismo zbiorowe w Galicyi, i stanowi epokę w jej literaturze.

Najwięcej zwróciły na siebie uwagi, najwięcej obudziły wrzawy, potępienia u jednych, uniesienia u drugich, umieszczone w *Haliczanie* dwie rozprawy Jana Nep. Kamińskiego: *Czy język nasz jest filozoficzny?* i *Czy język nasz jest filozoficznym?* Jak nie każda matka jest zarazem matką, pełniącą należycie obowiązki, macierzyńskie i pojmującą macierzyńskie swe posłannictwo, tak też i język, pomimo swej umiejętnej organizacyi, swej filozoficznej budowy, snującej logicznie organizm języka z odpowiednich istocie umysłu ludzkiego i logice pojęć pierwiastków, mógłby jeszcze nie nadawać się do uprawy nauk filozoficznych, do ścisłego wyrażania abstrakcyjnych, ogólnych pojęć umiejętności i odwrotnie. Z tego tedy dwojakiego stanowiska postanowił Kamiński rozpatrzyć organizm i przymioty języka polskiego, a zgłębiwszy ducha ojczyznej mowy odkryć tajemnice jej organizacyi zewnętrznej. Kamiński oddając się badaniu języka ojczyznej spełniał wielce odpowiednie potrzebie czasu, i użyteczne posłannictwo naukowe. Język polski pod ówczas zaniedbany powszechnie, wygnany ze szkoły i urzędu, ulegał coraz większemu skażeniu. Wszystkie wychodzące pod ówczas pisma, któreśmy wliczyli powyżej, odznaczały się niepoprawnością języka. Wszystkie zapełniały się jak widzieliśmy przeważnie tłumaczeniami, a nie nie kazi tak łatwo języka, nie zanieczyszcza go tysiącem błędów i zwrotów sprzecznych z jego duchem, jak tłumaczenia dokonywane przez lada kogo, przez ręce nie władające językiem w całej jego skali rozległej, przez tłumaczy nie przejętych rdzennie jego duchem, jego właściwościami. Nie bardziej nie wymaga wytrawności i biegłości pióra jak tłumaczenie. Tłumacząc z obcego języka mimowolnie myśl lgnie do tamtych zwrotów i daje się porywać w kierunku obcym językowi własnemu. Potrzeba obok doskonałej znajomości obu języków wielkiej jeszcze samodzielności umysłu i wprawy, aby nie dać się porwać prądowi obcych zwrotów, lecz myśl oryginału ująć samodzielnie i we własnej szacie po swojemu wyrazić w przykładzie z wszystkimi jej odcieniami. Widział Kamiński jak zagrożony był język, czuł boleśnie jego skażenie, czuł że bez języka niepodobna stworzyć literatury, że literaturę od języka zaczynać należy. Postanowił tedy umiejętnie stanąć na jego straży — rozjaśnić jego wnętrze — zgłębić i wyjawić jego tajniki — rozsunąć jego organizację — zbadać ducha i tym sposobem dać trwałą podstawę jego dalszemu doskonaleniu się a od dalszego zepsucia uchronić. Kamiński chciał stworzyć, że tak powiem, filozofię gramatyki polskiej, określić ogólne zasady organizmu naszego języka. Rozległe studia filologiczne i filozoficzne,

poznajomienie się zwłaszcza z dziełami filozofów niemieckich uprawiających lingwistykę, wprowadzały go na nowe, oryginalne tory, i otwierały przed badawczym wzrokiem jego nieznane u nas przedtem sfery pojęć. Kamiński posiadał umysł oryginalny a nader przytem żywą wyobraźnię. Każda myśl pochwycona gdzie indziej, przetwarzając się u niego w pogląd oryginalny, własny, nastęrczała nowe punkta widzenia rzeczy z właściwego samodzielnego stanowiska — a wyobrażenia z niewyczerpanego płynąc zasobu nasuwała całe szeregi pojęć, które go porywały nowością widoków, nie zawsze mogących wytrzymać krytyki ścisłego rozumowania. Bywa, iż uniesiony bujnością pomysłów snujących się z siebie przez powinowactwo wyobrażeń, bierze takowe za prawdy logiczne, za etymologiczne pewniki, posuwając wnioski swe do kresu fantastyczności, tak iż nazywano filozofię jego *filozofią wyobraźni*. Z tem wszystkim, w tej masie poglądów i myśli, płynących u niego pełnym, jak rzeki wezbranej prądem, znajduje się tak wiele prawd istotnych, oryginalnych, po raz pierwszy w swoim czasie na jaw wydobytych, iż zadawszy sobie pracę dokładnego przestudyowania i zrozumienia filozoficzno językowych badań Jana Nep. Kamińskiego, nie podobna odmówić im naukowej wartości i nie uczcić w autorze badacza potężnego umysłu i oryginalnej samodzielności. Tej to natury umysły powołane są w porządku umysłowego postępu ludzkości, posuwać naprzód umiejętność i nowe odkrywać tory. Nie możemy zatem podzielać lekceważenia, z jakim o naukowych pracach Kamińskiego wyrażano się nieraz tak przedtem za życia autora, jak i dotychczas jeszcze. Nieszczęściem styl naukowy Kamińskiego był tak treściwie zwięzły, aforystyczny, i do dziwaczności oryginalny, iż czynił pisma jego nieprzystępnymi, prawie niezrozumiałymi. Z niezrozumienia poszło lekceważenie i szyderstwo. Zamiast dobrać się do jądra myśli znęcano się nad łupiną, nie mając uzdolnienia lub chęci sięgnąć głębiej. Dziwactwo stylu odstraszyło publiczność od filozoficznych rozpraw jego i uczyniło je nieużytecznymi, bo ich nie czytano, a autora narażało często na pośmiewisko. Jedno tylko zdarzyło mi się czytać trafne ocenienie rozprawy Kamińskiego, na gruntownem zrozumieniu jej myśli oparte, prawdopodobnie pióra samego Chłędowskiego w *Rozmaitościach* lwowskich, jeśli się nie mylę, z roku 1830. Ale za to zarzutów, krytyk płytko rzecz biorących, było dużo. Konstanty Słotwiński napisał komedyjkę *Lelum Polelum*, w której cytując wyrażenia i zwroty z rozpraw Kamińskiego wyjęte, których znaczenia nie rozumiał, usiłuje nadać im błazeńską fizyonomię i w końcu autora do

czubków wyprawia. Zaczny dyrektor Zakładu im. Ossolińskich chcąc wyśmiać Kamińskiego, ubliżył sobie, okazawszy iż nie umiał głębiej zastanowić się nad tem, co w poważnej tendencji swojej na zastanowienie i zgłębienie zasługiwało. Młodzież gorętsza z natury i instynktem sympatyi biorąca rzeczy nieraz trafniej od innych, rozumiała przeczuciowo, że w słowie Kamińskiego zawiera się wiele prawd ukrytych dziwactwem stylu. Tworzyły się kółka, którym Kamiński na ich prośby wykładał system objęty w rozprawach o filozoficzności języka. Słuchano go z uniesieniem, rozwijał albowiem taki zasób nauki i szeroko sięgających poglądów, że młodzież widziała się słowem jego przeniesiona w nowe sfery umysłowe i z rozkoszą pojmowała objaśnione ustnym wykładem to, co w martwej głosce drukowanej zdawało się czemś płytkiem a czasem nawet potwornem. Sam Kamiński miał zwyczaj mawiać:

— Nie rozumiecie mię dzisiaj, ale zrozumieją mię kiedyś później, wtenczas przestaną śmiać się i ocenią należycie.

Mówił to bez przechwałki, z naiwną szczerością, i poniekąd miał słuszność. Wolał być jednak wyrażać się zrozumialej i być zrozumianym od razu nie czekając przyszłych pokoleń.

Kamiński atoli przekonany, że każdy wejdzie a przynajmniej wejść powinien w znaczenie jego wyrażen i sposób wysławiania naukowego, dawał się unosić zbytnej chęci wykazania za jednym razem, praktycznie, niejako samem wysłowieniem, łączności budowy języka i etymologicznych jego pierwiastków, z naturą organizacyi umysłu ludzkiego; chciał dotykalnie, że tak powiem, uwydatnić, iż język nie jest przypadkowym wymysłem czyimkolwiek, *ale koniecznym, logicznym wyrazem organizmu duszy, nie dowolnie, ale wedle istoty tegoż organizmu, prawem logicznego porządku natury utworzonym*. „Gramatyka, powiada on w zakończeniu swej pierwszej rozprawy, winna *z jednego punktu wytoczyć całe pasmo organizacyi języka, a przeto samo i objawić ducha narodu, który tym językiem władał, myślił i myśli swoje znać*“.

To jest główna myśl filozoficzno-etymologicznych badań Kamińskiego; treść i podstawa całego jego systemu. Zdało mu się, że najłatwiej da się zrozumieć i najtręściej rzecz wykaże, gdy zamiast szerokich określeń, tłumaczyć się będzie wysłowieniem opartem na wywodzie powinowactwa pierwiastków etymologicznych. Stworzył sobie tedy swój własny ów styl niezrozumiały, potworny z pozor, aforystyczno-hieroglificzny, mający połączyć w samem już wysłowieniu zarazem twierdzenie i dowód, zdanie i przykład. W hieroglif tego stylu zamknięta filozofia Kamińskiego z tej przy-

czynny pozostała nieprzystępna dla ogółu i stawiała się często przedmiotem szyderstw podobnych jak w dyalogowanym pamflecie Słotwińskiego. Kamiński wszakże nie zrażał się ani szyderstwami, ani obojętnością. Obarczony mnóstwem zajęć, mianowicie dyrekcją teatru i dostarczaniem dlań repertoarza, powracał ciągle do ulubionych swych badań językowych, żył niemi, snuły mu się one ciągle w myśli i nasuwały mimowolnie pod pióro w poezyi i prozie, chociażby tylko w aforystycznie rzucanych od czasu do czasu notatkach lub przypisach do innej treści artykułów, w redagowanych przez *Rozmaitościach*. Ale ująć całe szeregi owych rojących się bujnie pomysłów w jeden rozległy i opracowany system nie stawało Kamińskiemu czasu ani możności. Dużo tym sposobem pracy i myśli zasobu przepadło niepostrzeżenie. Mnie samemu czytał wyjątki z jakiegoś swego dzieła filozoficznego, które sądząc z grubości rękopisu już gotowego, musiało być na wielki rozmiar zakreślone, wszelako nie było ani drukowane, ani zapewne nawet skończone:

— Gdyby, powtarzał często Kamiński, znalazł się ktoś, coby mi dał fundusz taki, ażebym lat kilka mógł się wyłącznie oddać napisaniu dzieła obejmującego mój system filozoficzny, w ówczas dokonałbym czegoś istotnie pożytecznego na polu naukowym dla umiejętności i języka. Obarczonemu codzienną na chleb powszedni pracą, niepodobna mi zabrać się do czegoś podobnego.

Po długich dopiero latach, gdy Kamiński znużony walką z ciągłymi przeciwnościami, i obarczony wiekiem stanął już prawie nad grobu krawędzią, znalazł się ten ktoś, co obiecał dać nakład na dzieło. Był nim Adam Zamojski, ekscentryk i rzadki w swoim rodzaju typ staropolskiego arystokraty, owianego już atmosferą pojęć nowoczesnych. Był to mecenas literatury, miłośnik nauk i poezyi, zwłaszcza że sam się uważał za poetę i pisał bardzo wiele wierszy najczęściej okazyjonalnych, nie mających wprawdzie wartości poetycznej, ale odznaczających się pewnym klasycznym nastrojem i duchem staropolskim, które lubił odczytywać swym znajomym i w licznych rozpowszechniał odpisach lecz nigdy nie drukował. Zamojski lubił i cenił Kamińskiego; poezye jego umiał na pamięć i deklamował wraz ze swojemi. On to ofiarował się dać nakład na dzieło Kamińskiego, skutkiem czego tenże wydał psychologię, wedle systemu swego opracowaną, pod tytułem: *Dusza uważana jako myśl, słowo i znak*. Lwów 1851. W dziele tem rozwinął Kamiński i uzasadnił psychologicznie powyżej wskazaną myśl łączności logicznej pomiędzy organizacją umysłu ludz-

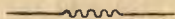
kiego, a mową i pismem. Znajduje się tam, jak we wszystkich naukowych pomysłach Kamińskiego, wiele poglądów oryginalnych, wiele prawd uzasadnionych, obok sieci mrzonek etymologicznych, opartych częstokroć na kruchem powinowactwie brzmienia, na przypadkowym podobieństwie wyrazu. Grzeszą tem mianowicie dodatki pomieszczone w przypisach. Dzieło to nie zwróciło na siebie należytej uwagi, zwłaszcza, że ukazało się w porze, kiedy przeminał był już okres popędu do badań filozoficznych, a przeważała w literaturze tak u nas jak za granicą historia i nauki przyrodnicze.

Aby należyście ocenić działalność i zasługi J. N. Kamińskiego, potrzeba go z trojakiego uważać względu, jako dyrektora teatru, uczonego i poetę. Kamiński pisał dużo poezyi, rozmaitej treści, wiele wierszów okolicznościowych, bądź oryginalnych, bądź tłómaczonych i naśladowanych, które umiał zawsze przyprowadzić stosownemi aluzjami do chwili bieżącej, do rzeczy najbardziej publiczności obchodzących, z wielką jej uciechą a nieraz uniesieniem. Wydał osobno zbiorek swych poezyi pod tytułem: *Haliczanka*. Znajduje się tam większego rozmiaru poemat *Lunatyk*. Poezye atoli Kamińskiego nie odznaczają się szczególniejszym talentem, nie posiadają w ogóle ani lirycznego potoku, ani żywości obrazowania, znamionujących prawdziwy dar poetyczny. Wszędzie, tak w poezjach oryginalnych, jakoteż w przekładach, znać raczej rozumnego artystę rzeźbiącego misternie obmyślany z góry przedmiot, niżli poetę porwanego natchnieniem i wypowiadającego mimowiednie myśli i uczucia wrące w głębi duszy. Potraçał Kamiński częstokroć w wierszach swoich etymologiczne swe wywody, zapełniał filozoficznemi aforyzmami, jak n. p. wiersz *O tłómaczeniu* napisany do Wincentego Kopestyńskiego, tłómacza dzieł Rasyna, jest cały wierszowaną rozprawą dziwaczного zakroju, podobnie jak wszystkie w ogóle naukowe pisma Kamińskiego. Z tem wszystkim posiadał on w duszy iskrę poetyczną i znajdują się w wierszach jego prześliczne ustępy, prawdziwem ogrzane ciepłem poezyi, jak n. p. w wierszu na pamiątkę położenia kamienia węgielnego pod dom głuchoniemych we Lwowie, lub w ślicznie pomyślanym *Pajacu*, gdzie przez uśmiech gryzącej ironii przebłyska łza serdecznej gorczy i rzewnego bólu. Sonety napisał skutkiem zakładu, gdy bowiem pojawiły się po raz pierwszy sonety Mickiewicza i we Lwowie przyjęto je z uniesieniem, Kamiński wyraził się lekceważąco o tym rodzaju poezyi i założył się, że w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin sto takich napisze. Wygrał zakład, ale bóstwo poezyi sro-

dze się pomściło za lekceważenie, albowiem z jego dzieł poetycznych żadne nie przeżyło autora.

Kamiński pozyskał sobie sławę najlepszego w swoim czasie tłumacza, zwłaszcza dzieł Szyllera. Przełożył całego *Wallensteina*, *Dziwon* i wiele innych rzeczy, on pierwszy zapoznał publiczność polską z Kalderonem, spolszczywszy dla sceny jedną z jego tragedyi, pod tytułem *Lekarz swego honoru*. Przekłady Kamińskiego mają tę samą cechę co i oryginalne jego poezye. Są ciężkie, nie dorównywiają oryginałowi w misternem wycieniowaniu szczegółów i drobiazgowych ozdób stylu, ale odznaczają się za to głębokiem pojęciem jego ducha, jego zasadniczej myśli i są niby z jednego odlewu posągami, odtwarzającemi piękność oryginału w głównych jego rysach. Trudno o tłumacza, któryby tak dobrze znał tajniki języka i tak wszechwładnie nad nim panował, tak umiał go wszędzie użyć i zastosować jak Kamiński. A był pod tym względem nadzwyczaj staranny i skrupulatny. Przekładając rzecz jaką powtarzał i przerabiał każdy ustęp, każdą strofę, tak długo, dopóki nie odpowiedziała wymaganiu. I czynił to nie na pamięć, nie w myśli, ale za każdym razem odpisywał cały ustęp chociażby wielokroć razy. Posiadam jego własnoręczny brulion przekładu jednego z poematów Wielanda, w którym znajdują się niektóre strofy przepisane raz po raz dwadzieścia razy, z nowemi poprawkami, tak iż nie przystąpił do przekładu następnej strofy, dopóki go poprzednia nie zadowoliła zupełnie. Przekłady Kamińskiego dzielą się na dwie kategorie. Jedne, nad któremi pracował w celu czysto literackim, drugie, których dostarczał dla sceny. Oryginalnie Kamiński nie wiele napisał rzeczy scenicznych. Najznakomitszym jego utworem dramatycznym oryginalnym, jest druga część *Krakowiaków i Góralów*, czyli *Zabobon*, w której naśladował Bogusławskiego. Grywają ją dotąd często na scenie lwowskiej z powodzeniem. Nie wiele pisząc oryginalnie, tłumaczył, przerabiał, naśladował niezmierną ilość sztuk rozmaitego rodzaju. Znając doskonale smak publiczności i wymagania miejscowe, umiał je przeodziać w szatę swojską, zaprawić humorem i tyle miejscowej nałożyć barwy, że zdaje nam się częstokroć mieć oryginał przed sobą. Któżby pomyślał naprzykład, że taka *Szlachta czynszowa*, ten tak wybitnie charakterystyczny, tyle swojskiej barwy posiadający obrazek, jest przerobiony z lichej farsy niemieckiej? Gdybyśmy policzyli wszystkie te tłumaczenia i przeróbki, dokonane dla sceny przez Kamińskiego, znalazłaby się niezawodnie jaka setka przynajmniej. Były one rozmaite, lepsze i gorsze, mniej lub więcej

zręcznie dokonane — w ogóle jednak miały wartość dorywczą, jak wszystkie podobne rzeczy, i nie odpowiadałyby już wymaganiom teraźniejszym i dzisiejszemu smakowi. Wartoby przecież aby kto się zajął wydaniem zbiorowem pism J. N. Kamińskiego. Rzecz naturalna, że potrzeba by ścisły uczynić w nich wybór—wyróżnić to wszystko, co było robione doraźnie, po rzemieślniczemu dla sceny od tego co nosi cechę pracy naukowej i literackiej — pominąć, tamto a zachować to, co posiada rzetelną wartość literacką.



CZEŚĆ DRUGA

V.

Trzy okresy literatury w Galicyi — Zbiory pieśni ludu — Wacław z Oleska — Żegota Pauli — Obudzony na nowo ruch literacki — Zebrania literackie u Augusta Wysockiego — Jego księgozbiór.

Dzieje literatury w Galicyi podzielić wypada na trzy okresy, z których każdy uwydatnia się odmiennymi cechami i rozmaitym kierunkiem. *Haliczanin* zamyka okres pierwszy, najuboższy tak w pisarzy jak i w uzyskany plon literacki. Jest to okres początkowy, że tak powiem przygotowawczy. Literatura dźwiga się z niemocy, szuka sobie torów właściwych. Życie budzi się dopiero, stąpa nieśmiało jak dziecię na paskach. Ubóstwo widzimy jeszcze wielkie w tych usiłowaniach stworzenia literatury. Karmi się ona po większej części jałmużną u obcych zaczerpniętą, przedrukami, tłómaczeniami i naśladownictwem. Kilka zaledwie wyższych umysłów postępuje samodzielnie i oryginalnym władając piórem, kroczy na czele szczupłej garstki pracowników. Teatr, poezya, powieść usiłująca przywdziać barwy historyczne, historia ograniczająca się po większej części na podaniu niesprawdzonem krytycznie, lub szczegółach archeologicznych, tendenecye naukowe w niemowlęcym zarodzie, objawiające się zwłaszcza pod koniec tego okresu dążnością ku badaniom metafizycznym, w ślad za przeważającym wówczas kierunkiem filozofii spekulacyjnej niemieckiej, oto są główne cechy pierwszego tego okresu, którego ostatnim słowem był *Haliczanin*. Drugi okres trwa od roku 1830 po rok 1848. Początki jego znamionują się również poezją i belletrystyką, ale inny tu już duch

wieje - inne objawiają się kierunki. Ludzie pielęgnujący literaturę usiłują przescheczyć ją na grunt swojski, nadać jej życie własne, wysnuć z swojskich motywów i na swojskiej oprzeć tradycyi. Zamiast szukać natchnienia jak ich poprzednicy w Szyllerze i Goethem, Herderze i Kancie, oglądają się za pieśnią ludu, za podaniem ludowem i kronikarskiem, za poezją starosłowiańską, aby z niej wydobyć nowy oryginalny koloryt; idą czerpać natchnienia w źródłach odpowiedniejszych własnej naturze i własnemu duchowi. Poszukiwacze złota, puszczają się na zbadanie nie odkrytych dotąd kopalni, w których wyobrażają sobie niewyczerpane skarby — gromadzą zbiory pieśni ludu, podania, klechdy, zaczynają się rozczytywać w kronikach, poszukiwać zbutwiałych pergaminów, w których czasem jeden szczegół wyczytany, więcej waży na ich szali, niżeli najlepsza rozprawa filozoficzna. Poezya szukając zasobu natchnień w historyi, wprowadza literaturę na grunt historyczny, z czego tworzy się nowy kierunek, uwydatniający się przeważnie w całym następnym rozwoju literatury galicyjskiej. Po przekładzie *Wyprawy Igora, Rękopisu krółodworskiego*, i pieśni serbskich po *Ziwonii i Pracach literackich*, następuje era prac historycznych, poszukiwań źródłowych, krytycznych i oto wnet przedstawia się znakomity zastęp pracowników na tem polu, odznaczających się erudycją, pracą i talentem, którzy świetne w dziejach literatury zajęli miejsce, jak Bielowski, Szajnocha, Maurycy Dzieduszycki, Kazimierz i Aleksander Stadniccy. Dzieła każdego z nich mają odrębne cechy i tendencye, wszystkie atoli są wynikiem gruntownych źródłowych badań. Autorowie ci wprowadzili poszukiwania historyczne na tor właściwy i postawili dziejopisarstwo w Galicyi na wyżynie odpowiednej wymaganiom nowożytnych pojęć naukowych. Lwów może się poszczycić, iż wydał najznakomitszych na tem polu pisarzy, których dzieła, czyniące chlubę piśmiennictwu, znacznie się do postępu umiejętności przyczyniły i powszechne w świecie naukowym zjednały sobie uznanie. Literatura historyczna w Galicyi, której początek zaznaczamy w niniejszym okresie, rozwija się do dzisiejszego dnia coraz szerzej i świetniej, pielęgnowana starannie przez przybywających coraz nowych z młodszego pokolenia pracowników. Wyrazem i głównym przedstawicielem tego kierunku był zmarły niedawno August Bielowski, głównym też ogniskiem prac i wydawnictw historycznych jest zakład naukowy im. Ossolińskich, którego zmarły był dyrektorem. Następca jego dzisiejszy dyrektor zakładu dr. Kętrzyński, znany zaszczytnie

na polu badań historycznych, w tym samym kierunku przewodniczy zakładowi.

Trzeci okres literatury w Galicyi naznaczamy od roku 1848 po dni dzisiejsze, dla tego, iż w tym to mianowicie roku 1848 rozwinęło się dziennikarstwo, na stopę nieznaną przedtem w Galicyi — a przechodząc później rozmaite koleje, spoteżniało ostatecznie do tego stopnia, iż w znacznej części zagarnęło swym prądem wszystkie kierunki życia umysłowego i owładnęło całym niemal ruchem literackim. Dzisiaj wszystko koncentruje się w dziennikarstwie. Każda ukazująca się na widok publiczny książka, przechodzi wprzód przez feilleton gazety, lub jest odbitkiem z którego dziennika literackiego; z wyjątkiem małej liczby dzieł ściśle naukowych obszerniejszego rozmiaru. Feilleton pochłonał literaturę. Dziennik zastąpił miejsce książki. Jestto w obecnej chwili charakterystycznym znameniem literatury w Galicyi, mianowicie we Lwowie.

Kraków, od chwili przyłączenia go do Galicyi, stawszy się tem samem jednym z czynników ogólnego życia umysłowego galicyjskiego, zachował wszelako zawsze pewne odrębne cechy, odróżniające go od Lwowa i na osobnem stawiające stanowisku. Kraków w literaturze galicyjskiej jest wyrazem kierunku poważnego, naukowego. Niema tu tyle wrzawy i swarów dziennikarskich co we Lwowie. Praca literacka krzewi się na gruncie naukowym, koncentruje jak dawniej w Towarzystwie naukowem, tak dzisiaj w akademii umiejętności i akademii Jagiellońskiej, szczyli się imionami pisarzów i badaczy, tak wielkiego talentu i sławy uznanej, jak prezes akademii Majer, Lucyan Siemieński, Szujski, Tarnowski, Estreicher, lub zmarli niedawno Kremer, Skobel i inni. Wyrazem dziennikarstwa tutejszego jest jedyny dziennik polityczny *Czas*, który przetrwał rozmaite koleje i spółzawodnictwa w trzydziestoletnim już blisko ciągu swego istnienia, nie dawszy się nigdy sprowadzić z wytkniętego kierunku, zachowując zawsze poważny i konsekwentny pogląd a zarazem przyzwoitość tonu w najdrażliwszej nawet polemice, które to przymioty zjednały mu uznanie i poważanie ze strony najzaciętszych nieraz przeciwników. Wychodzący od lat dziesięciu tamże *Przegląd polski*, jest wprawdzie wyrazem pewnej koteryi, której zdań politycznych a czasem i literackich poglądów można nie podzielać nie podobna wszakże odmówić pismu wielkiej literackiej wartości. Posiada ono artykuły wychodzące z pióra najlepszych pisarzy społecznych treści literacko-krytycznej i historycznej. Głównym wszakże wyrazem prac naukowych, badań na polu

umiejętności i poważnego ruchu umysłowego są wydawnictwa akademii umiejętności, podobnie jak przedtem były Roczniki Towarzystwa naukowego.

We Lwowie ostatniemi czasy objawia się coraz wydatniej dążność do nauk przyrodniczych. Fizykę we wszystkich jej działach uprawia dr. Wojciech Urbański, autor *Fizyki Umiejętnej* i wielu innych dzieł w tym przedmiocie, wysoko cenionych nie tylko u nas ale i za granicą w świecie uczonym. Głównem ogniskiem nauk przyrodniczych jest uniwersytet, podobnie jak historycznych zakład im. Ossolińskich. W gronie profesorów uniwersytetu zawiązane towarzystwo pod imieniem Kopernika, mające na celu uprawę nauk przyrodniczych, rozwija się i potężnieje z dniem każdym pod przewodnictwem prof. Radziszewskiego, znanego zaszczytnie na polu badań naukowych. Od roku zaczęło wychodzić pod jego redakcją czasopismo *Kosmos*, będące wyrazem prac towarzystwa. Zawiązane już dawniej towarzystwo lekarskie popiera też samą dążność we właściwym sobie kierunku. Odbyty przed dwoma laty zjazd przyrodników i lekarzy polskich we Lwowie, znakomicie się przyczynił do ożywienia uprawy nauk przyrodniczych. Prace znakomitego naszego ekonomisty Józefa Supińskiego objęły cały system gospodarstwa społecznego.

Skreślony powyżej ogólny pogląd na przebieg literatury w Galicyi i główne znamiona cechujące takowy, posłuży czytelnikowi do łatwiejszego zorientowania się w tem, co później powiemy. Wróćmy obecnie do chwili, na której skończyliśmy pierwszy okres tego przebiegu. Była to chwila, gdzie wszystkie umysły uczuwały potrzebę oryginalności w literaturze, modelowanej dotąd na wzorach głównie niemieckich, i oglądały się za źródłami, z kądby nowych, szczerze swojskich zaczerpnąć przedmiotów i swojskiego szczerze kolorytu, ażeby natchnąć literaturę duchem nowym, otrząść się z pasków naśladownictwa, pójść własnym torem samodzielnie. Takim źródłem było życie ludu, w swej pierwotnej barwie, nie zmaczone powiewem obczyzny, jego obyczaje, podania, zwłaszcza pieśni, zawierające według powszechnie panującego w ówczas wyobrażenia nieprzebrane skarby poezyi, wysnute bezwiednie z głębi duszy samorodnych poetów gminu, a zatem pełne tego właśnie, za czem szukano, to jest samorodnej oryginalności, niezmaczonej obczyzną. Spodziewano się znaleźć w pieśni ludowej bogactwo wyobraźni, rzewność uczuć i nowość myśli, mających zasycić literaturę nowemi potężnemi żywioły, zaczerpniętymi w naturze własnego kraju i obyczaju. Ztąd powszechna dążność do zbierania pieśni

gminnych, aby wyzwolić literaturę z naśladowania i tłumaczeń — aby ją popchnąć nowym torem i natchnąć żywotną siłą samodzielności. Pomiędzy młodem pokoleniem zwolenników literatury objawia się około roku 1830 w Galicyi żywy ruch w tym kierunku. Wszystko krząta się około zbierania pieśni ludu, łowi uchem każdy ton spiewki z ust wieśniaczych płynącej. Każdy pochwycony najczęściej przypadkowo lub podstępnie wierszyk tej spiewki, wydaje się nieocenionym skarbem, i gromadzi starannie dla pomnożenia skarba literatury. Wiadomo jak podejrzliwie płochliwy jest lud nasz, gdy obaczy kogoś co chce podpatrzeć jego życie, jego uczucia i myśli. Jakoż nie trudniejszego jak zbieranie tych pieśni, milknących natychmiast, skoro się znajdzie w pobliżu ktoś, coby je rad niejako wydrzeć z właściwego im gniazda i na swoją własność obrócić. Najczęściej tedy nie było innego sposobu usłyszenia tej i owej spiewki, jak z nienacka, podstępem, wówczas kiedy spiewak czy spiewaczka nie podejrzawali, że ktoś podsłuchuje i skorzysta z tej nuty, nieświadomie, niewiastnie wychylającej się na świat boży. Potrzeba było podsłuchiwać żniwiarki przy żniwie, prządki przy kądzieli, po weselach i wieczornicach, w chacie i karczynie, po jarmarkach i odpustach. Szał ten tak był ogólny, a cel zdawał się tak pożyteczny i wzniosły, iż te trudności zdawały się niczem; mnóstwo ochoczych znachodziło się poszukiwaczy, młodzież wracająca z wakacyi uszczęśliwiona była wioząc z sobą kilka zdobytych w czasie pobytu na wsi piosnek — dopomagały najskuteczniej w ich zbieraniu mamy, siostry i ciocie — plon tedy rósł obfity, w nadziei przysporzenia tym sposobem wielkich korzyści literaturze.

W onym to czasie postanowił wydać zbiór pieśni gminnych Wacław Zaleski, znany w literaturze pod pseudonimem Wacława z Oleska. Należąc do starszego już nieco grona literatów, był od roku 1826 współpracownikiem *Rozmaitości*, które za czasu redakcyi Michalewicza stale artykułami swemi zasilął. Początkowo oddawał się matematyce i był przez jakiś czas zastępcą profesora tego przedmiotu na uniwersytecie. Ulubionym wszakże przedmiotem jego były studia estetyczne, literatura, poezya i teatr. Należał on do najlepszych pisarzy swojego czasu w Galicyi, a estetyczno krytyczne jego artykuły w *Rozmaitościach*, były ozdobą tego pisma i wartość ich znacznie podniosły. Znał dobrze estetyków niemieckich a poglądy jego krytyczne oparte były na zasadach umiejętnych, odpowiednich pojęciom ówczesnym. Krytykę teatru umieszczał w *Rozmaitościach* pod napisem: *Teatr we Lavowie przez Kontraktowego*. Umieścił w temże piśmie ocenę powieści J. Ur. Niemcewi-

cza: *Jan z Tenczyna*, dramatów Kalderona i wielu innych przedniejszych dzieł. Usiłował zwrócić uwagę publiczności polskiej na literaturę czeską, i w szeregu artykułów wskazał jej tendencje i wagę. Wstąpiwszy do urzędu, przeniesiony został w roku 1828 do obwodowego miasta Sącza. Tam na prowincyi miał więcej jeszcze sposobności doprowadzenia do skutku zamiaru gromadzenia pieśni ludowych. Zajmował się też gorliwie przedsięwziętą pracą. Zawiązał w tym celu obszerne bardzo stosunki i korespondencje. W całej Galicyi zbierano dla niego pieśni gminne i nadsyłano z wszystkich okolic. Praca postępowała. Zbiór powiększał się znakomicie. Zaleski gromadził pieśni, Karol Lipiński melodye. Tak tedy za powrotem do Lwowa wydał w r. 1833 najobszerniejszy i najznakomitszy jaki posiadamy w tym rodzaju zbiór pieśni gminnych pod tytułem: *Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego, zebrane przez Wacława z Oleska, z muzyką instrumentowaną przez Karola Lipińskiego*. Później zajął się także zbieraniem pieśni ludowych w Galicyi Żegota Pauli i wydał osobno pieśni polskie a osobno ruskie. Uzupełniają one poprzedni zbiór Wacława z Oleska i stanowią z nim pospołu cenny materyał dla badacza wyobrażeń i obyczajów ludu galicyjskiego, chociaż pod względem wartości poetycznej nie posiadają zaiste tych wysokich a szczególniejszych zalet, jakie w onym zwłaszcza czasie powszechnego dla poezyi ludowej szału, jej przypisywano i jakich się po niej spodziewano. Przeminał szął gorączkowy i dziś nie ujmując wartości samorodnej poezyi ludu, ani też przeceniając jej zalety, naznaczamy jej właściwe stanowisko i oceniamy po słuszności. Wszakże przejściowy ów szal miał też swoje znaczenie w literaturze, i pozostawił pożądanę po sobie skutki, bez niego albowiem nie bylibyśmy mieli owych zbiorów, otwierających przed nami skarbnicę poezyi ludowej, nie bylibyśmy się jej przyrzeli tak z bliska, jak to się stało skutkiem tego powszechnego zwrotu ku zbieraniu pieśni ludu, i co za tem idzie, nie bylibyśmy dotychczas może tak dokładnego mieli o nich wyobrażenia.

Żegota Pauli, bibliograf i archeolog, poznał w przechadzkach swych z bliska Galicyę, a zbierając pieśni, badał zarazem jej starożytności, opisywał pamiątki. Rozpoczął był wydawnictwo ważnego dzieła: *Starożytności galicyjskie* z rycinami, które to dzieło, owoc archeologicznych wędrówek po Galicyi, miało wychodzić zeszytami. Tak mało wszakże było jeszcze podówczas zamięłowania rzeczy starożytnych i historycznych, tak mało w ogóle ciekawości naukowej i chęci bliższego poznania pamiątek krajowych, iż wydawnictwo rzeczzone, skończyć się musiało na pierwszym zeszytcie, nie wró-

ciwszy podobno nawet kosztów druku. Pauli przeniósł się wkrótce potem ze Lwowa do Krakowa, gdzie stale zamieszkał.

Po roku 1831 nastąpiła skutkiem wypadków ówczesnych w ruchu literackim w Galicyi przerwa kilkoletnia. Literatura w ogóle była przegębiona cenzurą nadzwyczaj ostrą. Literaci byli rozprószeni, przechodząc rozmaite losy koleje, nim się znów w swobodniejszej do pisania porze znaleźli około spólnego zgromadzenia ogniska. W przymusowem osamotnieniu wykończył Bielowski *Pieśń o Henryku pobożnym*, rzecz ściśle na studyach historycznych opartą i dobierał się po kronikach materiału do dalszych poematów, snując plany, których później zaniechał, prądem innych prac i koniecznych zatrudnień porwany. Młodzi spółtowarzysze jego po lutni i piórze albo zamilkli chwilowo, nie mając swobodnej sposobności do pracy, albo nie mieli możności wystąpienia publicznie z swemi utworami. Trwało to czas jakiś. Wszelako życie kiełkowało w zarodzie i nie dozwalało się stłumić. Potęga jego za nadto silnie ogrzewała młode twórcze talenta, aby chwilowe przeszkody mogły ją zniweczyć. Niebawem życie literackie we Lwowie, jakkolwiek przytłumione i zgębione, w szczupłym ograniczającym się kółku, zaczęło wrzeć coraz silniej i objawiać się wydatniej. Zbiegiem okoliczności gromadzili się podówczas we Lwowie, bądź razem chwilowo, bądź kolejno na przemian najznakomitsi z młodego pokolenia pisarze nasi. Bywał często we Lwowie Seweryn Goszczyński, który korzystając z swoich wędrówek tatrzańskich pisał właśnie *Sobótkę*. Lucyan Siemiński, bawiąc też we Lwowie czas dłuższy przed wyjazdem za granicę, skończył swój przekład *Królowo-dworskiego rękopisu*, tłómaczył pospołu z Bielowskim pieśni i dумы ruskie z ukraińskiego narzecza i piórem pełnem świeżości i wdzięku pisał prześliczne rzeczy wierszem i prozą, *Muzamerit*, owe *przy blasku księżycy* z poetycznym natchnieniem snowane opowieści — cudnie piękne perły w literaturze naszej. Podówczas też wystąpił po raz pierwszy *Jadam z Zatora*, Adam Gorczyński, z utworami wierszem i prozą, usiłujący za przykładem Kaz. Wład. Wójcickiego odtwarzać przeszłe społeczeństwo w powieściach staroświeckiego kroju i staroświeckim z kronik zaczerpanym językiem. Wkrótce też przybył do Galicyi Dominik Magnuszewski i zawiązał ściśle, przyjaźne stosunki z Bielowskim i braćmi Borkowskimi. Ruch ten coraz żywszy gromadził się głównie około Bielowskiego, który starszy wiekiem i doświadczeniem literackim, stał niejako na jego czele i ożywiał radą i czynem, słowem i piórem. Jak później zobaczymy stał on na czele wszystkich literackich przedsięwzięć,

był kierownikiem każdego podjętego w owym czasie wydawnictwa. Jedynym wychodzącym podówczas we Lwowie peryodycznym piśmie literackim były *Rozmaitości*. Tu więc z konieczności skupiały się przez niejaki czas prace wszystkich literatów lwowskich. Tu umieszczali swe artykuły powyżej wymienieni młodzi pisarze. Była to też najświetniejsza epoka *Rozmaitości*. Ani przedtem, ani nigdy już później nie miały tej literackiej wartości, ani nie mogły się pochlubić współpracownictwem tylu piór znakomych, co w przejściowym okresie, o którym mowa.

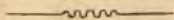
Wszyscy literaci ówczesni schodzili się u Augusta Wysockiego. Mało kto może już dziś pamiętać, nie każdemu wiadomo, że Lwów miał podówczas także swój salon, a raczej kącik literacki, w którym przez lat kilkanaście gromadzili się w towarzyskiem kółku wszystkie znakomitości społeczne, literaci i artyści, cała intelligencya wyższej sfery umysłowej, słowem wszystko to, co z jakiegokolwiek względu zajmowało wybitniejsze stanowisko w literaturze i życiu publicznem. August Wysocki trudnił się adwokaturą. Sam nie był literatem z powołania, ale wielkim zwolennikiem literatury i sztuki, które umiłował tem bardziej, ileże stosunki koleżeńskie wiązały go jeszcze z ławy szkolnej z Bielowskim i innymi literatami lwowskimi. Żył tedy Wysocki w ich kole, w atmosferze tego życia umysłowego, do którego rozbudzania przyczyniał się gorliwie wedle możności i stanowiska swego, usiłując być ogniwem łączącym rozpierzchnione żywioły i utworzyć u siebie grunt spólnego porozumienia się i zetknięcia. Kto zapamięta te czasy, z przyjemnością przypomnie sobie owe dwa małe pokoiki w końcu ciemnego korytarzyka, w narożnej kamienicy na Halickiem, pełne elegancyi i smaku, w które wstępując, pierwszym rzutem oka rozpoznawałeś cechę wyższego wykształcenia i szlachetnych usposobień gospodarza domu. Małeńkie, miniaturowego rozmiaru pokoiki, zapełnione były książkami, rycinami, odlewami bronzowemi. Znachodziły się tam najnowsze dzieła, najprzepyszniejsze ryciny, a wszystko odznaczało się wartością artystyczną, literacką lub pamiątkową. Każdą nowość pojawiającą się w dziedzinie literatury i sztuki spotkałeś tu pod ręką nim się jeszcze pojawiła na pułkach księgarskich i poczta rozniosła w obieg publiczny. Ale i to wszystko, czego na pułce księgarskiej znaleźć nie mogłeś i nie miałeś nadziei, czekało już na zaspokojenie twojej ciekawości u Augusta Wysockiego. Miał on bowiem swoje drogi i rozległe stosunki po za kołem księgarskim, za pomocą których dostawał wszystkie nowości i wydawnictwa zagraniczne z Lipska, Paryża, Londynu, mianowicie polskie, lub do rze-

czy polskich się odnoszące. Poczytywał on to sobie za chlubę, miał w tem zamięłowanie i próżność szlachetną, aby posiadać z tych rzeczy wszystko, co tylko wychodziło a niedostępne było komu innemu z powodu stosunków krajowych. Tym sposobem utworzył sobie z czasem bibliotekę, złożoną z kilkunastu tysięcy tomów, dzieł wyborowych, pomiędzy którymi znajdowały się komplety wydańnictw społecznych zagranicznych polskich i w ogóle rzeczy, jakimi się żadna inna biblioteka pochlubić nie mogła. Gdy szczupłe pomieszkanie pomieścić nie mogło wzrastającej nieprzestannie liczby książek, tylko najnowsze dzieła pozostawały w bibliotece podręcznej, ułożone w szafach lub po prostu całemi stosami w obu salonikach mieszkalnych; dawniejsze ustępowały im miejsca, przenosząc się pakami do osobnego składu. Biblioteka Wysockiego była jakby publiczną. Korzystali z niej obficie literaci miejscowi, mając tutaj wszystkie nowości, których napróżno szukaliby byli gdzie indziej. W tym też głównie celu zbierał ją Wysocki, poczytując to sobie za największą przyjemność gdy je mógł na użytek literacki ofiarować swym przyjaciółom.

Ale nietylko literackie usługi świadczył literatom Wysocki. Adwokatura zyskowniejszem była zajęciem od literatury po wszystkie czasy, a zwłaszcza wówczas, kiedy nie dawała stałego, choćby jakiego takiego dochodu, kiedy jeszcze we Lwowie nie znano wcale honoraryów literackich. Nie tylko biblioteka ale i kieszeń Wysockiego stała otworem dla jego przyjaciół. Jedni pożyczali i oddawali, ale byli i tacy, co zawsze tylko pożyczali, a nigdy nie oddawali. Nie zrażał się tem wszelako i zawsze gdzie należało w szlachetnym celu gotów był podać pomocną rękę, czy to prywatnie przyjaciołom, czy na potrzeby publiczne. Nie usuwał się od żadnego przedsięwzięcia, mającego rozleglejsze publiczne znaczenie, czy to ono wymagało funduszków, czy też czynnego współdziałania. Jego to nakładem wyszły wydane przez Bielowskiego we Lwowie *Pisma Seweryna Goszczyńskiego*, w trzech tomach, z których pierwszy obejmuje *Zamek Kaniowski* i poezye liryczne, a dwa następne *Przekład pieśni Ossyana*.

Zebrania towarzysko-literackie u Wysockiego, oprócz że były same przez się bardzo przyjemne, miały jeszcze z innej strony wielką doniosłość i ważne skutki. Tu w gronie najwyższej inteligencji kraju wyrabiała się opinia, wyjaśniali zdania, tworzyły projekta, których spełnienie przynosiło nieraz wielkie korzyści literaturze i krajowi. Przez wiele lat schodzono się tu regularnie na czarną kawę codziennie pomiędzy godziną drugą a czwartą,

a oprócz tego na dłuższe zebrania wieczorami. Aby dać miarę doniosłości tych zebrań, mających cechę niewymuszoną ściśle poufnej towarzyskiej pogadanki, dosyć będzie wymienić niektórych uczestników należących do zbierającego się tutaj zazwyczaj grona. Codziennym gościem bywał tu za każdym pobylem swoim we Lwowie Seweryn Goszczyński, bywali August Bielowski i Lucyan Siemieński, Wacław z Oleska, późniejszy gubernator Galicyi, Józef i Leszek Borrowscy, Jan Kanty Podolecki, Józef Dierżkowski, ożywiający zawsze rozmowę błyskami dowcipu, pełnego werwy i trafnego poglądu, Franciszek Smolka, dzisiejszy minister Ziemiałkowski i inni. Trwało to do roku 1848, w którym to czasie literatura w Galicyi przybrała w ogóle cechę bardziej polityczną i w znacznej części przeszła w inne ręce. Potworzyły się nowe koła i kółka literackie. Dawni Wysockiego znajomi rozpierchnęli się lub poszli w nowym kierunku nowemi drogami. Wysocki usunął się odtąd zupełnie od ruchu literackiego i politycznego. Żyjąc w osamotnieniu, coraz mniej udzielał się światu, przygnębiony ciężko troskami rodzinnymi. Nie przestał i później powiększać swej biblioteki, powodowany dawnem zamiłowaniem, chociaż nie wydawał już na nią tyle co przedtem. Po jego śmierci szacowna ta biblioteka, przeszedłszy w ręce nie umiejące należycie ocenić jej wartości, sprzedaną została dobrowolnie za bezcen przez publiczną licytacyę. Tym sposobem to, co właściciel gromadził tak starannie przez lat wiele, rozpierchło się niepowrotnie bez śladu. Aby dać miarę pomienionej straty, dosyć powiedzieć, że komplety wszystkich pism peryodycznych polskich zagranicznych, jakich żadna nawet publiczna biblioteka podobno nie posiada, sprzedano na makulaturę na funty. Antykwarz lwowski Igiel wziął nazajutrz za komplet jednego tylko z pism tam zakupionych tyle prawie, co za wszystko razem zapłacił.



VI

August Bielowski i jego stanowisko literackie — Plastyka w poezji — *Wyprawa Igora na Połowców* — *Rękopis króloworski* i *Trąby w Dnieprze* Lucyana Siemieńskiego — *Pieśń o Henryku Pobożnym* — Stan dziejopisarstwa w Galicyi — Ks. Chodyniecki — Wizyta w bibliotece klasztornej — Belletrystyka historyczna — Powieści Jaszowskiego — Metoda porównawczo krytyczna — Bielowskiego dzieła historyczne — *Wstęp krytyczny do dziejów Polski* — *Monumenta historiae polonica* — Inne wydawnictwa.

August Bielowski i Wincenty Pol są to dwie najwybitniejsze postacie w literaturze naszej, w okresie, o którym mówimy. Bielowski, starszy nieco od Pola, wcześniej rozpoczął swój zawód pisarski. Od lat najmłodszych zamiłowany w literaturze, w niej głównie czerpał swe wykształcenie, po za obrębem szkoły, dostarczającej mu zbyt skąpych i jałowych wiadomości, któremi nie mógł się zadowolić umysł żądny wiedzy, bogaty zarodem wyższych usposobień i pisarskiego talentu. Całe też wykształcenie swoje zawdzięczał Bielowski nie szkole, jak o tem sam często wspominał, lecz rozczytywaniu się w najznakomitszych dziełach literatury ojczystej i obcej, w pisarzach Zygmuntownskich, w klasykach starożytnych, równie jak autorach współczesnych, mianowicie niemieckich. Potrzeba było wielkiej usilności a pracy, wytrwałości pochodzącej z prawdziwego zapału i zamiłowania rzeczy, aby w najprzykrzejszych okolicznościach nie ustać w połowie drogi do obranego celu, pozostać mu niezachwianie wiernym przez wszystkie koleje życia, zgromadzić taki ogromny zasób erudycyi i rozwinąć tak rozległą czynność na właściwem sobie polu, wszędzie i zawsze, gdzie tylko można było skutecznie i z pożytkiem działać dla publicznego dobra. Był to mąż gorącej duszy i wielkiego zapału, pomimo flegmatycznego pozornie usposobienia. Zimny w powierzchownem obejściu, w gruncie duszy był pełen dobroci i łagodności, szlachetnego umysłu, uczynny

dla każdego, a w rzeczy publicznej żelaznych przekonań, niezachwianego charakteru. Ubogi z urodzenia, większą połowę życia walczył z niedostatkiem, dopóki po wielu staraniach a męczących nie uzyskał wreszcie, licząc już około czterdziestu lat wieku, skromnej, bardzo ubogo uposażonej posady skryptora w Zakładzie im. Ossolińskich, z której to posady dopiero po upływie długiego lat szeregu awansował na zastępcę kustosa i dyrektora Zakładu. Przedtem atoli bywały czasy, w których Bielowski żył w niedostatku, graniczącym częstokroć z nędzą. Pamiętam kiedy pierwszy raz byłem w jego pomieszkaniu, zajmował w ówczas mały frontowy pokój o jednym oknie pod strychem w kamienicy na Halickim, naprzeciw gmachu sądu karnego. Pod jedną ścianą leżał na ziemi grubo wypchany słomą siennik z pościelą, zastępujący miejsce łóżka. Pod drugą wzdłuż całego pokoju leżały szeregami ułożone na podłodze książki, zajmując prawie połowę pomieszkania. Pod oknem stał stolik z przyborami do pisania a koło siennika jeden drewniany stołek, wypełniony książkami, gdzie obok kilku kronik polskich, leżało otwarte w wielkim formacie zupełne wydanie dzieł Goethego, z których właśnie tłumaczył Fausta. Oto był cały sprzęt biednego polskiego literata. Bielowski utrzymywał się z lekyi prywatnych, a wiemy jaki to dochód kapryśny, niestały, jakim ulegający przerwom. Lekeye te zabierały mu większą część dnia, pozabawiały czasu do pracy, a co gorsza, nużyły umysł i odbierały swobodę. Lecz cóż było począć? Zarobić na chleb codzienny trzeba koniecznie, a zarobku innego nie było. Z lekyi tedy przez długie lata czerpał Bielowski całe swe utrzymanie. Uczył gramatyki polskiej, stylistyki, literatury i historii. Dochód ztąd bywał rozmaity. Zazwyczaj większy w zimie, ale za to latem, w porze, w której bogatsza część mieszkańców Lwowa wyjeżdża na wieś, do kąpiel, w porze wakacji szkolnych, dochód ten zmniejszał się czasem do cyfry nader niskiej, do przerażającego *minimum*; wówczas potrzeba było z pod stryszku na Halickim przenosić się na świeże powietrze na dalekie przedmieścia, na Zofiówkę, Pohulankę, lub Zamarstynów, i żyć po wiejsku nabiąłem i owocami w oczekiwaniu pożywniejszego pokarmu pod zimę.

Pomimo tak ciężkich okoliczności, pracował Bielowski nieustannie a gorliwie na polu literackim. Powiedzieliśmy powyżej że przez długi czas był on głównym kierownikiem literatury w Galicyi, a było to właśnie w owym najcięższym dlań ze względów materialnych okresie, o którym mowa. Około niego skupiało się całe życie, cały ruch literacki. Uprawniało go do tego, w młodszym poko-

leniu adeptów literatury i spółtowarzyszy pióra, doświadczenie pozyskane wielą lat pracy na tem polu, rozległa erudycya i talent pisarski, którym przewyższał rówieśników. Temi przymiotami zjednał sobie stanowisko i sławę najwyższej powagi literackiej we Lwowie. Bielowski rozpoczął swój zawód pisarski od poezyi. Pierwsze jego utwory poetyczne drukowane były, jak wspomniałem powyżej, w *Haliczaninie*. Objawia się w nich tenże sam duch, ta dążność czerpania w źródle poezyi ludowej treści i kolorytu poetyckiego, która jak widzieliśmy zawładła była podówczas całym prądem młodszej literatury a do czego też w znacznej części przyczynił się także sam Bielowski. Umieszczona w *Haliczaninie* ballada *Trójziele* jest naśladowaniem ludowej pieśni ukraińskiej. Tęż samą dążność widzimy w imaniu się przekładu ludowych pieśni serbskich, umieszczonych także w *Haliczaninie*. Zdaniem Bielowskiego poezya książkowa zesłała na złe drogi. Straciła była ducha i prawdę oryginalności, gubiąc się w wyszukany, kłamanym liryzmie, w czezych abstrakcyach, dalekich od prawdy i piękności natury, jedyne źródła istotnej poezyi. Do tego tedy źródła należało się zwrócić, w niem czerpać natchnienie i farby, i tym sposobem odzyskać uronioną potęgę, otworzyć sobie nieprzebrane, jak skarbiec natury, zasoby poetycznego materyału. Zamiast szermować na wpół mglistemi abstrakcyjnymi pojęciami i porównaniami, poezya powinna przedstawiać ideał przejawiający się w kształtach natury, być jego powtórzeniem, odzwierciedleniem; powinna być obrazową, plastyczną jak natura, jak świat ręką Boga stworzony, powinna umieć przedstawić piękność natury z wydatnością rzeźbiarską. W tem leży jej wdzięk artystyczny i najwyższe jej zadanie. Poezya, która nie jest taką, nie jest poezją. Poezja jest plastyką słowa, tak jak rzeźba jest poezją dłuta. Owoż te to przymioty stanowiące właściwą piękność poezyi, które po większej części uroniła poezya książkowa, znajdując się w pełnej mierze rozlane w poezyi ludowej. Rzecz łatwa do wytłómaczenia. Inaczej być nie mogło. Lud pozostaje w ciągłej styczności z naturą, patrzy na nią zdrowem okiem, nie przez szkła sztucznej, częstokroć skrzywionej cywilizacyi, odczuwa jej ducha, rozumie jej piękność i powtarza w swych pieśniach tak jak ją widzi codziennie przed sobą — przenosi wprost żywcem jej kształty i tony w swe pieśni. Tym to sposobem natchnienia jego samorodne bywają szczytniejsze i bliższe prawdziwej piękności niżeli natchnienia poetów książkowych. Ztąd w poezyi ludowej, w jej porównaniach branych wprost z natury, w rzewności uczuć, tłómaczących się zawsze głosami natury, znajdujemy nie-

wysłowionej piękności plastykę, prostotę wyrazu, której nie posiadają poeci książkowi ¹⁾).

Te to wyobrażenia o zaletach i cechach prawdziwej poezji, które nieraz z ust jego powtarzane słyszałem, powiodły Bielowskiego zaraz w początkach zawodu literackiego do studyowania poezji ludowej na obszerniejszy rozmiar; a zatem nietylko podań i pieśni ludu własnego, lecz na całym obszarze Słowiańszczyzny, gdyż wszystka ta poezya miała pewne pokrewne sobie cechy i podobieństwo oblicza. To było powodem że powziął zamiar przełożenia najdawniejszego zabytku poezji starosłowiańskiej, opisującego wyprawę Igora na Połowców: *Słowo o pulku Igorowym*. Ogłoszony w roku 1833 przekład tego poematu zjednał Bielowskiemu od razu imie w literaturze. Przyzwyczajonej do ogłady klasycznego wiersza, do Bajronowskiego liryzmu publice czytającej odsłoniły się tutaj nowe żywioły, nowy rodzaj, nowe sposoby poetycznego pojęcia rzeczy i wysło-

¹⁾ W pozostałych w pośmiertnym zbiorze papierów Walentego Chłędowskiego, listach Bielowskiego, które przypadkowo mam obecnie pod ręką, znajduje się w jednym ustępie wyrażone zdanie jego o filozofii spekulacyjnej, uprawianej u nas podówczas na wzór i podobieństwo spekulacji niemieckiej. Poznajomiwszy powyżej czytelników z zapatrywaniem się Bielowskiego na poezję i naukę historii, pozwolę sobie przytoczyć tutaj dosłownie rzeczony ustęp, nietylko z powodu trafności poglądu, zwłaszcza co do potrzeby swojskiej, z własnego ducha wysnutej terminologii filozoficznej; ale także dla tego, że wyraża on pogląd na tę rzecz całego grona literackiego, którego koryfeuszem był Bielowski. Oto co pisze w pomienionym liście:

„W czystą filozofię nigdy się nie zapuszczałem; ale ile tylko zasad w dotychczasowym moim życiu uzbierać mogłem, rezultat ich zawsze jest taki, że jestem wbrew niemal przeciwny temu, co w dotychczasowych filozofiach i wszelkich teoriach wyczytuję. Nie mogę sobie podobać w polskich Heglistach i małpiarzach Hegłowskich, chociaż niektórych z nich, jak Libelta, Kremera, Helzla, cenię skąd inąd. O Trentowskim już nie mówię Z tego com czytał, widzę (w Chowanie) wiele słów, wiele deklamacji, mało pomysłów, ogrom zarozumiałości, podrznięcie w polszczyźnie niemieckiej terminologii — zgoda wszystko, co mi się nie podoba, i z czego sobie wiele obiecywać nie można. Filozoficzne podskoki dziś w Polsce są ową początkową sentymentalną romantyką ballad Witwickiego i Edmunda. Najlepszą ich stroną usilność ku czemuś lepszemu i jego przepowiednia. Więcej marzymy o filozofii, niżeli czujem w sobie jej konieczność. Gdyby ona do serc weszła, w nas się ozwała, nie kłopotalibyśmy się o wyrazownictwo, które dziś jak listki żyjące jednego drzewa do listków drugiego przykrawając, odbieramy im to, co im natura najudowniejszego dała, samodzielność żywotność — i robimy skelety, które kiedyś naród wyrzucać musi“.

wienia. Tłómacz starał się ująć żywcem ducha oryginału, i oddał w swym przekładzie z całą dosadnością obrazowania i jednością stylu, którym się odznacza ów bohaterski poemat, chropawy a męski jak epoka z której pochodzi, gdzie jednak obok chrzęstu bojowego skargami Jarosławny odzywają się tony najrzewniejszej tkliwości niewieściej. Przekład Bielowskiego, jakby rzeźbiony z jednego odlewu, jakby oryginalnie z myśli autora wypłynął, zachował we wszystkich szczegółach ową plastykę wyrazu, którą jak widzieliśmy, Bielowski jako jedną z najgłówniejszych zalet prawdziwej poezji cenił. Archaiczność stylu dziwnie harmonijnie przypadła do treści przedmiotu. Nie daremnie też o tym przekładzie wyrazili się najznakomitsi krytycy społeczeństwa, że więcej przyniósł pożytku literaturze i więcej ma znaczenia niżeli nie jeden poemat oryginalny, i że Bielowski więcej zasłużył się nim literaturze niżeli wielu autorów oryginalnych swemi utworami, wedle przepisów konwenyonalnych, wedle ogólnej recepty osnowanemi. Przekład *Wyprawy Igora* obudził ruch w literaturze i zwrócił jej prądy w tym kierunku ku poezji starosłowiańskiej. Lucyan Siemieński przełożył równocześnie *Rękopis królowy* i napisał *Trąby w Dnieprze*, epizod historyczny, w którego całym zakresie, sposobie kompozycyi i koloraturze stylu wionie jakby przypomnienie, jakby duch starożytnego poematu, opiewającego wyprawę Igorową. Sam też Bielowski napisał wkrótce potem poemat oryginalny, w którym słyszeć się daje echo tejże samej nuty. *Pieśń o Henryku Pobożnym*, jedyny dłuższy oryginalny jego poemat, opisujący klęskę poniesioną w bitwie z Tatarami pod Lignicą, ma w kompozycyi i stylu tyle pokrewieństwa z pieśnią o pułku Igorowym, że znać, iż pochodzi z tejże samej doby twórczości autorskiej Bielowskiego. *Pieśń o Henryku Pobożnym*, poemat w ogóle za mało znany i oceniony, zawiera w sobie wiele prawdziwych piękności, świadczących o istotnym poetycznym talencie Bielowskiego; w układzie jego znać uniejętną rękę artysty i gruntowne studia historyczne, będące podstawą całego poematu. Bielowski uważając epos historyczny za najwyższy szczyt poezyi, stworzenie takowego wziął sobie za zadanie w swym poetyczno-autorskim zawodzie. Chęć szukania przedmiotu do poematów tego rodzaju zaprowadziła go na pole badań historycznych, do rozczytywania się w kronikach i pisarzach starożytnych, w których spodziewał się znaleźć natchnienie i materiał stosowny do poetycznego obrobienia. Jakoż w *Pieśni o Henryku Pobożnym* widzimy pracę i skrupulatną w tym kierunku sumiennosc. Niema może drugiego podobnego utworu w poetycznej literaturze pod słońcem, gdzieby tak jak tutaj każdy

szczegól przytoczony, każdy wiersz prawie oparty był ściśle na podaniu kronikarskiem, na rzeczywistości historycznie stwierdzonej. Instynkt historyka owładnął tu piórem poety i kierował nim może nawet mniej świadomie, acz tym razem bez szkody dla poetycznej wartości utworu. Następnie jednak badania historyczne pociągnęły i przywiązały ku sobie całą uwagę Bielowskiego — stały się główną pracą jego treścią i celem. Duch badawczy wziął górę nad darem twórczości poetycznej. Po *Pieśni o Henryku Pobożnym* nie napisał już Bielowski żadnego obszerniejszego poematu — z czasem zaniechał nawet poezyi a oddał się wyłącznie historii; odłożył pióro poety, a ujął rylce dziejopisar ski.

Przypatrzmy się jaki był pod ówczas w ogóle stan nauk historycznych i kto się zajmował historią w Galicyi? Wprawdzie już Lelewel a za nim garstka mniej znakomitych pracowników, pojmowała potrzebę badań źródłowych, krytyki historycznej opartej na porównaniu materiałów społecznych, słowem tego co rzetelną podstawę nauki historycznej stanowi i bez czego niema dziejopisarstwa, niema historii. Głosy te wszakże zbyt słabem echem dochodziły do Galicyi, nie było ich słuchać komu — przebrzmiewały bez śladu, żadnego nie wywołując skutku. We Lwowie siedział w celi klasztoru karmelitańskiego mnich stary, otoczony dziełami Naruszewicza, Czackiego, Ossolińskiego i innych autorów historycznych a wypisując z nich to i owo, kompilował wielotomowe dzieła. Ks. Chodyniecki po księdzu Siarczyńskim był najpracowitszym, jedynym może dziejopisarzem w Galicyi, jeżeli sposób taki układania dzieł historycznych zasługuje na nazwę dziejopisarstwa. Jeszcze w latach 1817—1820 wydał w sześciu tomach we Lwowie: *Dzieje historyczno polityczne Europy i innych części świata na początku XIX wieku*. W roku 1828 wyszła jego *Historja miasta Lwowa*, przepisana po większej części z kroniki Zimorowicza. W latach 1833—1834 wydał w trzech tomach: *Dykeyonarz uczonych Polaków, zawierający krótkie rysy ich życia, szczególne wiadomości o pismach i krytyczny rozbiór ważniejszych dzieł niektórych*. Ostatniem jego dziełem była *Wiadomość historyczna o fundacyach klasztorów zakonu karmelitańskiego niegdyś w Polsce i Litwie*. Lwów 1846.

Był tedy ks. Chodyniecki, jak z powyższego spisu widzimy, autorem bardzo pracowitym i płodnym. Zawód jego pisarski liczył się długim lat szeregiem. Dziełom jego nie można odmówić użyteczności, gdyż rozpowszechniały wiadomości historyczne. Wszakże układane bez należytej krytyki, przepisywane zład i owad na

wiarę cudzego słowa, wartości naukowej nie miały. Były kompilacjami a nie historią. Można uszanować pracę i zasługę sędziwego mnicha, który chciał być użytecznym jak mógł i rozumiał, wszelako do postępu umiejętności, do rozjaśnienia rzeczy naukowej, sposób taki uprawiania historii przyczynić się nie mógł. Ale o studyowaniu historii z pierwszej ręki, o wartości materiałów źródłowych rękopiśmiennych podówczas mało jeszcze miano w ogóle wyobrażenia nawet w sferach bliskich książkowego świata. Pewnego razu, gdy Bielowski zwiedzał biblioteki klasztorne lwowskie, które później opisał w lwowskim *Dzienniku Literackim*, zdarzyło się że gdy obejrzał już wszystkie przez zakonnego bibliotekarza okazane mu osobliwości bibliograficzne, mszały, kazania, żywoty świętych itd. ujrzał wychodząc u drzwi bibliotecznych zwałoną kupę śmiecia, z pod którego wyzierały chaotycznie na wpeł zbutwiałe szpargały:

— A cóż to takiego? spytał mimochodem, wskazując na ten nietykany z dawien dawna ręką ludzką stos pyłu i nieporządku.

— El to rękopisma, odrzekł pogardliwie machnąwszy ręką braciszek, pełniący od lat wielu służbę bibliotekarza klasztornego, najuczestszy zapewne w zakonnem gronie, skoro mu powierzono stróżę skarbów bibliotecznych.

Można sobie wyobrazić jakim zdziwieniem przejęło Bielowskiego owe lekceważenie rękopisów, będących w jego przekonaniu najważniejszym źródłem badań dziejowych i z jaką skwapliwością rzucił się aby wydostać z kurzu i przestudyować ową zaniedbaną i sponiewieraną część biblioteki, w której znalazł rzeczywiście materiały ważne i o wiele cenniejsze od wszystkich onych osobliwości, ukazanych mu przedtem przez uczonego bibliotekarza klasztoru.

Nie lepiej w swoim rodzaju uprawiano historię w belletrystyce. Pisywał powieści historyczne wierszem i prozą Stanisław Jaszowski, będący wówczas stałym współpracownikiem, a raczej nawet współredaktorem *Gazety Lwowskiej* i *Rozmaitości*. Już przed ośmiu czy dziesięciu laty, jeszcze przed rokiem 1830, wydał kilka tomów poezyi i powieści. Jego *Zabawki rymotwórcze*, *Mulatka*, *Bitwa pod Stubnem*, i inne tym podobne zaślęły w swoim czasie chwilowo jako kwiat belletrystyki historycznej. Kwiat to był wszakże wątły, papierowy, bez woni i barwy, a sława pomierną i krótką. Jaszowski umieszczał później wiele swych rzeczy w *Rozmaitościach*; ale wszystko to nie przechodziło kresu mierności, bo Jaszowski nie posiadał wyższego pisarskiego talentu i nie umiał w swoich poematach i powieściach ująć i uwydatnić plastycznie historycznego ducha czasu. Naśladował Bernatowicza, Wójcickiego, później

Rzewuskiego, usiłował przyswoić sobie język i styl staroświecki czasów, z których brał osnowę do swych powieści i nadać im cechy, znamionujące utwory powyżej pomienionych pisarzów; z tem wszystkim nie umiał malować czasu ni społeczeństwa szerokiemi pociągami pęzła, tak iż wszystko co napisał było po większej części rozwodnionem gawędziarstwem, nieprzedstawiającem ani tła obyczajowo historycznego w charakterystycznym świetle, ani wyrazu epoki, z której brał osnowę powieści.

Widzimy tedy że nie pojmowano podówczas jeszcze należycie w literaturze galicyjskiej znaczenia i zadania historii i nie umiano pielęgnować jej umiejętnie. Bielowski usiłował zreformować dziejopisarstwo społeczne i naukę historii na właściwą wprowadzić drogę. Historię uprawiano anegdotycznie, po kompilatorsku, nie troszcząc się wiele o sprawdzanie podawanych na wiarę słów obcych wypadków i wiadomości. Bielowski przejrzał jasno potrzebę krytyki historycznej. Wziął sobie tedy za zadanie sprowadzić naukę historii na grunt umiejętny, porównawczo krytyczny, i podniósł głos w obronie metody, będącej jedyną właściwą drogą badania naukowego. W tym duchu napisał kilka rozpraw, wykazujących konieczność uciekania się wprost do źródeł społecznych i dobierania się prawdy przez porównawczo - krytyczne sprawdzenie zawartych tam podań i wiadomości. A chcąc słowem i czynem wdrożyć zamierzoną reformę, zabrał się do opracowania sposobem krytycznym początkowych dziejów polskich. Postanowił przyłożyć najprzód rękę do dziejów bajecznych, usiłując dociec ażali przez porównanie krytyczne podań naszych kronikarzy z podaniami i wzmiankami, zachowanemi w starych obcych pisarzach, nie da się wyśledzić pewien logiczny dziejowy wątek w tej baśni tradycyjnej, niemającej na pozór ani związku, ani historycznej podstawy? Wytknąwszy sobie cel taki, rozpoczął Bielowski niezmiernie rozległe studia porównawcze, chcąc aby dzieło jego było pod względem krytyki historycznej ile tylko można dokładne, wyczerpujące. Z tego powodu praca szła nader pomału, i zajęła przeszło dziesięć lat czasu. Dla jednej wzmianki, dla jednego ustępu znajdującego się w rękopisie którejś z bibliotek zagranicznych, potrzeba się było udawać o odpis i podobiznę rzeczzonego ustępu lub całego rękopisu do rzeczonych bibliotek i czekać miesiące całe na ich przybycie z Petersburga, Sztokholmu, Rzymu. Owocem tych badań było wydane w r. 1850 we Lwowie obszerne dzieło: *Wstęp krytyczny do dziejów Polski*. W niem to na podstawie porównania dziejopisarzy starożytnych z podaniami kronikarzy naszych jedno-

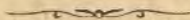
czy Antów illyryjskich ze Słowianami nadwiślańskimi i usiłuje wy-
tłómaczyć pomotaną baśń kronikarską początkowych dziejów na-
szych, przedstawiając ją jako echo, jako przekrecone i niedokładne
powtórzenie rzeczywistych wypadków dziejowych, zachowanych u
pisarzy starożytnych, z tą różnicą, że na innej odbyły się wido-
wni. Hipoteza Bielowskiego nader skomplikowana, nie utrzymała
się ostatecznie w obec forum naukowego. Wnioski jego, oparte czę-
stokroć na dalekiem podobieństwie wypadków i podań, nie są nale-
życie dowiedzione i uzasadnione niezachwianie. Jak to często bywa
w takich razach, postawiwszy raz hipotezę, przywiązawszy się do
jednej myśli, dał się Bielowski łatwo pociągnąć w jej kierunku i
złudzić pozorną konsekwencyą twierdzeń, nie zawsze przecież ściśle
konsekwentnych. Pomimo tego dzieło to jest bardzo ważnem
z wielu względów. Zadziwia ono ogromem erudycyi historycznej;
zawiera mnóstwo ważnych poglądów, objaśnień, szczegółów cieka-
wych po raz pierwszy wyświeconych, a część jego bibliograficzna,
zawierająca opis kodeksów kronikarskich rękopiśmiennych, użytych
przez autora do porównawczych badań, jest jedną z najznakomit-
szych u nas prac w tym rodzaju, świadczącą o wielkiej sumien-
ności i znajomości rzeczy.

Widząc że nie mamy jeszcze przygotowanego pola do napi-
sania historii narodu, albowiem nie posiadamy zgromadzonych ku
temu materyałów źródłowych, bez których rozpoznania niepodobna
przystąpić do skreślenia rzetelnego obrazu dziejów, postanowił za-
jąć się dokonaniem tego olbrzymiego zadania, ułatwić pracę i uto-
rować drogę przyszłym dziejopisarzom. Na wzór Pertza *Pomników
dziejowych Germanii*, rozpoczął olbrzymiego zakroju wydawnictwo
Pomników dziejowych polskich — Monumenta Poloniae historica.
Czyniąc to położył kamień węgielny dziejopisarstwu naszemu. Hi-
storyk dzisiejszy przystępujący do skreślenia całości dziejów narodu,
nie będzie już potrzebował tracić czasu i pracy na odszukiwanie
rozrzuconych materyałów, skoro ma je tutaj razem zgromadzone,
a przytem krytycznie już rozpatrzone i objaśnione z umiejętnem
znawstwem. W *Monumentach* Bielowskiego są pomieszczone nie
tylko najdawniejsze roczniki i inne tym podobne materyały histo-
ryczne, ale nawet urywkowe ustępy i wzmianki, odnoszące się do
dziejów polskich, znachodzące się w najdawniejszych pisarzach sta-
rożytnych. Jest to najbogatszy skarbiec dziejowy, jaki posiada lite-
ratura nasza. Bielowski nie szczędził pracy, kosztu i osobistych
trudów, aby dzieło ile możności było zupełne i wymaganiom na-
ukowym odpowiadało. Przedsiębrał w tym celu wielokrotnie podróże

do Niemiec, Moskwy, Petersburga, Sztokholmu, dla porównywania znajdujących się w bibliotekach tamtejszych kodeksów rękopiśmiennych; a oprócz tego rozległe stosunki w świecie naukowym i korespondencye z najznakomitszymi uczonymi współczesnymi dopomagały w poszukiwaniach i ułatwiały uzupełnienie dzieła wedle powziętego planu. Jakoż aby dokonać tak wielkiego zadania potrzeba było iście takich stosunków i takiej w świecie uczonym powagi, jakiej używał Bielowski, takiej rozległej erudycyi w bibliografii, dyplomatyce i historyi, jaką on posiadał. Uczeni nie odmawiali mu swej pomocy. Do pierwszego tomu *Kronikę Galla* opracował krytycznie Szlachetowski, były kustosz Zakładu im. Ossolińskich, *Latopis Nestora* Wagilewicz. Najważniejszą wszakże częścią całego dzieła są objaśnienia, rozprawy porównawczo-krytyczne, wstępy i przypisy pochodzące z pióra samego Bielowskiego, jak w ogóle główna redakcyja całości. Tom pierwszy wydał przed laty dwunastu własnym nakładem, pomimo szczupłych nader funduszków, jakimi rozporządzał. Wydanie tomów następnych ułatwiła akademia umiejętności; z jej też ramienia wyznaczona komisya zajmuje się dalszem wydawnictwem, które śmierć nagła nie dozwoliła Bielowskiemu dalej jak do trzeciego tomu doprowadzić.

Nie mogę tu wyliczać i rozbierać wszystkich pism Bielowskiego, jego rozpraw, monografii historycznych, życiorysów i artykułów pomniejszych, rozrzuconych po rozmaitych pismach peryodycznych. Należałoby koniecznie zebrać je i wydać dla przedstawienia zupełnego obrazu jego działalności autorskiej. Oprócz tego co sam napisał, wydał w ciągu swego zawodu literackiego wiele innych dzieł ważnych, z których wyliczę najgłówniejsze. Oprócz dwóch tomów *Ziemonii*, noworocznika mieszczącego utwory najznakomitszych piór młodszej rzeszy literackiej, o którym później jeszcze słowo obszerniejsze powiemy, wydał on w epoce, w której się więcej jeszcze poezją i belletrystyką zajmował, *Pisma Seweryna Goszczyńskiego* w trzech tomach, na które nakład, jak powyżej wspomniałem dał August Wysocki, *Żywot i pisma Antoniego Malczewskiego*, *Ballady i pienia liryczne Szyllera*, w którym to zbiorze zgromadził najcenniejsze przekłady poezyi Szyllerowskich Jana Nep. Kamińskiego, Lucyana Siemińskiego, Minasowicza i innych. Także kilka własnych tutaj umieścił. Będąc już dyrektorem Zakładu im. Ossolińskich wydał tom czwarty *Wiadomości historyczno-krytycznych* Ossolińskiego, *Pamiętnik Jemiotowskiego*, *Wyprawę Żółkiewskiego*, *Żywot hetmana Jabłonowskiego* i t. d. Wartość wszystkich tych wydawnictw podnosi umiejętne opracowanie i objaśnienia

wydawcy. Przez lat kilka redagował *Bibliotekę Zakładu im. Ossolińskich*, peryodycznie tomami wydawaną w myśl statutów Zakładu. Pismo to było pod jego redakcją najpoważniejszym i najlepszym naukowym pismem społecznym. Przez ostatnie dwadzieścia lat życia zajmowała go głównie praca nad wydawnictwem *Pomników dziejowych*, których wydaniem pozostawił zarazem sobie pomnik niespożytej zasługi w literaturze.



VII

Wincenty Pol — Jego autobiografia — Podróż do Wilna — Znajomość z Adamem Mickiewiczem — Poezye — Konserwatyzm i wstecznicтво — Pola prace naukowe i pisma prozą — Wykłady publiczne we Lwowie — Charakterystyka osobista.

Wincenty Pol wraz z Bielowskim stał przez długi czas na czele literatury w Galicyi. Obadwa zajmowali równie wysokie stanowisko literackie, wszelako pod wielu względami odmienne, jak odmienny był rodzaj ich talentu i zakresu pracy. Bielowski zacząwszy jak widzieliśmy od poezyi, przeszedł następnie na pole badań historycznych i zarzucawszy poezyę oddał im się wyłącznie. Pol, chociaż zajmował się geografją i pracami w jej zakres wchodzącymi, był głównie poetą i jako taki zjednał sobie szeroką sławę. Sława ta otworzyła mu wstęp w wysokie sfery towarzyskie i zjednała tam wpływ bardzo wielki osobisty, jakiego nie miał Bielowski. Pol obracał się przez całe życie w kołach arystokratycznych, Bielowski twarady demokrata z zasad i przekonań, nie sięgał tak wysoko, żył w pośród społeczeństwa bardziej demokratycznego i na nie wpływ poważny wywierał. Wpływ towarzyski Bielowskiego nie może się równać ze sławą i wpływem Pola. Był czas, a trwało to przez lat kilkanaście, że słowo Pola było w pewnych kołach nie już wyrocznią, ale po prostu rzecz można rozkazem. Co on za dobre uznał, było dobrem; do czego kazał rękę przyłożyć, wykonywano ochoczo i z zapalem, w przeświadczeniu pożyteczności celu. Na jego wezwanie sypały się hojnie fundusze na rzecz dobra powszechnego, inicjatywa jego nie była nigdy bezskuteczną. Przyznać też należy iż wpływu swego używał zawsze w kierunku pożytecznym i szlachetnym. Ilez to, jak sami zapamiętamy, ubogiej młodzieży za jego wpływem otrzymało pomoc do kształcenia się, do rozwijania wrodzonych talentów. Nie jedno pożyteczne przedsięwzięcie, zwłaszcza

w rzeczach literackich i naukowych, przyszło do skutku za jego wdaniem się, przezeń do życia wywołane. Bujny jego umysł nasuwał mu rozległe pomysły, nie zawsze praktyczne i do spełnienia możebne, przy największej nawet skwapliwości tych, od których wykonanie miało zależeć. Pol się jednak tem nie zrażał. Był to prawdziwy poeta, w piórze i w życiu. Fantazyja nasuwała mu i przesuwiała równie szybko pomysły, jak obrazy w poematach. Nowe zastępowały miejsce dawniejszych, wnet zapomnianych i na zawsze zarzuconych. Tak jednak wielkie było znaczenie Pola, że pomimo tych mnogich niepraktyczności, uciekano się doń jak do wyroczeni po rozwiązywanie kwestyi, nietylko literackich i artystycznych, w których mało kto rzeczywiście posiadał tak trafny jak on pogląd i tyle artystycznego poczucia, ale także w kwestyach ekonomicznych, statystycznych, a nawet politycznych, w których jako poeta z natury rzeczy był mniej właściwą powagą, i nie zawsze należycie uzasadnione mógł wyrobić sobie zdanie.

Szkoda że zazwyczaj piszący dzieje literatury nie starają się zaznajomić czytelnika z bliższymi stosunkami i wypadkami, pod których wpływem wyrabiał się kierunek umysłowy znakomitych ludzi, zajmujących naczelne w literaturze stanowisko, że pomijając to właśnie, coby nam pozwoliło przejrzeć psychiczną genezę ich dzieł, poprzestają na zanotowaniu miejsca i roku ich urodzenia i śmierci, lub ożenienia, tudzież daty dzieł wydanych, i tym podobnych urzędowych niejako szczegółów, mniej w istocie rzeczy ciekawych niżeli treściwe naprzykład skreślenie codziennego otoczenia, w którym wzrastali wiecy ludzie i tych przeszkód lub pomyślnych pobudek, pod których wpływem wyrabiał się ich geniusz w tym lub owym kierunku. Mojem zdaniem monografie podobnego rodzaju byłyby cennym dla dziejów literatury skarbem, a na wszelki sposób bardzo ciekawym dla niej materiałem. Z tego punktu rzecz biorąc pozwolę sobie rozpocząć niniejsze pobieżne o Wincentym Polu wspomnienie przytoczeniem króciuchnej jego autobiografii, wpisanej w roku 1840 do albumu Ksawerego Preka, artysty rytmownika, z którym przyjazne stosunki łączyły poetę. Zawiera się ona w następujących kilku wierszach:

„Do roku 1823 żyłem jak dziecko szczęśliwie.

„Od śmierci ojca spadły na mnie cierpienia; znenawidziłem ludzi i żyłem w wielkim bardzo niedostatku samotnie.

„Ożarowski Ludwik utwierdził mię w wierze.

„Brat Franciszek pracował nademną, i dał mi naukę jaką posiadam.

„Od roku 1830 straciłem zbytęczną czułość.

„1832 r. zacząłem pisać *Pieśni* z porady Adama Mickiewicza, a z natchnienia Klauđyi Potockiej.

„Od poznania starego Krasiekiego nabrałem trochę doświadczenia.

„Od poznania Józefa Kremera trochę ładu w głowie.

„Żona moja dała mi spokój i szczęście! Od czasu ożenienia ukołysały się losy moje nieco“.

Opowiadał mi nieraz Pol w długich naszych gawędach rozmaite ustępy swego życia i zawodu literackiego. W roku 1862 bawiąc u wód w Lubieniu, podyktował, bo spieszenie postępująca ślepotą samemu pisać już nie dozwalała, obszerną autobiografię, w zamiarze dostarczenia materyału Stanisławowi Pilatowi, od którego jedna z redakcyi pism warszawskich zażądała była podówczas życiorysu Pola. Z tych to opowiadań i ze wzmianek zawartych w pomienionej obszerniejszej autobiografii pozwolę sobie uzupełnić pokrótce kilku mniej znanemi szczegółami przytoczoną powyżej autobiograficzną notatkę.

Wincenty Pol urodził się na Firlejowszczyźnie pod Lublinem, należącym w ówczas chwilowo do Galicyi. Szkoły gimnazyalne odbył więc we Lwowie, gdzie też miał osiadłą rodzinę. Najmilej z owych czasów spominał wycieczki i wakacye spędzane w Hoszanach i Rudkach. Tam to z najwcześniejszych lat młodzieńczych zawiązała się serdeczna miłość pomiędzy nim a bliską krewną. Miłość ta przetrwała lata rozłączenia i rozmaite przeszkody i związała ich węzłem małżeńskim, po powrocie Pola z zagranicy, po kilkoletniej niebytności w kraju. Ukończywszy gimnazyum udał się Pol na kurs filozoficzny do Tarnopola, gdzie szkoły pozostawały w ręku OO. Jezuitów Duch religijny, objawiający się już od młodu w kierunku przekonań przysłego poety, zaprowadził go do tej szkoły, pozostającej pod sterem duchownym, gdzie spodziewał się skutkiem tego znaleźć wykład bardziej zbliżony do prawd religii objawionej, którą za grunt wszelkiej zgoła prawdy i umiejętności już w ówczas uważał. Pragnienie atoli wiedzy, żywa chęć nauki coraz silniej i głębiej nurtowała w hojnie uposażonym umyśle młodzieńca. Uniwersytet wileński stał podówczas u zenitu swej sławy. Słowo mądrości wykładali tam najznakomitsi polscy uczeni. Imiona Śniadeckich, Groddecka, Lelewela, opromieniały aureolą zasłużonej sławy szkołę wileńską. Pol ukończywszy filozofię w Tarnopolu, zapragnął zacerpnąć wiedzy u tego najbogatszego naówczas jej źródła, tam uzupełnić swe wykształcenie i pozyskać stopień akademicki doktora

filozofii. Wszystkie trudności stawające na przeszkodzie temu zamiarowi, brak funduszków, uciążliwości dalekiej podróży w niedostatku dzisiejszych ułatwień komunikacyi, wszystko zgoła coby mogło być odstraszyć od powziętego zamiaru kogo innego, mniej przejętego zapałem do nauki i żądzą poznania nowego świata, rozwierającego się przed wyobraźnią młodzieńca, nie zraziło go bynajmniej, ale owszem bardziej jeszcze rozgrzewało do wykonania przedsięwzięcia. Dusze gorące i umysły genialne posiadają wytrwałość będącą warunkiem dzieł przechodzących powszednią miarę. Trawiony tedy gorączką młodości, pełen szlachetnego entuzjazmu, spakował Pol w podróżny swój tłómczek rozprawę filozoficzną przez siebie napisaną, opartą na studiach autorów klasycznych, mającą mu służyć jako list wierzitelny, torujący wstęp do uniwersytetu i do protekcyi profesorów, i wyruszył w lecie 1828 w drogę do Wilna. Droga wszakże nie szła prostym szlakiem. Pol postanowił skorzystać z okazji tej podróży, aby czyniąc zadość budzącym się instynktom wrodzonego zamiłowania, poznać rozmaite okolice kraju, badać bogactwo przyrody i rozmaity jej charakter, poznać obyczaje rozmaitej ludności z tradycyami przeszłości do różnych miejsc przywiązaniem, odetchnąć atmosferą ukraińskiego stepu, zwiedzić zasiane wioskami podolskie jary, bogaty Wołyń, pińskie błota i puszcze litewskie. Taką to podróż rzemiennym dyszlem odbył Pol w owej swej pierwszej w świat wycieczce; podróż zresztą nie tyle uciążliwą, jakby się zdawało, bo tłómczek studencki lekki, łatwy do przerwycenia z wózka na wózek, a bujny umysł młodzieńca, łakomy wrażeń, oddechał rozkosznie atmosferą coraz nowych okolic, nurzał się w tem morzu coraz nowych widoków, wzbogacających wiedzę jego tysiącami szczegółów nieznanych przedtem, które, posiadając w nadzwyczajnym stopniu dar obserwacyi, pochwycić i przyswoić sobie umiał. Podróż ta przyniosła bardzo wiele korzyści Polowi i na całą przyszłość jego stanowczy wpływ wywarła. Nie tylko bowiem, że zaprawiła wzrok młodzieńca do studyowania świata i przyrody, że wzbogaciła umysł jego rozpoznaniem kraju i obyczaju na rozległej wielu mil przestrzeni, że ogrzała uczucie poety i zasyciła fantazyę jego nieprzebrany skarbem wrażeń i obrazów, ale stała się ostatecznie jeszcze węzłem sympatycznym, łączącym te wrażenia młodości z naukową przyszłością. Ona to rozstrzygnęła o kierunku późniejszych prac naukowych Pola, obudziwszy w nim zamiłowanie geografii i nauk z nią związek mających.

Profesorowie wileńscy przyjęli go nadzwyczaj uprzejmie, oceniając należycie szlachetny zapak, który z dalekich stron młodzieńca aż tam sprowadził. Przywieziona rozprawa dobrze go zaleciła. Młody akademik rzucił się do nauki z gorączkowym pragnieniem, z fanatycznym entuzjazmem; wszelako okoliczności nieprzewidziane skróciły jego pobyt w Wilnie i nie dozwoliły ukończyć zamierzonych kursów. W roku 1832 widzimy go już w Dreźnie, zajętego poruczonemi mu czynnościami, w czasie pobytu tamże Adama Mickiewicza. Tu miał sposobność poznać wielkiego poetę, któremu się niezwłocznie przedstawił. Grono przebywających w Dreźnie Polaków gromadziło się w salonie Klaudyi Potockiej. Tu też bywał Pol codziennym gościem. Młody oficer przywiózł z sobą kilka pieśni, wyspiewanych niemal nieświadomie, pod natchnieniem świeżych wrażeń przy obozowym ognisku. Nie umiając sobie sam zdać sprawy z ich wartości, daje się skłonić przez jednego z najbliższych przyjaciół do odczytania ich w powyższem kółku, ale jako utwor obcy, autora piszącego pod pseudonimem Janusza, w obawie, aby odczytane pieśni, uczyniwszy *fiasco*, nie skompromitowały go w oczach towarzystwa, i nie odsłoniły nieudolności jego zachcianek autorskich i poetycznego talentu. Stało się przeciwnie. Pieśni obudziły entuzjazm powszechny, i zdemaskowanego autora podniosły wysoko w oczach wszystkich. Mickiewiczowi bardzo się podobały, kazał je sobie po wielekroć powtarzać i namawiał do pisania dalej w tym kierunku. Nie mniej zachwyconą była niemi gospodyni domu. Do tego odnosi się wzmianka w notatce autobiograficznej. Pol ośmielony poradą Mickiewicza, a jak powiada, z natchnienia Klaudyi Potockiej zabrał się do dalszego tworzenia tych pieśni, z których parę napisał już aż we Lwowie po powrocie do Galicyi.

Pol obeował w Dreźnie często z Mickiewiczem, u którego schodziło się szczupłe, ale doborowe kółko przyjaciół i wielbicieli. Mickiewicz bywał najczęściej milczący, ponury; siedząc na uboczu, otaczał się kłębam dymu i słucał. Ale kiedy przedmiot jaki zajął go i porwał swą treścią, wymowa jego nie miała sobie równej. Obrazy, porównania i argumenta pełne logicznej siły i zdumiewającej, wszechstronnej erudycyi, płynęły wezbrany strumieniem, jak kaskady porywające słuchaczy unosiły i przekonywały. Pewnego razu postanowiono odbyć nocą statkiem wycieczkę do Szwajcaryi saskiej. Pomysł był Mickiewicza — prawdziwie poetyczny i skwapliwie przyjęty przez całe grono. Łódź umówiona czekała. Pogodna jasna noc sprzyjała żegludze. W blasku księżyca prześlicznie rysowały się oczom podróżnych nadbrzeżne skały, jak widma fantasty-

czne. Rozmowa coraz bardziej ożywiona zwróciła się ku wspomnieniom ojezystego kraju. Pol zaczął opowiadać wrażenia swej wileńskiej podróży, malować właściwości okolic, które miał w ówczas sposobność poznać. Mickiewicz słuchał opowiadania z coraz większym zajęciem, był blady, tylko oczy płonęły coraz żywszym ogniem, jakby w słowach opowiadającego dopatrywały własnych reminiscencyi; w końcu chwytając Pola za ramię, rzekł:

— Napisz to wszystko — napisz, ale tak po prostu, jakęś tu opowiedział — słowo w słowo bez żadnej zmiany, jak ci się to samo z siebie rysuje w pamięci — jakęś to wszystko widział i słyszał — a stworzysz poemat, jakiego jeszcze nie mamy, przed którym w kąć pójdą *Ogrody Delila* i *Ziemiaństwo Koźmiana*.

Echo tych słów Mickiewicza brzmiało w pamięci Pola, gdy w kilka lat później pisał swą *Pieśń o ziemi naszej*.

W poezjach Pola uwydatniają się rozmaite cechy, stosownie do okresu jego autorskiej twórczości, z którego pochodzą. *Pieśni Janusza* i *Pieśń o ziemi naszej* należą niezaprzeczenie do najpiękniejszych jego utworów. Z każdego tam wiersza wieje świeżość natchnienia. Wdzięk kolorytu pełen oryginalności, żywość obrazowania, liryzm pełen uczucia i prostoty, a przytem rzutkość myśli, dosadność wyrazu, sam oryginalny sposób wierszowania i rymu nadają tym utworom Pola zachwycający a oryginalny urok, jemu tylko właściwy. Pod względem formy można powiedzieć, że wiersz ósmiozłóskowy wyrobił on do ideału doskonałości — tyle umiał weń władczyć dzielności, rzutkości i tak urozmaicić naturalnie przeplatany rymem.

Późniejsze utwory Pola przybierają inny charakter — tracą liryzm, stając się więcej opisowemi. Śpiewak staje się malarzem — nawet fotografem. Tony pieśni przechodzą z czasem w kominkową gawędę, w opowieść przepełnioną tradycjami przeszłości lub podnoszą się do wysokości rycerskiego eposu. Na rozgraniczu tych dwóch okresów twórczości stoją *Obrazy z życia i podróży*, w których poeta pomieścił reminiscencye wrażeń z podróży swoich w Karpaty, i styczności z ludnością tamtejszą. Wspomnienia te i obrazki niezrównanej prostoty i rzewności, mają jeszcze pokrewieństwo z poprzedniemi utworami poety, ale będąc już z treści swojej bardziej egotyczne od jego pieśni, są więcej od nich przepojone serdecznem a cichem uczuciem, a mniej lirycznego mają polotu. Zupełnie w innym rodzaju pod względem treści i formy była ogłoszona po raz pierwszy w *Rozmaitościach* gawęda starszlachecka: *Przygody Imię Pana Benedykta Winnickiego w po-*

dróży jego z Krakowa do Nieświeża 1766 i powrót w dom rodzicielski. Poematem tym wstąpił Pol na zupełnie nową drogę w swym twórczo-poetycznym zawodzie — a biorąc farby z bogatego skarba tradycyi, jako malarz przeszłości, postanowił odsłonić i przechować potomności w wiernym wizerunku ową społeczność ni-
knącą na zawsze w toni czasu, społeczność zupełnie od dzisiejszej odmienną, pełną wysokich cnót i wad, splatających się w żywot niezmiernie charakterystyczny i pouczający. W tym duchu nastąpiły dalsze gawędy i dłuższe poematy: *Senatorska Zgoda*, *Sejmik generał w Sądowej Wiszni*, *Stryjanka*, *tragedya szlachecka Imci Pana Benedykta Winnickiego* i t. d. Wszystkie atoli pomienione utwory przewyższył *Mohort*, rapsod rycerski, w którym na tle Stanisławowskich czasów z końca ubiegłego stulecia wyrzeźbił posągową postać bohatera poematu, będącą ostatnim wyrazem rycerskiego ducha przeszłości. Postać to wspaniała, oddana w najdrobniejszych szczegółach z wysokim artyzmem i zamiłowaniem z natchnienia płynącym. Główniejsze ustępy poematu napisane były na wiele lat przed jego wykończeniem i ogłoszeniem. Są one najpiękniejszą jego częścią i wypłynęły z pióra poety wkrótce po *Pieśniach Janusza*. Dziwna to rzecz, że *Mohort* nie doczekał się dotąd ilustratora, do czego cała kompozycya poematu szczególnie się nadaje. Składa on się szeregu obrazów, ugrupowanych jakby ręką artysty malarza a tak plastycznie oddanych, iż same cisną się pod ołówki i proszą o powtórzenie ich na kartonie. Po *Mohorcie* przeniósł się duch poety w czasy odleglejsze, w złotą epokę Zygmun-towską, na której tle wspaniała postać hetmana Tarnowskiego po-ciągnęła jego twórczą fantazję, i napisał dwutomowy poemat obszer-
nego zakroju w formę pamiętnikowej opowieści ujęty: *Hetmańskie pacholę*. Taż sama szczegółowa, zdumiewająco dokładna znajomość domowego i publicznego zwyczaju i obyczaju w najmniejszych na-wet drobiazgach, cechująca wszystkie dawniejsze utwory Polowskie, malujące czasy Stanisławowskie i ich społeczność, znamionuje rów-nież i niniejszy poemat z odleglejszych pochodzący wieków. Tylko że co tam poeta zaczerpnął po części z własnej obserwacyi, zapamiętawszy jeszcze niektóre ostatnie dogasającego społeczeństwa typy, a bardziej jeszcze z tradycyi żywego słowa, kreślącej wymownie za-
świeża nie dawno minioną przeszłość, do czego to odnosi się wzmianka w przytoczonej powyżej notatce o znajomości ze starym Ksawerym Krasickim — to w opowieści *Hetmańskiego pacholęcia* znalazło się wydobyte z kronik i pisarzy spółczesnych, owocem kilkoletnich umyślnych przygotowawczych studyów. Pierwszą myśl

do wzięcia za przedmiot poematu postaci hetmana Tarnowskiego i jego epoki podsunął Polowi kanonik kapituły krakowskiej Scypio, wysoce przezeń poważany przyjaciel z lat dawnych. On też był mu pomocny w owych przygotowawczych studyach przez dostarczenie różnych mało znanych materiałów. Jakoż słyszałem Pola po wielokroć powtarzającego, że zasługa pierwszej pobudki i ułatwienia zamiaru napisania *Hetmańskiego pacholęcia* należy się księdzu kanonikowi Scypionowi w Krakowie. Jest to ostatnie dzieło Pola, które własną jeszcze napisał ręką. Wzrok gasnący zaledwo mu już dozwolił dokończyć ostatnich kart rękopisu. Jest to też, o ile mi wiadomo, jedyny pozostały po nim autograf całego dzieła, przechowujący się w ręku rodziny. Warto, aby która z bibliotek publicznych, lub instytucyi naukowych postarała się o nabycie tej szanownej pamiątki. Za granicą autografy poetów znakomitych przepłacają na wagę złota funtami szterlingów i przechowują jak relikwie w publicznych muzeach.

Czytaliście poezye Pola, bo któż ich w całej Polsce nie czytał — kto nie zna jego *Pieśni*, *Mohorta*, *Pacholęcia*? Ale nie wiem czy znacie jego *Szajne katarynkę*? Może nawet nie wiecie co znaczy i zkad pochodzi ta nazwa czysto galicyjska, a przecie mówiąc o Polu nie podobna mi rozstać się z nim bez wzmianki o tych oryginalnej natury a pełnych poetyckiej werwy obrazkach, z których część większa zginęła, rozprószona bez śladu, a tylko mała miarka przechowała się wydrukowana niegdys w poznańskim *Orędowniku naukowym*. Ale przedewszystkiem wypada objaśnić tytuł. Szajne katarynka jest to trochę z czeska a trochę z niemiecka wzięta nazwa skrzynki muzycznej, z jakimi wędrowni Czechowie obchodzili Galicyę — po jałmużnie, wygrywając na niej za pokręceniem korby rozmaite arye muzyczne w mechanizmie skrzynki umieszczone. Skrzynka ta podobną jest zresztą z powierzchowności do jasełkowej szopki, z którą chłopięta nasze obchodzą domy na wilię Bożego Narodzenia, i w której okazują rozmaite postacie i sceny z męki Pańskiej. Otóż w czasie kiedy w Galicyi zajmowano się wiele kwestyą potrzeby oświaty ludu i zaczęto rozmaite pisać w tym celu książki dla ludu przeznaczone, Pol, jako poeta, postanowił także w tym kierunku uczynić coś po swojemu i napisał szereg obrazków wierszowych, każdy po kilkanaście wierszy, obejmujących całą historię polską, przeznaczonych do deklamowania podczas przesuwania się w jasełkowej *Szajne katarynce* postaci królów, hetmanów i innych znakomitych osób historycznych, w celu objaśnienia po krótku i wrażenia w pamięć ich czynów, zasług i cnót. Sposób

ten popularyzowania historii, nie został praktycznie do skutku doprowadzony — wykonać go nie można było wedle pierwotnej myśli poety. Ale niezrównana szkoda pod względem literackim, że większa część tego poematu z urywkowych na pozór strof i obrazków złożonego, na wiatr rzucona, przepadła i odszukać się dziś zapewne już nie da. Można powiedzieć, że Pol stworzył tu jakby osobny rodzaj poezyi. Próbował później pisać w tym rodzaju Jan Kanty Podolecki podobne obrazki i dłuższe gawędy, ale nie dorównał Polowi, ani dosadnością obrazowania rzeczy w kilku charakterystycznych rysach ujętej, ani jędrnością i prostotą wyrazu, dającą obrazkom Pola wdzięk szczególniejszy.

Pol był pisarzem nadzwyczaj płodnym. Miał wielką łatwość tworzenia i każdej chwili, skoro tylko nasunęła się sposobność ku temu, gotów był do pracy autorskiej, która mu nigdy nie ciążyła. Miał nawet zwyczaj mawiać, że siła autorskiego talentu mierzy się nie tylko wartością, ale także i liczbą dzieł napisanych. Nie wiem czy można się bezwarunkowo zgodzić na to zdanie, ale to pewna, że w poezyi, zwłaszcza skutkiem tej obfitości, nie wszystkie utwory być mogą na wysokości równego natchnienia. Zasadę więc tę w ocenianiu autorów tylko z wielkiem zastrzeżeniem przyjąć by należało.

Zarzucono Polowi, że był konserwatystą, wstecznikiem, że w poezjach swoich apoteozował wady przeszłości. Jest to jakby mieć za złe portreciście, że oddał dokładnie wizerunek portretowanej osoby, że powtórzył wyraz jej duszy przejawiający się w najdrobniejszych szczegółach oblicza. Pol był przedewszystkiem malarzem przeszłości — malarzem portrecistą. Nikt lepiej od niego nie wtajemniczył się w jej ducha, nikt nie poznał dokładniej najdrobniejszych szczegółów życia i obyczaju minionych czasów. Możnaż brać za złe artyście, że ją powtórzył z całą prawdą natury i dosadnej charakterystyki, poecie że ją malował z zamiłowaniem natchnienia? Upatrywać tam apoteozę wad, apostolstwo złego, gdzie tylko była prawda kolorytu, jest to zapoznawać zarówno artystyczne znaczenie poematów Pola, jak ich doniosłość moralną. Z punktu cywilizacyjnego, etycznego biorąc, w interesie postępu moralnego ludzkości, takie wierne odtwarzanie wad społecznych równie skutkuje jak podniosłych cnót malowidło. Nie apoteozuje choroby lekarz, jeśli ją dokładnie poznał i opisał. Zamykanie dobrowolnie oczu na wady przeszłości naraża na niebezpieczeństwo powtarzania się wad tych w przyszłości. Jeżeli tedy zechcemy oceniać poetę ze stanowiska obyczajowego, etycznego i narodowego, z której to

strony miotali największe gromy na Pola jego przeciwnicy, powtarzający tylko częstokroć na ślepo aż do przesyty za panią matką pacierz, to patrząc bezstronnie i oceniając beznamiętnie nie można podzielać potępienia onej rzeszy ultrapostępowych krytyków, ani im przyznać słuszności. Głosy te jednak wywierały ogromny wpływ na Pola — nie na kierunek jego poezyi, któremu pozostał zawsze wierny — ale na usposobienie jego osobiste. Z natury, łagodny, tkliwy i serdeczny, był zazwyczaj drażliwym na głos krytyki — zaprawiała mu ona goryczą umysł i uczucie, napawała pesymizmem, przedstawiającym świat i jego postępowość nowożytną w czarnych kolorach. Liberalny i postępowy w gruncie duszy, w najprawdziwszem tego słowa znaczeniu, ciskał nieraz rozgoryczony pioruny na to co w około niego w imię liberalnego postępu młodsze czyniło pokolenie. Z niedowierzaniem patrzył na to co młodszy pisali, czynili, głosili. Nierozumiany przez nich, nawzajem ich nie rozumiał. Ztąd owe tak często słyszeć się dające głosy potępienia, owe zarzuty ultrakonserwatyzmu, z którymi się nie tylko w krytyce literackiej dzieł swoich ale w życiu potocznem i w zawodzie publicznym spotykał.

Pol nie tylko jako poeta stanął wysoko w naszej literaturze, ale także jako prozaik i uczony. Za cel główny prac swych naukowych obrał sobie geografję, do czego pociągnęło go wrodzone zamiłowanie przyrody i gorąca miłość rodzinnej ziemi, której właściwości chciał poznać gruntownie, zbadać naukowo. Już pierwsza podróż do Wilna, jak widzieliśmy powyżej, wzbudziła w nim owe wrodzone zamiłowanie, rozdmuchała w młodzieńcu ciekawość rozpoznania z bliska fizyognomii ojczyzstego kraju z wszystkimi jego właściwościami i bogactwem przyrody, położyła grunt późniejszego kierunku prac jego naukowych. Pol powróciwszy z zagranicy do Galicyi i ożeniwszy się tu z dawną swą narzeczoną, dla której miłość niewygasła przechował śród wędrówek i przygód kilkoletnich, zamieszkał w Kalinicy, na podgórzu karpackiem w okolicy Leska w Sanockiem. Z owego to czasu datuje się wzmiankowana w autobiografii znajomość z Ksawerym Krasickim, którego typowa postać równie jak i całe otoczenie stało się dla Pola nieprzebranem źródłem tradycyi przeszłego czasu i społeczeństwa, odsłoniło mu najpiękniejszą jego stronę. Tutaj to zaczerpał on po większej części tej znajomości onego świata i obyczaju, tej obfitości szczegółów charakterystycznych, która pod artystycznym jego pędzlem nabiera wymownego wyrazu i nadaje obrazom jego prawdę natury i urok właściwy. Podczas więc gdy z jednej strony fantazyja poety napa-

wała się tradycjami historycznymi i obyczajowymi, z drugiej po-
 bliże świata górskiego, wionące atmosferą przyrody świeżej a peł-
 nej bogactwa i niezbadanych tajemnic, nęciło ku ich zgłębieniu
 umysł pragnący wiedzy naukowej. Świat ów podwójnym przema-
 wiał doń urokiem — pięknnością jego widoków lubowała się fanta-
 zya poety; ciekawość naukowa widziała w bogactwie jego przyrody
 nieprzebraną kopalnię prawd i tajemnic godnych zbadania. Posta-
 nowiwszy napisać geografję ojczyzstego kraju, któraby nie była je-
 dynie tylko kompilacyjnem powtórzeniem rzeczy już znanych, lecz
 opierała się na naocznem rozpoznaniu i zbadaniu kraju, rozpoczął
 od roku 1840 wędrowki naukowe, najprzód przez łańcuch Karpat
 po galicyjskiej i węgierskiej stronie, a następnie w inne dalsze
 okolice. Wędrowki te powtarzały się corocznie przez lat cztery.
 Później uzupełniał je pojedynczemi wycieczkami. W ciągu tych
 wypraw naukowych odbywanych pieszo, starał się Pol poznać jak
 najdokładniej, z całą sumiennnością naukową, wszystkie przymioty
 kraju i przyrody zwiedzanych okolic, rozpoznawał ich faunę i florę,
 pokłady geologiczne, czynił barometryczne pomiary, sprawdzając
 wszystko naocześnie na miejscu, co o tem napisali uczeni jego po-
 przednicy. Wędrowki te czynił częstokroć w towarzystwie uczonych,
 z którymi wspólnie poszukiwania przedsiębrał, lub brał z sobą ko-
 goś z młodzieży odznaczającej się talentem i zawodowi naukowemu
 oddanej. Takim towarzyszem wszystkich wędrowek Pola mianowicie
 po Karpatach, bywał Felicyan Łobarzewski, jeden z najzdolniejszych
 naszych botaników, później profesor botaniki na uniwersytecie
 lwowskim i dyrektor tamtejszego ogrodu botanicznego. Śmierć
 przedwczesna zabrała Łobarzewskiego w sile prawie młodzieńczego
 wieku, i nie dozwoliła uporządkować ostatecznie i ogłosić wyniku
 poszukiwań i prac dokonanych, przez co umiejętność rzetelną po-
 niosła stratę. Rękopisy po nim pozostałe, zawierające wiele bar-
 dzo cennych wiadomości objaśniających bogactwo flory krajowej,
 znajdują się podobno złożone w bibliotece Włodzimierza hr. Dzie-
 duszyckiego we Lwowie.

Owoce tych naukowych wędrowek Pola były jego rozprawy
 i dzieła geograficzne: *Rzut oka na północne stoki Karpat*, *Półno-
 cny wschód Europy*, *Hydrografia dawnej Polski*, tudzież inne
 w rękopisie pozostałe, które w wychodzącem obecnie zupełnem wy-
 daniu dzieł jego, przedsięwziętem przez rodzinę, umieszczone będą.
 Na nich też osnute były prelekye jego, gdy mianowany w r. 1849
 przez ówczesnego ministra oświaty hr. Thuna profesorem geo-
 grafii w akademi Jagiellońskiej w Krakowie, katedrę rzeczoną przez

lat cztery zajmował. Pol był pierwszy, który u nas naukę geografii podniósł na stopę umiejętną, do wysokości, na której postavili ją u Niemców uczone prace Humboldta i Rittera. Przedtem nie mieliśmy geografii. Była ona można powiedzieć niczem więcej jak nieietłómaczącym spisem nazw gór, rzek i miast, nie powiązanych wyższym na ich położenie i znaczenie poglądem. Idąc za wzorem pomienionych dwóch uczonych niemieckich pierwszy Pol rozszerzył u nas zakres poglądu geograficznego, podsunął nauce grunt umiejętny, stworzył u nas geografję fizyczną i porównawczą w jej prawdziwym znaczeniu i wytknął kierunek, w jakim pracę naukową dalej prowadzić, i podane przezeń elementarne wskazówki uzupełniać należy.

Mapografia zajmowała Polowi wiele czasu i pracy, a ostatecznie wzrok pochłoneła. Studyowanie kart geograficznych i rysowanie ich, przyczyniło się znacznie do jego ślepoty. Osłabienie wzroku szybko postępowało, tak, iż po ustąpieniu z katedry nie mógł już dalej oddawać się pracom tego rodzaju. Pomimo tego znacznie później zamieszkałszy we Lwowie, gdy był zupełnie już prawie ciemny, wykonał z kartonu wielkiego rozmiaru kilkosażniową plastyczną geologiczną mapę Karpat, ułożoną według dawniejszych własnych pomiarów i poszukiwań. W tej porze miał też we Lwowie w sali ratuszowej szereg wykładów geograficznych o Karpatach, które poprzedził objaśnieniem ogólnych zasad geografii fizycznej i porównawczej. Wykłady te obudziły wielkie zajęcie. Pol był w swoim żywiole. Przedmiot, o którym mówił, ożywił w nim pamięć prac dawniejszych. Mówił z zamiłowaniem, roztaczał poglądy zajmujące, opowiadał przystępnie rzeczy naukowe, po większej części mało znane szerszej publiczności. Wykład jego miał przytem wdzięk prostoty i poetycznego wysłowienia, a mało który z profesorów mógł by się poszczycić tak wdzięczną i ujmującą swadą. Wykłady jego podobały się i zachwycaly zawsze — czasem entuzjazmowały słuchaczów.

Zachęcony powodzeniem ogłosił następnej zimy sześć prelekyi o *muzyce religijnej*, do których wspólnego urządzenia zaprosił Mikulego, dyrektora Towarzystwa muzycznego lwowskiego, i dochód z tych wykładów na korzyść rzeczonoego towarzystwa przeznaczył. Wykłady te były urządzone w ten sposób, że po każdej prelekyi, chóry muzyczne, umieszczone na galeryi sali wykładowej, wykonywały pod dyrekcją Mikulego to, o czem mówił prelegent, ilustrując tym sposobem słowny wykład, dla poznajomienia słuchaczów z głównymi chwilami dziejów muzyki religijnej,

z najznakomitszymi utworami, będącymi wyrazem każdej epoki jej przeobrażeń i postępu. Pomysł illustrowania muzyką wykładów był oryginalny i nowy we Lwowie. Było to połączenie rzeczy naukowej z przepysznym koncertem, a nowość ta musiała znaleźć niezmierny rozgłos w mieście, i Lwów zainteresować żywo dla muzyki, zwłaszcza gdy Pol był prelegentem a Mikuli dyrygował wykonaniem części muzycznej. W sześciu tych wykładach naszkicował Pol genialnie w aforystycznie rzuconym zarysie charakterystykę muzyki religijnej rozmaitych ludów i czasów. Zasługa wskazania i wyboru potrzebnych ku temu materiałów muzycznych, sprowadzanych umyślnie znacznym kosztem, należała Polowi — mistrzowskiego ich wykonania przez Towarzystwo muzyczne, Mikulemu. Po raz pierwszy usłyszała tu publiczność lwowska wielkie dzieła Palestriny, kompozycje Gomółki i innych mniej znanych mistrzów. Każdy wykład poświęcony był osobnemu rodzajowi muzyki; a do każdego z nich dobrane były stosowne chóry. I tak jeden z wieczorów poświęcony był muzyce starokościelnej rytuału ormiańskiego. Innym razem chóry żydowskie sprowadzone z synagogi, odspiewały pod przewodnictwem swoich koryfeuszów religijne hymny ludu izraelskiego, z całą właściwą tym pieniom charakterystyką. Wykonanie było wyborne i zachwyciło wszystkich. Najwięcej wszakże wrażenia sprawiły po ostatnim wykładzie odspiewane kolendy przez młodzież szkolną pod dyrekcją profesora śpiewu Szumlańskiego. Śpiewano tak dobrze, z tak doskonałym zrozumieniem właściwości każdej kolendy, i z takim isticie kantyczkowym zacięciem, iż uniesienie publiczności nie miało granic. Obsypano oklaskami prelegenta i młodziutkich śpiewaków wraz z ich nauczycielem, a zacna starszuszka hr. M. zaprosiła chór cały z kilkudziesięciu chłopiąt złożony na wieczerzę i ugościła pączkami. Na te wykłady Pola uczęszczał obecny podówczas we Lwowie Moniuszko, co było niemałą także pobudką dla chórów, mających się przed takim gościem popisywać.

Następnej zimy zapowiedział Pol szereg wykładów *O literaturze polskiej XIX wieku*. Wykłady te stenografowane i ogłoszone drukiem, utworzyły zajmującą książkę, w której osnowę wplótł wiele rysów obyczajowych, wyświecających wpływy, pod którymi przeobrażała się i wyrabiała literatura. Znajduje się tam wiele trafnych poglądów rzucających genialny odblask na ten aforystycznie skreślony obraz rozwoju literatury naszej ostatnich czasów.

Czynny umysł Pola nie przestał pracować do grobowej niemal deski, pomimo ślepoty i zwiększających się dolegliwości fizy-

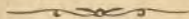
cznych. Ostatni jego poemat *Starosta Kiślucki* wyszedł już prawie w przedjutrzu śmierci swego twórcy. Ostatniemi wszakże czasy oddawał się więcej prozie. Wydał *Rok Myśliwca*, prześlicznie ilustrowany przez Kossaka i dwa tomy *Obrazów*, w których odmalował przyrodę i społeczeństwo rozmaitych okolic i stref kraju. Rzeczy te należą do najpiękniejszych dzieł jego. Jest w nich taka świeżość fantazyi, wdzięk opowieści i ciepło uczucia, iż czytając je, z największem zajęciem podziwiać musimy siłę talentu prawie młodzieńczą obok wytrwałości pióra, wyrobionego długimi laty doświadczenia autorskiego. Wszędzie zdumiewające bogactwo szczegółów, zachwycająca prawda kolorytu. W *Roku Myśliwca* rozwinął taką znajomość zwierzęcego świata i obyczaju, tudzież zwyczajów ło-wieckich, jaką prócz niego mało zapewne kto u nas posiada.

Pol, jak każdy zazwyczaj umysł wyższego rzędu, gdziekolwiek był, stawał się duszą życia literackiego i towarzyskiego, punktem, około którego skupiało się koło wyborowej inteligencji. Zebrania te miały w sobie niezrównany urok, ożywione rozmową, w której bez sztywności rozpraw naukowych, tokiem powszedniej gawędy rozbie- rały się przecie najważniejsze sprawy literackie, naukowe i arty- styczne, dotykano kwestyi i spraw bieżących najwyższego znaczenia. Któż z bliższych znajomych Pola nie przypomni sobie tych towa- rzyskich posiedzeń w pawilonie ogrodu miejskiego we Lwowie lub w ogródku na kawie u pani Alexandrowej w Krakowie? Były to chwile codziennego wypoczynku po pracy dla Pola, lubiącego to- warzyską tego rodzaju gawędę, którą sam zawsze ożywić i utrzy- mywać na odpowiedniej umiał wysokości. Nie podobna bo też zna- leść miłszego i genialniejszego gawędziarza jak był Pol. Rozmowa jego, zaprawiona dowcipem ciętym a trafnym, nieraz sarkastycznym, nigdy złośliwym, obfitowała w mnóstwo wiadomości, zaczerpniętych z książek, tradycyi lub własnych spostrzeżeń, w bogactwo charakte- rystycznych rysów obyczajowych z różnych epok i sfer społecznych, słowem promieniała niewyczerpanym zasobem nauki i bystrości. W obejściu towarzyskiem pełen dobrego tonu i uprzejmości, nigdy Pol nie dał poznać tym co się do niego zbliżyli. swej wyższości w sposób odpychający pyszałkostwem umysłowem. Przeciwnie, pełen prostoty i serdeczności, umiał się zawsze z każdym na wła- ściwym znaleźć poziomie, rozsiewał w około siebie promienie świa- tła nieprzyćmionego pedanterią półmędrkostwa. W opowiadaniu był niezrównanym. Gdy przedmiot, o którym mówił, pociągnął go ży- wszem wspomnieniem i ogrzał fantazyę i uczucie, wówczas opo- wieści jego stawały się improwizowanemi poematami, przewyższa-

jącami żywością obrazowania. różnaitością kolorytu i wdziękiem swady wiele poematów pisanych.

Aby należycie ocenić Pola, nie już jako pisarza, ze stanowiska krytyki literackiej, ale jako człowieka i poetę z gruntu duszy, potrzeba go było znać osobiście, w powszednim życiu i otoczeniu. Poznawszy go bliżej niepodobna było nie pokochać i nie uwielbiać tej szlachetności, tej prawdziwie chrześcijańskiej miłości, znamionującej całe jego życie i postępowanie. Wyraz jego oblicza miał zacięcie marsowe, obok dobroci i łagodności. Malowała się w nim obok rzutkiej dziarskości myśli, rzewność tkliwego z natury uczucia. Jako prawdziwy poeta, dający się powodować uczuciu i wyobraźni, żył Pol w wieczystych złudzeniach, sprowadzających go w życiu powszednim na różne przykrościami usłane drogi i niedozwalających nigdy zaprowadzić równowagi w materyalnym swem położeniu. Nie znam nikogo, coby mniej potrzebował osobiście i mniej na siebie wydawał. Skromny w wymaganiach, niewymyślny w ubiorze, wieczyście w szaraczkowym, zapiętym pod szyję surducie, jednego tylko sobie pozwalał zbytku, cygar, które palił nieustannie, co mu się do utraty wzroku znacznie także przyczyniło. Ale Pol tak mało wydając na siebie, przy wielkich dochodach, jakie mu dzieła jego przynosiły, rozsypywał hojnie, z nieogłędnością i niepraktycznością poety dla drugich. Podzielił się ostatniem czy to z rodziną czy ze znajomym. Nie odmówił nic nigdy nikomu, chociaż wymagano po nim rzeczy, przechodzących nieraz miarę jego funduszków i możności. Szczegóły powyższe nie należą wprawdzie do literatury, mniemałem jednak, że nie od rzeczy będzie uwydatnić kilku temi charakterystycznemi rysami wizerunek jednego z najznakomitszych naszych pisarzy.

Z śmiercią J. N. Kamińskiego i Fredry, Pola i Bielowskiego zeszedli do grobu twórcy literatury w Galicyi i główni niegdyś jej przedstawiciele i kierownicy.



VIII

Ziewonia — Koryfeusze obozu literackiego — Józef Borkowski — *Prace literackie* — *Album na korzyść pogorzalców Rzeszowa* — Leszek Borkowski — *Niepowieści i nierozprawy* — *Parafiańszczyzna* — Dominik Magnuszewski — *Obóz minorum gentium* — Stanisław Jaszowski — *Słowianin i Dniestrzanka* —
Redaktor *Lwowianina* Ludwik Zieliński — Dyonizy Zubrzycki

Przed rokiem 1840 nie było we Lwowie oprócz *Rozmaitości* pisma peryodycznego, gdzieby się mogły gromadzić prace młodego postępowego obozu literackiego. Niedostatek ten postanowił Bielowski zastąpić wydawaniem od czasu do czasu *Noworoczników*, mieszczących rzeczony prace. Wydanie książki zbiorowej nie ulegało tylu trudnościom, co uzyskanie koncesyi na pismo peryodyczne. Był to najwłaściwszy w ówczesnych okolicznościach, poniekąd jedyny może sposób komunikowania się z czytającą publicznością i poznamienia jej z tokiem literatury bieżącej, z najnowszymi i najznakomitszymi jej utworami.

W tej myśli wydał Bielowski *Ziewonię*, złożoną z utworów koła literackiego, grupującego się w około niego i idącego z nim pospołu w imię tych samych zasad i celów na polu literackiem. Mieściły się w *Ziewonii* utwory najznakomitszych młodego pokolenia pisarzy, powołanych stworzyć nowy kierunek, nową literaturę, mianowicie Goszczyńskiego, Lucyana Siemieńskiego, Józefa i Leszka braci Borkowskich, Dominika Magnuszewskiego i samegoż wydawcy. *Ziewonia* miała wychodzić peryodycznie co roku. Tom drugi wydrukował Bielowski w Pradze, a drugie wydanie rzeczonygo tomu wyszło następnie w Sztrasburgu za staraniem znajdującego się już w ówczas za granicą Siemieńskiego.

Ziewonia była świetnem zjawiskiem literackiem. Zapelniona po większej części poezjami i powieścią, miała cechę przeważnie belletrystyczną, będąc wyrazem postępowego kierunku literatury,

ezerpiącego natchnienie ze źródeł swojskich. Tutaj się pojawiła po raz pierwszy światu *Sobótka* Goszczyńskiego, przesłiczne cacko powieściowe Siemieńskiego *Ogrody i pocii*, *Schadzka artystów* Magnuszewskiego, przekłady pieśni i dumek ukraińskich Bielowskiego i Siemieńskiego, wydane później osobno w Pradze. Z kart *Ziewonii* wiała świeżość młodzieńczego natchnienia, potęga i bogactwo talentu, świadczące że ci, eo się na tę zbiorową złożyli książkę, posiadają zasób twórczego ducha, zdolny stworzyć nową przyszłość literaturze.

Odznaczała się nadto *Ziewonia* bogactwem stylu, czystością i pięknnością języka, niespotykaną przedtem w utworach pisarzy nawet najlepszych. Widocznie był to język skąpany w nowych źródłach, wyrobiony częścią na pisarzach Zygmuntofskich, częścią z pieśni gminnej i narzecza ludowego ezerpiący wdzięk i koloryt, tudzież wiele nowych czysto rodzinnych wyrażen i zwrotów, ktermi młodzi pisarze wzbogacili skarbiec języka książkowego. Widzieliśmy poprzednio jak skażony i skoszlawiony był język w pismach galicyjskich aż do czasu *Haliczanina*. Nie małą to więc było zasługą *Ziewonii*, że odsłoniła jakby świat nowy pod tym względem czytającej publiczności. Młodzi jej autorowie, rozwinęli język i umieli zeń wydobyć najwdzięczniejsze tony, naginające się harmonijnie dla wyrażenia najdrobniejszych odcieni uczucia i fantazyi.

Mało który z naszych pisarzów dorówna wdziękiem stylu Luceyanowi Siemieńskiemu. Sam Bielowski, władający po mistrzowsku językiem, wyrobił sobie styl łączący z prostotą i powagą, prawdziwie klasyczną, ozdobność i szlachetność wyrazu, równą najznakomitszym pisarzom starożytnym.

Trudności stojące na przeszkodzie dalszemu wydawaniu *Ziewonii* nie dały się usunąć. Myśl wydawania od czasu do czasu w książce zbiorowej utworów literackich bliższego sobie kółka lwowskiego, na tem polu spólnie pracującego, podjął Józef Borkowski i w parę lat później wydał *Prace literackie*, książkę nie wielką ale znakomitej wartości. Nim powiemy o książce, poznajmy bliżej wydawcę.

Józef Dunin Borkowski, starszy brat Leszka, żył w najściślejszych stosunkach literackich z Bielowskim. Z jednakowego punktu widzenia zapatrując się na literaturę. jednakich przekonań, w jednym też szli kierunku, i jedne cele zakreślali literaturze. Bielowski z usposobienia wrodzonego był więcej w sobie zatopiony, mniej do towarzyskiego życia i obcowania z ludźmi skłonny; milezący i poważny, żył bardziej odosobiony. Borkowski posiadający więcej ży-

wości i usposobienia towarzyskiego, był motorem życia literackiego we Lwowie. starał się być jego wyrazem, pobudzać i elektryzować. Co brakło na energii Bielowskiemu, lub na doświadczeniu młodszym pisarzom, to uzupełniał Borkowski rzutkością działania i radą, po którą się do niego we wszystkich sprawach, przedsiębiorstwach i pomysłach literackich udawano, radą opartą na znajomości rzeczy i wrodzonym instynkcie artystycznym, który go nigdy nie mylił. Wiedzano też o tem powszechnie, że Józef Borkowski był niejako gospodarzem lwowskiej kolonii literackiej, że był jej duszą towarzyską. Ktokolwiek z obcych znakomitości literackich przyjeżdżał do Lwowa i chciał się zapoznać z tutejszem gronem literatów i z tutejszemi stosunkami literackimi, udawał się wprost do niego i pod jego oddawał skrzydło.

Miał w tem trochę zamiaru Borkowski; aby się odróżniać od innych oryginalną, odmienną od powszedniego tłumu publiki powierzchnowością. Kto zna Lwów z owych czasów, pamięta niezawodnie młodzieńca w pełnej sile wieku, o ściągłej bladej twarzy, greckiego zarysu, ujętej w ramy bujnej, kručzej czarności włosów, spadających bezładnie gęstą falą aż na ramiona. Piękna to była twarz, na której przebijały się już z lekka ślady suchotnicze, podniesione jeszcze blaskiem ognistych, jak węgle żarzące oczu. Zresztą ubiór zawsze ciemny i nie bijący w oczy, zachowanie pełne dystynkeyi znamionowały w nim człowieka wysokiej intelligencji i wysokiego towarzystwa. Przepadały za nim kobiety tem bardziej, że młodzieniec był poetą i posiadał już sławę literacką.

Borkowski pierwsze nauki pobierał w Warszawie, w konwicie OO. Pijarów. Wróciwszy do Galicyi, skąd był rodem, słuchoł filozofii wraz z bratem Leszkiem w Czerniowcach. Było to w roku 1827. Przybywszy do Czerniowiec zastali tam wiele rodzin greckich, które z powodu ówczesnych wypadków politycznych w Grecyi, szukały przytułku w spokojnem ustronnem mieście nad Prutem i stałe tu na dłuższy czas zamieszkały. W ówczas to Borkowski, mając sposobność zaznajomienia się i obcowania z wielu wysoko wykształconymi Grekami, polubił ich towarzystwo, wyuczył się po grecku, i rozmiłował w literaturze staro- i nowogreckiej, które to zamiłowanie pozostało mu już na zawsze i wpłynęło na kierunek pracy literackiej całego życia. Wówczas jeszcze przełożył na język polski *Historję literatury nowogreckiej* Jakowakisa Rizosa Nerulosa i przekład ten przesłał w rękopisie warszawskiemu Towarzystwu przyjaciół nauk.

Wróciwszy do Lwowa w roku 1829 umieścił na wezwanie Walentego Chłędowskiego w *Haliczanie* wierszem *Elegię na śmierć Jana Pawła Woronicza* i prozą krytykę przekładu pieśni nowogreckich Aleksandra Chodźki. Były to pierwsze utwory Borkowskiego drukiem ogłoszone i zwróciły nań uwagę świata literackiego, zwłaszcza krytyka przekładu pieśni. Chodźko znał je ze zbioru Fauriela i tłómaczył z przekładu francuskiego, nie mógł więc ani tak zrozumieć ani oddać ich ducha, jak je pojmował i rozumiał znający je w oryginale Borkowski. Krytyka była ostra, tem bardziej, że młody recenzent, sam poeta, rozumiał należycie zadanie poezyi i wiele po niej wymagał. Żeby przykładem poprzeć teorię przetłómaczył sam wiele nieznanujących się w zbiorze Fauriela pieśni ludu z języka nowogreckiego.

Od roku 1832 osiadłszy stale we Lwowie oddał się studjom literatury klasycznej starogreckiej, przełożył dwie księgi Herodota, *Klio i Melpomene*, i miał zamiar przełożyć całego. Przekładał także *Odyseję* Homera, niektóre *Hymny* i *Teogonię* Hezyoda, i ukończył całego prawie Apollodora. Oprócz tego pracował nad dziełem oryginalnem, mającem nosić tytuł: *Grecyzna w Polsce*. Zajmował się przez wiele lat zbieraniem materyałów i studjami do tej pracy się odnoszącemi. Zamierzał w dziele tem wykazać historycznie wpływ, jaki literatura grecka, w ogóle greczyzna wywarła na rozwój literatury polskiej. Dzieło postępowało, ale poetom łacniej w tęczowe nurzać się światy urojeń i snuć promienne tkaniny w sferze fantazyi i uczuć, niż zagłębiać się w filologiczne, historyczne i archeologiczne badania; praca więc szła zwolna a śmierć przedwczesna nie dozwoliła jej ukończyć.

Pomimo, że pisał wiele prozą, Borkowski był przedewszystkiem poetą, dar poetyczny był głównie talentu jego autorskiego znamieniem. Umieszczał swe poezye w *Dzienniku mór Kulczyckiego*, w *Bibliotece Warszawskiej* i innych pismach spółczesnych. Nie napisał wprawdzie żadnego poematu dłuższego, ale każdy z drobnych jego wierszy, rzucanych jak kwiatki po literackiej niwie, świeci promieniem prawdziwej poezyi, posiada przejrzystość i wartość brylantu w misternej oprawie, a piękność i życie kwiatu. Możnaby na palcach zliczyć te miniaturowe cacka poetyczne, tak ich nie wiele, ale tylko prawdziwy z uczucia i natchnienia poeta mógł stworzyć takie rzeczy jak jego wiersz.

Kobieto świata, salonowa tęczo!..

Do takich perełek poetycznych policzyć należy także wiersze *Do Emy*, *Tęsknota*, hymny na cześć Grecyi, poezye orientalne i t. p. Napisany tuż przed śmiercią ostatni wiersz: *Gdy moje oko światłem nie błysnie*, był łabędzim spiewem, ostatnim błyskiem poetycznej duszy.

Powiedzieliśmy że Borkowski był motorem życia literackiego we Lwowie i że wydane przezeń *Prace literackie* były zbiorem prac tego samego grona, które składało się przedtem na *Ziewonję*. Miały tedy *Prace literackie* pewne pokrewieństwo z *Ziewonją*, były wyrazem tego samego kierunku, o ile w ramach tak małej książki odzwierciedlić się to mogło. Znajdujemy tam umieszczoną na czele powieść historyczną Dominika Maguszewskiego: *Zemsta panny Urszuli*, odmienną duchem, formą i kolorytem od wszystkiego, co w tym rodzaju przedtem posiadała nasza literatura. Z własnych prac umieścił tutaj Borkowski prozą rozprawę o języku łowieckim polskim, i wierszem *Gazela*, naśladowujące formę poezyi orientalnej, w której podobnie jak w greckiej szczególnie się lubował.

W parę lat po wydaniu *Prac literackich* zdarzyło się że pożar zniszczył miasto Rzeszów, przez co większa część jego mieszkańców w głodzie i nędzy ujrzała się pogrążoną. W całej Galicyi posypały się składki, celem niesienia pomocy nieszczęśliwym Rzeszowianom. Borkowski wspólnie z Bielowskim powzięli myśl ażeby i literaci stanęli w szeregu niosących pomoc nieszczęściu, skutkiem czego przedsięwzięli wydać zbiorowe Album na korzyść pogorzalców Rzeszowa, złożone z utworów wszystkich znakomitszych pisarzy spółczesnych galicyjskich, mając przytem cel dwójaki na względzie, humanitarny i literacki. Dobroczynny cel *Albumu* dawał rękojmię znacznego rozpowszechnienia książki za pośrednictwem związanych po kraju komitetów, zbierających składki na pogorzalców, mających więc obowiązek popierania przedpłaty i rozpowszechnienia książki. Tym sposobem mogła ona rozejść się i rzeczywiście rozeszła w niepraktykowanej przedtem liczbie egzemplarzy, przez co mogła stać się o wiele pożyteczniejszą i więcej przyczynić się do postępu oświaty, niżeli każda w innych warunkach wydana książka. Obok humanitarnego ten to więc drugi wzgląd skłaniał wydawców, nieszukających dla siebie ztąd żadnych korzyści materialnych, do wydania *Albumu*.

Zajęcie się wydaniem i główną redakcyę wziął na siebie Borkowski i zaprząłnał się tem bardzo gorliwie. Rozpisał listy do wszystkich literatów; ze wszech stron posypały się artykuły, gdyż wszyscy ochoczo spieszyli na jego wezwanie stanąć w szeregu

spółpracowników książki w takim celu i pod taką egidą wychodzącej. Wywiązała się ztąd rozległa korespondencya, połączona z mozolną i wiele czasu pochłaniającą pracą. Potrzeba było odczytywać nadesłane rękopisma i porozumiewać się w tym przedmiocie o wiele rzeczy z autorami. Nie wszystko, co nadesłano, dało się drukować w pierwotnej rozciągłości i formie. Potrzeba było niektóre rzeczy zmieniać, urywać, przerabiać. Dodajmy do tego że książkę drukowano w Wiedniu. Obie ówczesne drukarnie lwowskie, Pillerowska i Sznajderowska, były tak źle uposażone pod względem typograficznym, że chcąc wydać książkę tanio i ozdobnie, musiano uciekać się z jej drukiem do Pragi lub Wiednia. *Prace literackie* także w Wiedniu się drukowały. Tam też posłano *Album*.

Nadchodzące z Wiednia korekty, składane tam przez zecerów nie zawsze z językiem polskim należycie obznajomionych, dawały też wiele do czynienia, zwłaszcza że Borkowski sam własnem okiem chciał wszystkiego dopilnować. Musiały więc one odbywać wielokrotne podróże tam i napowrót, z Wiednia do Lwowa, i ze Lwowa do Wiednia. Druk zatem postępował bardzo pomału, do czego przyczyniła się i choroba Borkowskiego, objawiająca się osłabieniem suchotniczem, ujmującym mu z dniem każdym siły i życia. Nie dożył chwili wyjścia na świat książki, której układem i redakcją tak gorliwie się zajmował. Na łożu śmiertelnem oddał Bielowskiemu resztę przygotowanych do druku rękopisów i ukończenie wydania poruczył.

Album wyszło niebawem po jego śmierci. Było ono zbiorem artykułów znakomitej wartości, jedną z najlepszych książek ówczesnych. Czytelnicy znaleźli w niej wizerunek przedwczesnie zgasłego wydawcy, wykonany według rysunku malarza Bartusa ze zdjętej przezeń pośmiertnej maski. Wizerunek bardzo podobny z wyjątkiem wyrazu oczu, pozbawionych na rycinie ognia i blasku, którym płonęły za życia. W dołączonym na końcu książki dodatku umieścił Bielowski skreślony przez siebie życiorys Borkowskiego, a brat zmarłego, Leszek, przesłiczną elegję, *Pozdrowienie*, wiersz, dla tego że z głębi braterskiego uczucia wypłynął, jedyny może, w którym Leszek Borkowski był prawdziwym poetą. Szuka on wzrokiem pełnym żalu i rzewnej tęsknoty braterskiego cienia po całym wszechświecie i wszystkiemi tony nieba i ziemi szle pozdrowienie jego duchowi, w nieznanym ulatującemu sferach:

Otośmy siedli w spiewaków gronie
 By narodowe nucić piosenki. . .
 Jednej nam struny brakło w bardonie.
 Jednego serca i ręki!

Jakoż w istocie brak Borkowskiego wiele się dał uczuć w lwowskiem życiu literackiem. Bielowski usuwał się coraz bardziej od ruchu powszechnego, zajmując się coraz wyłącznie swemi badaniami historycznemi. Redagował wprawdzie wychodzący od dwóch lat pod firmą wydawniczą krawca Kulezyckiego *Dziennik mód paryskich*, będący pomimo tej nazwy pismem literackiem, ale bez współpracownictwa i rzutkiej spółredakcyi Borkowskiego nie był w możności ożywić i urozmaicić pisma. Dłuższy przeciąg czasu musiał upłynąć nim młodsze siły i nowi ludzie zapełnili tę lukę, która na razie mocno uczuć się dała w lwowskiem gronie literackiem.

Szkoda że dotąd nikt się nie zajął porządkiem wydaniem pism jego. Przed laty kilkunastu zapowiedział był we Lwowie księgarz Jabłoński wydawnictwo dzieł najznakomitszych pisarzy polskich, którego pierwsze tomy miały objąć zbiór zupełny dzieł Borkowskiego. Wszedł wszakże tylko tom jeden i całe wydawnictwo na tem się urwało. Dziwnie bo też wygląda ów tom pierwszy! Borkowski miał zwyczaj, jak każdy zresztą literat, czynić do podręcznego swego użytku wypisy z różnych autorów, przepisywać ustępy z celniejszych poetów, które mu się szczególniej podobowały, co wszystko znalazło się wraz z innemi własnymi rękopisami i bruljonami w tece nieboszczyka. Tekę tę oddano, jak widać, wydawcy nieuporządkowaną, tak jak ją po śmierci Borkowskiego znaleziono. Wydawca z osobliwszem, podziwienia godnem niedbalstwem i nieznajomością rzeczy brał z teki, co mu się w palce nasuwało, i drukował jedno po drugim, bez względu nawet czy to były utwory pióra Borkowskiego czy cudze. Zrobił się tedy ztąd dziwnego rodzaju kwodlibet, przeplatany utworami różnych autorów.

Leszek Borkowski posiadał zupełnie odmienny talent. Józef był poetą. Leszek pisał wprawdzie początkowo także poezye. Występując po raz pierwszy na widownię literacką w *Haliczanie*, wydrukował obszerny poemat *Kozak*, a w *Pracach literackich* poemat fantastyczny z ludowego wzięty podania: *Orły z Herburtów*, wydał także osobno tomik poezyi pod napisem *Wieszczenia Lechowe*, wszystko to wszakże przeminęło bez rozgłosu a imię i stanowisko literackie zjednał sobie Leszek pismami swemi prozą. Talent jego był przeważnie satyryczny, umysł posiadał nieprzebrane zasoby dowcipu, połączonego z sarkazmem, nadającym pióru jego siłę i oryginalność. Te przymioty znamionowały jego prozę, mianowicie sze-

reg artykułów moralno-satyrycznych, z którymi po raz pierwszy wystąpił w *Albumie na korzyść pogorzalców Rzeszowskich* i w innych pismach społecznych, a następnie razem wydał w osobnej książce pod napisem: *Niepowieści i Nierozprawy*. Tytuł był trafny, albowiem utwory te, nie mające sztywności rozpraw etyczno-naukowych, przeplatane rzucaniami jakby od niechceń obrazkami obyczajowymi, mającemi zakrój powieściowy, łączyły w sobie cośkolwiek z jednego i drugiego żywiołu, nie będąc w istocie ani powieściami ani rozprawami. „Do układania traktatów naukowych nie przypisywałem sobie należytej powagi naukowej, powiedział sam o sobie Leszek Berkowski, a do pisania powieści nie uważałem potrzebnej ku temu fantazyi i zdolności. Zaś pisać źle nie chciałem. Wolałem więc jać się tego, co leżało po środku pomiędzy temi dwoma rodzajami, pisałem *Niepowieści i Nierozprawy*.“

Była to rzeczywiście forma oryginalna, wprowadzona u nas po raz pierwszy przez Leszka. Z jednego słowa, czyniąc je wyrazem pewnych stosunków społecznych i obyczajowych lub usposobień psychicznych, rozwija on w każdym z tych artykułów szereg spostrzeżeń obyczajowych i uwag satyrycznych, chłoszczących ciętym dowcipem wady, występki i nałogi, bez pedanteryi kaznodziejskiej, lekkim i żywym piórem powieściarskim, zbierając mimochodem nasuwające się ztąd i owąd wzorki i obrazki typowe. Takie były umieszczone w *Albumie* artykuły pod tytułem: *Gdyby, Postulsi, Coś i jakoś*, i inne późniejsze. Z samych tych napisów tytułowych domyśli się czytelnik że w jednym z nich chłoszcze autor ludzi nieposiadających stałości charakteru, będących wiecznie i zawsze posłusznymi, chociaż posłuszeństwo czyni ich śmiesznymi, a co gorsza nieraz na ślepo wprowadza mimowolnie na bezdroża występku; w drugim stawia pod pręgierzem satyry niedbalstwo, moralne i umysłowe, opuszczające się zawsze na to, że jakoś to będzie i coś się zrobi, bez przyłożenia czynnej ręki do pokierowania wypadkami, i zwałające potem winę własnego niedołęstwa i jego skutki na wolę losu, uskarżając się że gdyby nie to i owo, wszystko byłoby było inaczej. Tym to sposobem w powabnej a oryginalnej formie podana satyra, tryskając iskrami dowcipu, nęciła czytelników i skutek swój odnosiła. Był tedy autor *Nierozpraw i Niepowieści* moralistą w właściwym tego słowa znaczeniu, pisarzem obyczajowym, a nadto jedynym może swego czasu humorystą, posiadającym prawdziwy humor, zaprawny zawsze ziarnkiem

dosadnej uszczypliwości, gdzie się tylko sposobność ku temu nadarzyła.

Przymioty te najjaskrawiej uwydatniły się w *Parafianšczyźnie*. Leszek Borkowski żyjąc w kołach tak zwanego wyższego towarzystwa, w sferze salonów arystokratycznych, miał sposobność poznania z bliska jakie tam podówczas szerzyło się zepsucie obyczajów, nieuctwo, próżniactwo, blaga moralna i umysłowa, pokryta blichтром bigoteryi i konwenansów jałowej etykiety. Ta smutnej pamięci pseudo - arystokracya, po większej części bardzo świeżej daty, pomiałała dumnie wszystkim, co tylko nie wchodziło w jej sferę, poczytując to wszystko za niższe od siebie. Byli to istni parafianie arystokracji, przybierający wszystkie pozory wyższości towarzyskiej i umysłowej, nie posiadając ku temu ani prawa, ani uzdolnienia, podobni parafianom zaściankowym, nieumiejącym się obracać na widowni szerszego świata, nieznającym jego zwyczajów i stosunków, i popełniającym przeto na każdym kroku niezgrabne śmieszności. Ale ówczesny świat, czyli raczej, że go tak nazwę, półświat arystokratyczny lwowski oprócz śmieszności grzeszył jeszcze zepsuciem. Satyrykowi i moralście nasuwało tu się obszerne pole działania, bogaty przedmiot dla pióra. Postanowił skorzystać z tego Leszek i napisał na wielki rozmiar dwutomową satyrę obyczajową, w której skreślił żywcem z natury w dosadnych rysach życie i krzątanie się owego *cercle fermé* ówczesnej arystokracji lwowskiej, będące wedle trafnie przezeń dobranej nazwy niczem innym jak parafianšczyzną w powyżej wytkniętem znaczeniu w obec prawdziwej arystokracji. Nie pamiętam książki tak chętnie czytanej jak w swoim czasie *Parafianšczyzna*, książki, któraby tak zelektryzowała publiczną ciekawość, a zarazem tak sprzeczne wywołała zdania. Autor nie silił się na inwencyę artystyczną i nie wchodziło to zresztą w zakres planu dzieła. Powtórzył tylko to, co na własne oczy widział lub słyszał, lub czego z bliska był świadkiem, odsłonił rzeczy zakulisowe, powtórzył dosłownie niemal niektóre sceny, jawne i pokryjome, odgrywające się w tem kole, którego postanowił przedstawić dokładnie zdjętą sylwetkę; przesunął przed okiem czytelnika galeryę figur składających to koło, z zachowaniem tak dokładnem podobieństwa w najdrobniejszych rysach, a nawet sposobie potocznego wyrażania się każdej z osób odwzorowanych, iż każdą z nich na pierwsze wejrzenie poznać i palcem wskazać było można. Ztąd oburzenie przeciw książce i potępienie jej przez tych mianowicie, których w ten lub ów sposób dotknęła, przeciw którym była wymierzona. Krzyczano że to już nie satyra

godziwa, ale ohydny skandaliczny paszkwil, zasługujący na pogardę powszechną. I rzeczywiście były w *Parafianščyżynie* skandale, odsłonięte z całym cywilizmem dysektora, mającego do czynienia z gangreną społeczną, ale ta właśnie skandaliczna strona książki dodawała skuteczności zawartym w niej moralnym tendencjom. Obudziła ciekawość publiki, rozpowszechniła książkę. W pierwszej chwili *Parafianščyżyna* zrobiła ogromne wrażenie. Gdy jedni potępiali bez miary, drudzy wynosili pod niebiosa, ciesząc się iż znalazł się ktoś posiadający tyle odwagi cywilnej że się ośmielił zedrzyć maskę obłudy ze świata zgorszenia i nędzy moralnej, przywłaszczającego sobie ster opinji i najwyższe w hierarchji towarzyskiej stanowisko. Ganili jedni i oburzali się, wychwalali drudzy, ale wszyscy czytali. Tego właśnie chciał autor. Ale że w książce swej nie zajął się skreśleniem typów ogólniejszego znaczenia, lecz kalkował tylko z natury sceny i postacie, w około niego się przesuujące, wrażenie jak było wielkie na razie, tak też prędko i przeminęło. Gdy z czasem zmieniły się dekoracye i znikli z oczu i pamięci rzeczywiście aktorowie scen przezeń wiernie skopiowanych, małowidło stało się niezrozumiałem dla tych, którzy nie zaznali i nie zapamiętali tamtych osób i stosunków. *Parafianščyżyna* straciła swój urok pierwotny.

Na polu naukowem pracował Leszek Borkowski nad filozofią dziejów i literaturą starożytną. Czynił rozległe porównawcze studia nad rozwojem pojęć religijnych starożytnych, badał księgi Wedy, religię i literaturę staroindyjską, napisał znakomitą rzecz: *O najdawniejszych zabytkach cywilizacyi*, opartą na studiach Sanskrytu, przełożył Setki Bhartriharisa. Wiele artykułów i rozpraw treści estetycznej i krytycznej umieszczał po pismach czasowych społecznych, między któremi na szczególniejszą uwagę zasługuje rozprawa: *O powieściarstwie nowożytnem*. W roku 1848 obrany posłem na sejm wiedeński, wszedł na tor parlamentarny i zarzucił pióro niemal zupełnie. Ostatniem jego obszerniejszem dziełem był wydany wkrótce po rozwiązaniu rzeczonego sejmu, przeniesionego do Kromieryża, opis jego czynności i stronnictw z politycznym poglądem na pobudki i skutki ich działania. Do tego sprawozdania treści ściśle politycznej, wydanego pod tytułem *Sejm rakuski*, dodał tom drugi, w którym skreślił po Hogartowsku, z dawną dosadnością i siłą pęzła, wizerunki znakomitszych posłów i naczelników stronnictw. Później słyseć się dawał już tylko z mownicy parlamentarnej, lub na posiedzeniach Towarzystwa sztuk pięknych,

którego jest prezesem. Od życia i ruchu literackiego usunął się zupełnie.

Do grona literackiego, o którym mówimy, należał także Dominik Magnuszewski. Przybywszy do Galicyi zbliżył się do Bielowskiego i Borkowskich i związał z nimi przyjaźnią, opartą na pokrewieństwie usposobień i przekonań, na tożsamości kierunku i ducha prac literackich. Poznali się oni do razu na dzielności i oryginalności talentu Magnuszewskiego. Przyjaźń i ścisłe stosunki literackie z nimi były dlań pobudką a nieraz wskazówką pożyteczną. W długich pogadankach rozbiegali wspólnie kwestye literatury i estetyki, oceniali pomysły, rzucali poglądy rozjaśniające wiele zadań spornych, wiele dróg nowych. Magnuszewski osiadł na wsi na Pokuciu, w Załuczu nad Prutem. Przyjeżdżał tylko czasem do Lwowa, gdy w tece uzbierała się wiązka nowych utworów, dla podzielenia się niemi z lwowskimi przyjaciółmi, gdy umysł potrzebował odświeżyć się i zaczerpnąć powietrza w tamtej atmosferze. Każdy przyjazd Magnuszewskiego do Lwowa był biesiadą umysłową dla literackiego kółka jego przyjaciół. Czytał on im nowe swe utwory, opowiadał plany przyszłych. Wówczas Magnuszewski rósł w ich oczach w olbrzyma; szczupła, chłopięca prawie postać nabierała siły; blade i zapadłe oblicze wypełniało się, płomień świecił z oczu, niemogący się pomieścić w piersi, którą przepalał i trawił. Magnuszewski był poeta całą duszą, we wszystkim co napisał, można powiedzieć słowa Mickiewicza, część swojej duszy zostawił. Przepyszne to były rzeczy, te poezye, dramata i powieści, które jako upragniony gościniec przywoził swym przyjaciołom do Lwowa. Unosił się nad niemi Józef Borkowski i wielką przyszłość przepowiadał młodemu poecie, dzielając w tem zdanie Bielowskiego. A zaprawdę byli to znawcy, na których sędzie estetycznym można było polegać.

Magnuszewski wziął sobie za zadanie stworzyć u nas dramat historyczny. Wszystko to, co przedtem na tem polu było napisane, tragedye Węzyka, Barbara Felińskiego itd. różniło się zupełnie od pojęć Magnuszewskiego o estetycznem zadaniu i przymiotach dramatu historycznego. Napisał rozprawę *O dramacie* umieszczoną w *Tygodniku literackim* poznańskim, rozwijającą szczegółowo jego widzenie rzeczy w tym względzie, będącą niejako programem tego, co sam wykonać zamierzył. Zarzuca w niej słusznie poprzednikom swoim na tej drodze, że nie starali się czyli nie umieli oddać ducha czasu, pochwyć tła wieku i we właściwym przedstawić kolorycie, że wszyscy ich bohaterowie są jakby powtórzeniem jednego

i tego samego z papieru wedle konwencyonalnych prawideł wyciętego wzoru, że im braknie krwi i ducha, że przemawiają wszyscy jednym językiem, jednakowo czują i myślą, pomimo że żyli w odmiennych, o setki lat od siebie oddalonych epokach i okolicznościach. Jeżeli powyższe zasady, rozwinięte w rozprawie Magnuszewskiego, okazywały że w pojęciu dramatu stanął na stanowisku odpowiednem najnowszym wymaganiom estetyki i zdrowem okiem widział jakie ma przed sobą zadanie pisarz dramatyczny i do czego dążyć mu należy, toć z drugiej strony posiadał on potrzebny talent ażeby wykonać samemu to, na co w teorii tak trzeźwo i trafnie się zapatrywał. Jeszcze w Warszawie osnuł był plan dramatu *Radziejowscy*, do którego treść i materyały wskazał mu Kaz. Wład. Wójcicki. Chcąc być pisarzem historycznym, potrzeba było przede wszystkim poznać się dokładnie z historią, poznać ducha przeszłości z wszystkimi właściwościami, nadającami charakterystyczne piętno społeczeństwu rozmaitych epok. Pełen zapału rzucił się skwapliwie Magnuszewski, osiadłszy w Załęczu, do studyów historycznych, rozczytywał kroniki, studyował gorączkowo, pospiesznie, ubolewając że nie może całego morza wiedzy wypić jednym haustem, że nauki tak wiele a życia tak mało. Życie suchotnicze gorzało jak lampa, którą ogień duszy coraz bardziej przepalał. Spieszył się biedny poeta, czując jak rozległe przed nim pole, jaki zasób twórczości płonie w głębi duszy, a jak mało czasu pozostaje do pracy, do wykonania dawnych i coraz nowych nasuwających się planów.

Ukończywszy *Radziejowskich*, jał Magnuszewski pisać dramat historyczny z końca XIV wieku: *Władysław Biały, książę gniewkowskie*. Talent jego dramatyczny wzniósł się tutaj do wysokiej potęgi, a fragmenta odczytane przyjaciółom lwowskim wprawiły ich w uniesienie. Postać bohatera dramatu iście jak z żelaza wykuta. Tło historyczno - obyczajowe, obraz społeczeństwa w półpogańskimi jeszcze żyjącego tradycjami, przedstawia się tu w poetycznem opromienieniu. *Władysław Biały* pozostał jednak fragmentem. Albowiem inny pomysł zajął i pociągnął ku sobie fantazyę poety. Pomysł rozległy a oryginalny: przedstawienie w trylogii, złożonej z jednego dramatu i dwóch powieści, historycznego rozwoju życia kobiety w Polsce; odmiennego stanowiska, jakie w trzech różnych epokach dziejów, od pierwszego ich zarania aż po ostatnie czasy kolejno zajmowała, i jakie z biegiem społecznego rozwoju stanowisko to przechodziło przeobrażenia. Skutkiem tak zakreślonego planu powstało dzieło: *Niewiasta w trzech wiekach*, złożone z powieści

obyczajowej *Krwawy chrzest*, kreślącej postać Małgorzaty z Zembocina podczas kijowskiej wyprawy Bolesława Śmiałego, z dramatu *Barbara, jeszcze Gasztoldowa żona* i z opowieści z ostatnich lat rządów Stanisława Poniatowskiego: *Posiedzenie Bacciarelego*. — W pierwszym z tych utworów kreśli Magnuszewski na tle na w pół jeszcze barbarzyńskiego obyczaju, gdzie instynkta zmysłowe istnieją jeszcze niepołamane i przy sposobności wybuchają całą siłą pierwotnego rozpasania — postać kobiety, przejętej pięknem poczuciem obowiązku wierności małżeńskiej. W dramacie stanęła już niewiasta polska na wyższym o wiele poziomie cywilizacyjnym i społecznym. Zawsze to wierna poddanka swego męża i pana, ale pod technieniem przeobrażeń towarzyskich zbudziły się już w duszy jej rzewniejsze i tkliwsze uczucia, zachmurzające przelotnym obłokiem tło marzeń niewieścich i mącające słowo codziennej modlitwy. — W trzeciej opowieści widzimy już kobietę puszczającą się w odmęt politycznych działań, w których przewodnikiem są jej zawsze zacne polskie uczucia, przeciwstawione knowaniom zalotnicy i intrygantki francuskiej. Cokolwiekby powiedziała o tem dziele choćby najsurowsza krytyka, niepodobna odmówić mu artyzmu w pomyśle i przeprowadzeniu i wiele prawdziwej piękności. Toż samo powiedzieć trzeba o jego powieściach historycznych, z których najcelniejszą *Zemsta panny Urszuli*. Potrzeba było wiele przedsiębrać studyów historycznych, aby tak dobrze poznać ducha czasu, i posiadać wielką siłę artystycznej twórczości, aby obraz natchnąć takim wyrazem prawdy historycznej. Są to przymioty wszystkich w ogóle powieści i dramatów historycznych Magnuszewskiego. Grzeszą one posunięta czasem aż do dziwactwa oryginalnością stylu, wynikającą z chęci dosadnego wyrażenia myśli. Język Magnuszewskiego wyrobiony wprawdzie na wzorach pisarzy Zygmuntofskich, szuka sobie dróg nowych i przybiera niezwykle często na pierwszy rzut oka niezrozumiałe formy, usiłując wydać w całej pełni bogactwo myśli poety, i nałożyć właściwym kolorytem kreślone przezeń obrazy. Wedle charakteru czasów i ludzi, których maluje, język jego bywa chropawy i twardy, jak surma bojowa, a czasem rzewny jak ton niewieściej lutni, zwłaszcza w niektórych poezjach lirycznych. Prawda wszakże iż Magnuszewski łamiąc się z formami języka, aby go uczynić wyrazem najdrobniejszych odcieni myśli, aby technąć weń odpowiedni celowi hart rycerski, podniosłość bohaterską, archaizm epoki kreślonej, nie zawsze był szczęśliwym w wysłowieniu, popadając nieraz w przesadę, która odstręczała na pierwsze wejście czytelników, sądzących powierzchownie a nieumiejących dotrzeć po

za oryginalnością zewnętrzną szaty do głębi myśli autora, i pojąć zawartych w niej piękności. Te to dziwactwo wystąpienia dostarczało głównie przedmiotu do zarzutów krytyce, nieprzyjaznej Magnuszowskiemu; zarzucano i wysmiewano że Warszawa w jego opisie „wyciągnęła w górę wieżycę jak rękawicę“ itp. itp. Wszelako jest to właściwością twórczych talentów wyższego rzędu, znamię oryginalności napiętnowanych, iż nie trzymają się dróg utartych, powszednich, ale tworzą sobie nowe formy, niezrozumiałe, nawet rażące w pierwszej chwili niewzwyczajone do nich oko i ucho, z których jednakże z czasem wyłamie się ziarno przyszłości. Jest to właśnie cecha odróżniająca w każdym zawodzie mierność od jenjuszu. Umysł Magnuszewskiego był umysłem niezwyklej miary; nie można też dziwić się, że nie poszedł ubitemi drogami, że rwał się wyżej i dalej, i łamał z trudnościami polot tamującymi. Zwykła to w takich razach kolej rzeczy. Z czasem język jego byłby pozbył przesady, jak to już w późniejszych jego utworach, w porównaniu z poprzednimi widzieć się daje, a zachowując wyrazistość i różnobarwność kolorytu, doszedłby zapewne do prostoty, tworzącej prawdziwy wdzięk i wyraz stylu. Ale Magnuszewski umarł młodo, w r. 1845, w połowie swego zawodu autorskiego. Literatura poniosła wielką stratę z ubytkiem tak znacznego a oryginalnego talentu. W tece pośmiertnej zostawił oprócz *Radziejowskich* i *Władysława Białego* wiele rzeczy nieukończonych, planów i fragmentów. Bielowski miał się zająć na razie wydaniem zupełnego zbioru pism po nim pozostałych. Obarczony innemi zatrudnieniami zaniedbał rzecz tę, a tak po latach trzydziestu zapomiano o pisarzu głośniejszym w swoim czasie sławy, liczonemu do najznakomitszych pisarzy społecznych. Józef Dzierżkowski napisał jego nekrolog w formie powieściowej, pod tytułem: *Powieść o życiu poety*, umieszczony w *Czasopiśmie Zakładu im. Ossolińskich*.

Obok tego grona literackiego, którego duszą był Bielowski i Borkowscy, istniał drugi jeszcze obóz, gromadzący się około Stanisława Jaszowskiego. Autor wydanych przed laty *Zabawek rymotwórczych* i *Powieści historycznych* miał za sobą przeszło dziesięć lat pracy autorskiej, upoważniającej go niejako do przewodniczenia na tem polu. Niegdyś na razie powieści jego zjednały mu chwilowo pewien rozgłos, w czasach zupełnej posuchy w literaturze galicyjskiej. Ale że utwory te nie posiadały istotnej wartości wyższego talentu i były tylko błędem naśladowaniem innych, nie posiadając ani ducha, ani zalet swych wzorów, przeto wnet przestały być czytane i sława autorska Jaszowskiego zbladła i przebrzmiała za poja-

wieniem się piór młodszych, siłą i oryginalnością zapowiadających nową erę piśmiennictwa. Obecnie Jaszowski pracował przy *Gazecie Lwowskiej*, będąc głównym współpracownikiem *Gazety* i *Rozmaitości*, w których umieszczał pomniejszych swe powieści historyczne, i wiele innych podobnego rodzaju artykułów. Około niego gromadziły się tedy, jako około starszej powagi literackiej, pomniejsze talenta, pióra drugiego rzędu, lub wyzieraające dopiero na świat literacki niedorostki i pisklęta, którym jeszcze skrzydła nie porosły dostatecznie w pierze do lotu, a które pomimo tego latać już chciały, słowem ci wszyscy, którym brak położonych już zasług piśmienniczych, brak odzuaczającego się talentu lub zbyt młodość utrudniały wstęp do obozu pierwszego, gdy nie było punktu ściślejszej łączności pomiędzy nim a nimi. Obadwa obozy odgraniczały się dosyć wybitnie. Kółko Bielowskiego spoglądało na drugi ten obóz z lekceważeniem i przekąsem, uważając wszystkich gromadzących się w niem za mierności, z których literatura pożytku niema i mieć nie będzie. Jaszowski zaś z całym gronem swoich adherentów miał, rzecz naturalna, głęboką urazę za to lekceważenie, która coraz silniejszą niechęcią nurtowała w duszy. Była na dnie tej niechęci tajona zazdrość, usiłująca dorównać przeciwnikom, stanąć i utrzymać się na tym samym poziomie literackim, na którym tamci stali. Jaszowski wszakże z obozem swoim nie miał po temu sił dostatecznych, odpowiedniego talentu. Na wzór *Ziewonii* postanowił wydawać także pismo zbiorowe, złożone z utworów pisarzy w około niego się gromadzących, i wydał dwa tomy *Słowianina*, a później jako dalszy ciąg tegoż wydawnictwa *Dniestrzanke*. Zmiana tytułu nastąpiła podobno z przyczyny ostrej krytyki, jakiej doznał *Słowianin*, skutkiem czego Jaszowski ogłosił się za nowym tytułem, w obawie aby pozostawienie dawniejszego nie zaszkodziło wziętości wydawnictwa. Krytykę obu tomów *Słowianina* a później *Dniestrzanek* umieścił w pismach poznańskich Leszek Borkowski i obszedł się niemiłosiernie z obojgiem, zdrowej nitki nie pozostawiwszy na nich, i ani krzty talentu nie przyznając autorom, co się na ten snop literacki, czyli raczej na te trzy snopy złożyli. Ton krytyki był tak uszczypliwie szyderski, iż łatwo poznać można było z czyjego wyszła pióra, chociaż autor się nie podpisał. Rozdrażniło to i naprężyło jeszcze bardziej stosunek niechętny pomiędzy Jaszowskim a obozem przeciwnym.

Równocześnie zajmował się Jaszowski redakcją *Lwowianina*, czasopisma peryodycznego, wydawanego w kilkuarkuszowych zeszytach miesięcznych przez Ludwika Zielińskiego. Wydawca *Lwowa-*

nina był osobą w swoim czasie powszechnie znaną we Lwowie. Za młodu nie trudnił się literaturą, a zapewne ani pomyślał że przyjdzie czas, w którym przybierze fizygnomię literata i stanie się wydawcą i redaktorem pisma, usiłującego również przybrać wszystkie znamiona pisma naukowo-literackiego. Ubogim chłopcem Zieliński trudnił się handlem drobiazgowym. Później przyszła mu myśl że więcej korzyści przynieść może wydawanie i kolportowanie pisma literackiego. Uzyskanie koncesyi na wydawanie pisma tego rodzaju było rzeczą prawie niepodobną, a na wszelki wypadek niezmiernie trudną. Przerzucając się tedy na pole wydawnictwa literacko - peryodycznego wiedział że nie znajdzie żadnego współzawodnictwa, że będzie miał zupełny monopol, pozwalający mu piękne z tego źródła ciągnąć zyski. Przebiegły i śmiały musiał to być umysł, co nie posiadając odpowiednich zasobów wiedzy, odważył się rzucić w przedsiębiorstwo, do którego wykonania brakło mu na koniecznych jakby się zdawało środkach, i bez wahania, bez ceremonji sam się kreował jednym zamachem na literata i redaktora. Koncesyę uzyskał bez wielkich nawet trudności, wiadano albowiem że zamierzone wydawnictwo jest niczem innym, jak tylko spekulacją w celu materyalnego zysku podjętą, że Zieliński ani chce, ani może z jakiegokolwiek względu być niebezpiecznym, nie posiadając ku temu ani zdolności literackich, ani znaczenia w świecie literackim, do którego wstępu nawet nie miał.

Rozpocząwszy wydawać *Lwowianina* liczył Zieliński głównie na pokup u przyjeżdżających do Lwowa obywateli wiejskich. Tym celem kolportował skrzętnie po hotelach pismo przez siebie wydawane, nakładając dobrowolny niejako podatek, osobiście egzekwowany, na wszystkich ze wsi przyjeżdżających. Oburzało to wiele literatów lwowskich, wysoko ceniących godność literatury i stanowisko literata. Dodajmy do tego że i sam *Lwowianin* był lichem piśmidłem. W artykułach historycznych, układanych najczęściej z fantazyi bez wielkiego mozołu, powoływano się tam jakby na urągawisko z czytelnika, dla potwierdzenia przytaczanych wypadków lub rozumowań, najczęściej na akta watykańskie lub inne po świecie znajdujące się archiwa, do których nikt ani z czytelników, ani ze współpracowników *Lwowianina* wstępu nie miał. Wizerunki osób historycznych, podawane w dołączonych do pisma rycinach, bywały jedne do drugich jak dwie krople wody podobne, z różnicą mniej więcej wygolonej czupryny, mniej lub więcej zawieszistego wąsa. Redaktor widocznie drwił z czytelników i z literatury. Niepodobna było nie skareić czegoś podobnego. Bielowski umieścił

w *Tygodniku literackim* skandaliczną satyrę, odbitą następnie w osobnej broszurze: *Scena na murowanym mostku*, w której z pięknym sarkazmem wychłostał pismo, redaktora i kolportera. Zieliński czuł swą nieudolność do podtrzymania pisma, zwłaszcza że krzyki i szyderstwa rosły, co ubytkiem dochodu groziło; wezwał więc Jaszowskiego na współredaktora i jemu oddał naczelne kierownictwo *Lwowianina*. Jaszowski czynił co mógł, ale z Zielińskim nie łatwo było sobie dać rady, bo chociaż na zdaniu Jaszowskiego polegał, przecież głosu stanowczego w redakcyi odebrać sobie nie dał. Zresztą Jaszowski sam nie wielki historyk, nie mógł być już przez to samo doskonałym redaktorem pisma, które miało mieć przeważnie barwę niybo historyczną. *Lwowianin* zatem chromał zawsze pomimo że się nim zajmował Jaszowski. Później była chwila że zamierzał objąć redakcyę jego Szajnocha z kilku młodymi utalentowanymi pisarzami, i przeobrazić go w dobre pismo naukowo-literackie. Zamiar ten rozbił się podobnie o to, że Zieliński nie chciał wypuścić pisma z pod swojego wpływu. Z czasem nabral on takiej rutyny i pewności siebie, iż doskonale, z pewnem nawet gentlemeńskim zacięciem odgrywał rolę redaktora. Zamieszkiwał piękny pierwszopiętrowy apartament z balkonem na ulicy Halickiej, w którym było jego biuro redaktorskie, urządzone z elegancją i komfortem. Później wyniósł się na wieś, zwinąwszy *Lwowianina* wkrótce po śmierci Jaszowskiego.

W bliskich stosunkach literackich z Jaszowskim żył Dyonizy Zubrzycki, autor *Kroniki miasta Lwowa*, ułożonej na podstawie dokumentów oryginalnych i urzędowych materyałów, znajdujących się w archiwum miasta Lwowa, z których jednakże nie zawsze bez tendencyjnego korzystał uprzedzenia. Trudno wszakże dzisiaj krytyce sprawdzić dokładnie przytoczone przezeń szczegóły, albowiem wiele najważniejszych dokumentów oryginalnych, które bez kontroli miał pod ręką, nie znajduje się już w archiwum. Zginęły bez śladu i wieści. Dzisiejszy historyk lub krytyk, chcący z tego samego czerpać źródła, nie znajdzie już tej obfitości materyałów, zwłaszcza odnoszących się do pierwotnej historii kraju, z których korzystał Zubrzycki. *Kronika* też jego obok *Kroniki Zimorowicza* jest najlepszym dziełem, jakie posiadamy do historii miasta Lwowa. Była bardzo poszukiwaną i dziś jest rzadkością, nieznajdącą się w obiegu księgarskim. Chcąc jej dostać potrzeba szukać i przepłacać. Zubrzycki w ostatnich czasach pisał więcej po rosyjsku niż po polsku.

Pewnego razu byłem świadkiem pociesznej sceny w redakcyi *Gazety Lwowskiej*, dokąd przyszedłem odwiedzić ówczesnego jej re-

daktora Sartyniego. Gdyśmy rozmawiali nie pamiętam już o czem, odchylają się drzwi z wolna i nieśmiało wchodzi szczupły, wychudły staruszek w granatowym fraku o świecących metalowych guzikach. w wąziutkich a krótkich po kostki nankinowych pantalonach, z chustką u szyi w czerwone kraty, podwiązaną wielkim fontaziem na szyi. Miał on minę Czecha, jacy się wówczas po jałmużnie po Galicyi często włóczyli.

— Nie przeszkadzać, nie przeszkadzać, ofuknął Sartyni wchodzącego, który też zmięszany cofnął się do drzwi i z cicha wyszedł.

— Co to za figura być może? zapytał zwracając się ku mnie po odejściu nieznanego.

— To Zubrzycki — odrzekłem.

— Co? Zubrzycki! zawołał rumieniąc się powyżej uszu poczciwy Sartyni. Otożem się spisał! Coż teraz powiedzą o mnie literaci?

Ale literaci nie troszczyli się Zubrzyckim. Nie miał on żadnych z kołami literackimi stosunków. Potępiano go za nieprzyjazne krajowi tendencje jego dzieł i nie wdawano się z nim weale. Wkrótce potem umarł, pozostawiwszy kamienieć i piękny mająteczek.



IX.

Nowa organizacya Zakładu im. Ossolińskich — Adam Kłodziński — Gwalbert Pawlikowski — *Biblioteka Zakładu* — Posiedzenia doroczne w Zakładzie — Aleksander Batowski — Stanisław Przyłęcki — Jan Nep. Deszkiewicz — Główny kierunek badań naukowych — Historycy — Maurycy hr. Dzieduszycki — Aleksander i Kazimierz hr. Stadnicy — Karol Szajnacha — Wagilewicz.

Po siedmioletniem zamknięciu od czasów Słotwińskiego, został wreszcie napowrót otwarty zakład im. Ossolińskich. Ster jego objął powołany na dyrektora Adam Kłodziński. Był to człowiek dobrej woli, niemający wprawdzie wielkiej naukowej przeszłości za sobą, jakby można było po kierowniku pierwszego w kraju naukowego zakładu wymagać, ale obowiązki swe pojmował sumiennie, szczerze troszczył się o dobro zakładu i posiadał odpowiednie wykształcenie literackie. Pesymiści nawet, przeciwni powołaniu go na dyrektora zakładu, nie mogli mu przecież odmówić powyższych przymiotów. Zastępcą kuratora był Gwalbert Pawlikowski, ten sam, który po śmierci Ossolińskiego z polecenia Stanów galicyjskich zajmował się przewiezieniem biblioteki z Wiednia do Lwowa. Właściciel sławnej ogrodem Medyki, posiadał własną bibliotekę, obok Dzikowskiej i Sieniawskiej do pierwszych u nas księgozbiorów liczoną. Mąż wysoce wykształcony i znawca literatury, pisał *O rytownikach Polakach i cudzoziemcach u nas osiadłych*. Biblioteka jego od lat dwudziestu przewieziona do Lwowa posiada zbiór rycin tak znakomity, jakim żadna inna prywatna poszczycić się nie może. Korzystał z niego wiele Kielisiński do swego albumu.

Zadaniem zakładu im. Ossolińskich było stanąć na czele naukowego postępu, stać się jego ogniskiem i kierownikiem. Aby zadość uczynić temu celowi, wedle statutem zakładu określonych warunków, rozpoczął Kłodziński wydawać na nowo czasopismo *Bibliotekę zakładu*, do współpracownictwa wezwawszy wszystkie

poważniejsze w kraju pióra, wszystkich oddanych pracy naukowej. Szczupły to był zastęp tych pionierów nauki w Galicyi, pracujących głównie na polu bibliografii i historii. W znacznej części zapełniała się wychodząca tomami kwartalnymi *Biblioteka* materyałami historycznymi, drukowanymi z rękopisów zakładu. Ogłaszanie cennych źródeł rękopiśmiennych, znajdujących się w zbiorze zakładu, było wprawdzie wiele pożytecznym zadaniem, tem bardziej iż były to rzeczy, które w innej drodze nie znalazłyby może nigdy nakładcy, odpowiadało to pierwotnej myśli Ossolińskiego, celowi, dla którego głównie chciał, aby zakład wydawał czasopismo; wszelako tym sposobem stawało się ono za ciężkiem dla szerszego zwłaszcza koła czytających, a co najgorsza że za mało wiązało się z postępem nauki i ukowym chwili obecnej, z jej życiem i ruchem, przezco traciło na wziętości, coraz mniej zajmowało publiczność; słowem martwe było, pomimo iż miewało artykuły najznakomitszych pisarzy galicyjskich. Jakoż po kilku latach wydawnictwa postanowiono je zupełnie zreformować, dać mu inny charakter i kierunek wszechstronny, odmłodnić w nowym kształcie, i redakcyę oddano Wincentemu Polowi.

W myśl statutów zakładu odbywają się na dniu 12 października posiedzenia doroczne ku uczczeniu pamięci założyciela. Były to jedyne podówczas publiczne posiedzenia we Lwowie. Zajmowano się też niemi gorąco i wielka sala zakładu zapełniała się gromadnie za każdym razem. Co tylko miał Lwów wyższej intelligencyi, i osób wyższe towarzyskie zajmujących stanowisko, to wszystko gromadziło się tu w doborowym gronie. Wstęp miały także kobiety, co się do uświetnienia zgromadzeń tych wiele przyczyniało. Znakomitszych gości zapraszała dyrekcya zakładu osobnemi zaproszeniami. Bywali zazwyczaj na tych posiedzeniach arcybiskupowie wszystkich trzech obrządków, wszyscy dostojnicy miejscowi, literaci i artyści. Młodzież uniwersytecka przybywała licznie. Posiedzenia zagajał zastępca kuratora Gwalbert Pawlikowski przemową, w której dawał ogólny pogląd na czynności zakładu. Mowy te pięknym zawsze stylem bywały ułożone i ze szlachetną dystynkcyą wypowiedziane. Drugą część posiedzenia wypełniały odczytywane po sprawozdaniu kuratora rozprawy naukowe, przez uproszonych ku temu literatów, w ściślejszem związku z zakładem pozostających. Czytywał zazwyczaj na nich rozprawy bibliograficzne Aleksander Batowski; rzeczy historyczne, jak np. *Wspomnienie o Władysławie Warneńczyku*, lub także artykuły treści bibliograficznej Stanisław Przyłęcki; rozprawy estetyczno literackie Jan Szlachetowski doktor filozofii, kustosz a później zastępujący przez czas niejaki miejsce

dyrektora zakładu po Kłodzińskim. Na posiedzenia te przyjeżdżał też umyślnie Jan Nep. Deszkiewicz, bibliotekarz hr. Potockiego z Łańcuta, z rozprawami o języku polskim, któremi torował drogę pojęciom zawartym w wydanej przezeń później gramatyce, lub szermował z jej przeciwnikami.

Z tych to osób składało się głównie grono pracujących na polu naukowem, które się podówczas grupowało około zakładu im. Ossolińskich. Nie byli to ludzie wielkiego talentu, jenjalnego ducha, niezdolni stworzyć nowej ery naukowej, ale pracownicy sumienni, pojmujący swój zawód jako powołanie, skrzętnie znoszący cegły do przyszłej budowy.

Aleksander Batowski pochodził z zamożnej rodziny, posiadającej w pobliżu Lwowa piękny majątek Odnów, z Doroszowem i miasteczkiem Kulikowem. Za młodu pędził życie dosyć lekkie w sferach towarzystwa arystokratycznego. Później atoli oddał się zupełnie pracom poważnym naukowym, historycznym, zwłaszcza zaś bibliograficznym. W Odnowie posiadał piękną bibliotekę, liczącą około pięciu tysięcy tomów, po większej części dzieł rzadkich i cennych, tudzież znakomity zbiór rycin. Po sprzedaży Odnowa zamieszkał stale we Lwowie. Tutaj przeniósł bibliotekę, którą zniewolony stosunkami majątkowemi także sprzedać postanowił, tudzież zbiór rycin, pomieszczony gościnnie w zakładzie im. Ossolińskich. Uporządkowanie tego zbioru porucił Szcześnieemu Morawskiemu, znanemu później humoryście i autorowi dzieła *O Sądeczczyźnie*, który wszakże w onym czasie, kiedy to się działo, zajmował się więcej pędem niż piórem i na polu artystycznym szukał powodzenia.

Batowski rozpatrując rękopisy zakładu im. Ossolińskich, postanowił opisać niektóre z nich, wskazać ważniejsze, opatrzyć objaśnieniami i notatami historycznemi, wraz z bliższą o autorze każdego z opisanych rękopisów wiadomością. Pracy tej oddał się nadzwyczaj gorliwie i ogłaszał ją częściowo w *Bibliotece im. Ossolińskich* redagowanej przez Kłodzińskiego, a następnie wydał osobno pod tytułem: *Niektóre rękopisma księgozbioru zakładu nauk. im. Ossolińskich. Lwów 1843*. Pracując nad tem powziął myśl uporządkowania i ułożenia katalogu kartkowego wszystkich rękopisów zakładu im. Ossolińskich, z wypisem treści i potrzebnemi objaśnieniami. Do pracy tej, prowadzonej przezeń z wielką sumiennością i gorliwością w przeciągu lat kilku, przywiązywał wielką wagę. Powtarzał często że spisany przezeń katalog ma nie tylko wartość dla badaczy, chcących czynić poszukiwania w rękopismach zakładu im. Ossolińskich, będąc dla nich przewodnikiem i wskazówką do

łatwego zorientowania się w tem, co się w rzeczonych rękopismach znajduje, ale co jeszcze za rzecz ważniejszą uważał, pozostanie wieczystą kontrolą rzeczonego zbioru, tak iż gdyby kolejną jakichkolwiek wypadków lub zaniedbania miały poginać które z rękopisów zakładu, w jego katalogu pozostanie po nich ślad i dowód że się znajdowały w zakładzie i były jego własnością. Pracę tę zamierzał początkowo Batowski pozostawić w zakładzie, ale gdy później za zmianą dyrekcji, nastąpiły jakieś nieporozumienia między nim a zakładem, złożył rzeczony katalog w bibliotece Wiktora hr. Baworowskiego do przechowania w celu owej kontroli, która miała być dzieła tego przeznaczeniem. Drugi cel, przewodniczący Batowskiemu w dokonaniu tej pracy, aby mianowicie służyła za wskazówkę poszukiwaniom przedsiębranym w rękopisach zakładu, został udaremniony nowem ich uporządkowaniem przez Bielowskiego, skutkiem czego katalog Batowskiego, według dawnego porządku spisany, do orjentowania się dzisiaj już służyć jak przedtem nie może.

Wystawiwszy na sprzedaż swą bibliotekę, ogłosił drukiem *Katalog biblioteki Odnowskiej*, zawierający rzeczy ciekawe dla bibliografa. Prace swe historyczne i bibliograficzne umieszczał w różnych współczesnych pismach peryodycznych, jako to w *Dzienniku literackim*, w *Rozmaitościach*, w piśmie zbiorowem *Słowa*, wydanem w Petersburgu przez Józefata Ohryzkę. Niektóre wychodziły później w osobnem odbiciu. W tekach swych zgromadził wielki zasób materiałów historycznych, mianowicie do czasów panowania Zygmunta III. Ze zbiorów tych skorzystał Henryk Schmitt, pisząc swój *Rokosz Zebrzydowskiego*. Ostatniemi laty zajmował się Batowski głównie opracowaniem i przygotowaniem do druku *Aktów opactwa Tynieckiego*, które to dzieło już po jego śmierci nabył i uzupełniwszy wydał zakład im. Ossolińskich.

Batowski przez dłuższy czas żył w stosunkach ścisłej przyjaźni z młodym Wiktorem Baworowskim. Poznawszy w nim zamiłowanie książek i chęć utworzenia biblioteki, był mu w tym względzie doradcą jako bibliograf i wytrawny znawca literatury, i za jego to wskazówkami zgromadził Baworowski swój cenny, wiele istotnie szacownych rzeczy posiadający księgozbiór. Jemu to odstąpił Batowski większą część biblioteki odnowskiej, wszystko to, co się w niej celniejszego znajdowało, cały swój zbiór rycin i wreszcie jemu wszystkie pozostawił rękopisy prac własnych. Za jego to głównie namową i radą postanowił Baworowski przekazać swą bibliotekę na użytek publiczny, tworząc zakład podobny zakładowi im.

Ossolińskich. Były już nawet wypracowane statuta i plan całej organizacji zakładu. Wiele o tem w swoim czasie mówiono i pisano, wszelako od śmierci Batowskiego jakoś o tem ucichło.

Na parę lat przed śmiercią Batowski usunął się ze Lwowa i większą część roku, a mianowicie lato przepędzał na wsi w osamotnieniu. Pod dziedzicznym jego Doroszowem, który mu po znacznym niegdyś pozostał majątku, ciągnie się nieprzejrzone okiem pasmo zielonej łąki, na której widna z daleka z drogi murowanej kępa wyniosłych topoli, otaczających młyn nad rzeczułką, przewijającą się po łące. W tym to młynie, wyporządziwszy sobie dwie izdebki do pracy, spędził ostatnie lata życia uczony pustelnik, przenosząc nad wrzawę i widok świata szum wody spadającej kaskadą po łożyskach, i rozległy krajobraz z okienka piętrowej izdebki, w której z piórem i książką śmierć go znalazła. Na pogrzeb zjechali się ze Lwowa literaci i bliżsi znajomi. Zwłoki złożono na wiejskim cmentarzu w Doroszowie.

Stanisław Przyłęcki przybył w roku 1832 z Białej Rusi do Lwowa. Początkowo dłuższy czas pracował w zakładzie im. Ossolińskich, później gdy się zawiązało Towarzystwo gospodarskie we Lwowie, uzyskawszy posadę sekretarza Towarzystwa, zostawał na niej do roku 1862, w którym to czasie powołany na bibliotekarza do Willanowa, tam się przesiedlił. Przyłęcki żył w przyjaźni z Bielowskim, Borkowskim i Jaszowskim. Należał tedy do obu lwowskich obozów literackich; zachowywał się neutralnie. Zajmował się głównie bibliografią. Napisał: *Wiadomość o wtórem wydaniu Żywota Chrystusa przekładania Baltazara Opecia*. Lwów 1844. W *Dniestrzance* umieścił opisanie zamku w Podhorcach. Oprócz rozmaitych artykułów treści historycznej lub bibliograficznej własnego pióra, rozrzuconych po pismach czasowych lub osobno wydanych, wydał wiele rozmaitych dzieł i materyałów historycznych z rękopisów biblioteki zakładu im. Ossolińskich, Podhoreckiej a w ostatnich latach z Willanowskiej, jako to *Pamiętniki o Konięcpolskich*, *Sprawy Ukrainne* i t. p. Wydawnictwami temi, do których dołączał potrzebne objaśnienia, życiorysy i t. d. zasłużył się literaturze więcej niżeli dziełami własnego utworu. Jemu poruczył Józef Borkowski wydanie *Wojny Chocimskiej*, za której autora poczytano na razie Lipskiego, skutkiem mylnych wniosków wyciągniętych z kilku wzmianek w poemacie się znajdujących. Dopiero później Szajnocha doszedł i dowiódł iż autorem poematu jest Wacław Potocki. O istnieniu rękopisu dowiedział się był przypadkowo Józef Borkowski i posyłał po niego umyślnie o mil kilkadziesiąt swego sekretarza,

Ksawerego Jaworskiego, który rękopis w płaszczu zaszyty do Lwowa przywiózł. Nie pozostało już Borkowskiemu czasu do wydania rękopisu, oddał go zatem będąc już na łożu śmiertelnem Przyłęckiemu, który z polecenia sumiennie się wywiązał.

Przyłęcki pracował ciągle nad dziełem: *Bibliografię polską*, które z wielką szkodą literatury bibliograficznej pozostało w rękopisie, drukiem nieogłoszone. Rękopis rzezonego dzieła, dobrze mi znany, gdyż nieraz pozwalał mi uprzejmie czynić w nim poszukiwania, składał się z dziesięciu grubych foljantów. Przyłęcki nieustannie go uzupełniał i rozszerzał. Zwiedził w tym celu osobiście i przestudyował biblioteki galicyjskie, Dzikowską, Sieniawską, Medycką. Biblioteka akademii Jagiellońskiej równie jak zakład im. Ossolińskich dostarczyły mu wiele szacownego materiału. Posiadał bardzo szczegółowe materiały o bibliotekach dawniejszych: Porzyckiej, Załuskich, Towarzystwa przyjaciół nauk i innych. Wszelako na dzieło takiego rozmiaru i treści nie było nakładcy. Rękopis został zakupiony do biblioteki cesarskiej w Petersburgu. Duplikat kartkowy, porządkiem alfabetycznym do druku odpisany, nad którego uzupełnieniem Przyłęcki do końca życia pracował, znajduje się w Zakładzie im. Ossolińskich, w szesnastu tekach, nabyty po jego śmierci z wielu innymi rękopisami. Jestto jedno z najszacowniejszych do bibliografii naszej źródeł.

Deszkiewicz, także z Litwy rodem, był bibliotekarzem u hr. Potockiego w Łańcucie. Zaczyna dusza — przyjacielski, serdeczny, tęsknił wiecznie do stron rodzinnych, lubił wspominać litewskie bory i sam się zawsze *litewskim niedźwiedziem* nazywał. Lubił życie towarzyskie w gronie przyjaciół i muzykę. Jeżeli nie pisał gramatyki, to grał na gitarze, która była najmilszą chwil jego samotnych rozrywką. Dawniej pisywał rzeczy rozmaite, poezye, nawet dramata historyczne, ale wszystko to pozostało nieznanie światu. Dopiero gdy w skutek ogłoszonego na napisanie gramatyki polskiej konkursu, postanowił jąć się tej pracy i stanąć w szranki spółzawodnicze, wystąpił na widownię publiczną najprzód z rozprawami o języku polskim, o dziejach jego rozwoju i gramatykach, które to rzeczy odczytywał na posiedzeniach publicznych Zakładu im. Ossolińskich i ogłaszał w *Bibliotece* zakładu redagowanej przez Kłodzińskiego. Wydał także osobno we Lwowie: *Rozprawy o języku polskim i jego gramatykach*. Lwów 1843. Deszkiewicz czuł całą piękność klasycznego języka pisarzy Zygmuntofskich, unosił się nad jego wspaniałą powagą i jędrnością a przytem mowę ludu uważał za źródło, w którym duch języka zwierciadli się i zachowuje

w całej swej czystości, nieskażonej obcemi naleciałościami i formami, któremi cywilizacya zapożyczana zamąca przyrodzoną piękność ojezycznej mowy, i naturalny jej rozwój tamuje i przekręca. Te to więc dwa pierwiastki, stary język epoki Zygmuntońskiej i mowę ludu uważał Deszkiewicz za kamień węgielny, na którym oprzeć i snuć dalsze kształcenie języka naszego należy. Zasady tej bronił energicznie we wszystkich swych pismach, i nie można zaprzeczyć że miał słusność po sobie.

W roku 1846 wyszła jego *Gramatyka języka polskiego*, i poruszyła wiele przeciwnych sobie głosów. Najzacieśniej wystąpił przeciw Deszkiewiczowi Stanisław Pilat, inni recenzenci mniej więcej żarliwie gramatykę jego potępiali. Bronił się wytrwale przeciw wszystkim tym zarzutom Deszkiewicz i odpowiadał na nie szeregiem artykułów, które później w osobnej wydał książce pod tytułem: *Zbiór odpowiedzi recenzentom Gramatyki języka polskiego w Rzeszowie 1846 wydanej, oraz zebranie różnych wypracowań tegoż języka dotyczących się. Lwów 1853.*

Cheąc waleczyć piśmem i słowem, gdziekolwiek można było, w obronie swoich przekonań, stanowiących podstawę układu jego gramatyki i wyjednać im uznanie, miał w Krakowie w akademii Jagiellońskiej szereg odczytów w tym przedmiocie, które najprzód były umieszczone w *Rocznikach Towarzystwa naukowego krakowskiego*, a następnie wyszły także w osobnem odbiciu pod tytułem: *Trzść odczytów we wszechuczelnii Jagiellońskiej krakowskiej w styczniu 1849, objaśniających układ gramatyki polskiej i rozwiązujących największe trudności gramatyczne. Kraków 1850.*

Bolało Deszkiewicza to niepowodzenie, ten brak uznania, jakiego się spodziewał a nie doznał. Gorzka to była walka, którą przez lat dwadzieścia toczył z przeciwnikami. Znużyła wreszcie i zatrąła chwile późnej starości. Umarł znękany moralnie i fizycznie, usunawszy się już dawniej od niewdzięcznej dlań pracy literackiej.

Naukowość w Galicyi rozwijała się przeważnie, możnaby nawet powiedzieć wyłącznie na polu badań historycznych. Kierunek ten znamionuje wybitnie przez długi przeciąg czasu literaturę galicyjską. Belletrystyka, powieściarstwo i historia — oto dwa główne składniki jej rozwoju, dwa profile jej oblicza. Ktokolwiek w Galicyi onego czasu obierał sobie zawód naukowy, imał się historii i na tem polu pracował. Naukę historii poczytywano za najważniejszą. Przyczynił się do tego znacznie Bielowski, który obrawszy sobie historję za główny cel pracy naukowej, piórem i przykładem podnosił jej znaczenie, wykazywał ważność i potrzebę. W tym więc

kierunku rozwijały się wyobrażenia młodszego pokolenia. Za śladem i na wzór Bielowskiego zwracano się ku nauce historii mianowicie ojczyściej, do śledzenia źródeł i materyałów historycznych. Bielowski zachęcał w tym duchu młodzież. Udzielał rad i wskazówek. Szajnocha i Wagilewicz z bliskiej z nim styczności wynieśli w młodzieńczym wieku zamiłowanie historii i postanowienie oddania się jej wyłącznie. Wyszli oni można powiedzieć ze szkoły Bielowskiego, chociaż każdy z nich potem samodzielnie swoją poszedł drogą. Bielowskiego słusznie uważać można za głównego i najskuteczniejszego krzewiciela nauk historycznych w Galicyi.

W tym samym duchu i kierunku, jak już powyżej wspominałem, rozwijał swe czynności od pierwszej chwili istnienia zakład im. Ossolińskich, trzymając się w tem ściśle myśli założyciela. Ossoliński sam gorąco zamiłowany w historii, chciał aby utworzony przezeń zakład był głównie ogniskiem pracy naukowej na tem polu. W tym celu go założył, ta myśl głównie mu przewodniczyła w organizacyi zakładu, w gromadzeniu biblioteki. Składa się ona przeważnie z rzeczy odnoszących się do historii, z materyałów i dzieł historycznych, i w tym też kierunku uzupełnia się nieprzerwanie. Kierunek ten uwydatnił się i ożywił jeszcze bardziej gdy dyrekeyę zakładu objął Bielowski a kuratorem zastępcą mianowany został Maurycy hr. Dzieduszycki, obadwa oddani wyłącznie badawczym pracom historycznym, i obadwa znakomici, choć w różnym duchu i kierunku, pisarze historyczni. Rzecz naturalna że ster zakładu prowadzili nie w innym, tylko tym samym kierunku, zgodnym z jego przeszłością i myślą założyciela. Prąd tedy badań naukowych na polu dziejowem znajdował zawsze silną w zakładzie im. Ossolińskich pobudkę. W tem źródle czerpał i stąd się rozlewał. Nie dziw zatem że w dziedzinie literatury poważnej w Galicyi historia głównie, a można powiedzieć, przez długi nawet czas wyłącznie niemal się krzewiła.

Maurycy hr. Dzieduszycki wychował się w konwikcie OO. Jezuitów w Tarnopolu, gdzie skończył gimnazjum i filozofię. Tam to nabrał owych przekonań religijnych, owego ducha katolickiego, znamionującego wszystkie jego dzieła. Ztamtąd też datuje się podobno jeszcze jego znajomość z Wincentym Polem, z którym w ścisłej zawsze zostawał przyjaźni. Pokrewieństwo wyobrażeń i przekonań religijnych było przyjaźni tej podstawą i spójnią. Dzieduszycki ukończywszy filozofię w Tarnopolu, słuchał prawa na uniwersytecie lwowskim, poczem wstąpił do służby administracyjnej rządowej. Obok zajęć urzędowych gorliwie i nieprzerwanie zaj-

mował się pracami naukowymi, zamiłowany w nich szczerze i gorąco. Studyował źródła historyczne po bibliotekach i archiwach, rozczytywał się w kronikach i rękopisach, zbierał materiały, pozostawał w stosunkach ze znakomitszymi literatami społecznymi, starając się być zawsze w toku życia literackiego. Pierwszą jego pracą historyczną był umieszczony w *Bibliotece Zakładu im. Ossolińskich*, później osobno wydany w dwóch tomach *Krótki rys dziejów i spraw Lisowczyków*. Monografia ta zapowiadała pisarza, podejmującego bardzo szczegółowe studia historyczne. W sześć lat później wydał na wielki rozmiar nakreślone dzieło: *Skarga i jego wiek*, pod przybranym od miejsca swego urodzenia pseudonymem Rychcickiego. Jest to wspaniały obraz przedstawiający szerokimi pociągami historycznego pęzła ducha czasów Zygmunto-wskich, z ich tendencjami, wyobrażeniami, obyczajami, na którem to tle występuje wydatna postać wielkiego kapłana, męża wysokiego rozumu i wysokich cnót chrześcijańskich. W dziele tem rozwinął autor wielką erudycję i przejęcie się przedmiotem, z gruntowną znajomością rzeczy. W tym samym duchu i sposobie napisane wyszło w parę lat później drugie jego wielkie dzieło w dwóch tomach *Zbigniew Oleśnicki*, a potem monografia równie szerokiego zakresu *Wacław Hieronim Sierakowski*, drukowana pierwotnie w naukowym *Dodatku do Gazety Lwowskiej*. Wszystkie pomienione dzieła noszą na sobie też same cechy pisarskie. Znać w nich rozległe studia materiałów źródłowych, znakomite pióro historyka z poglądem na dzieje ze stanowiska katolickiego. Oprócz dzieł pomienionych napisał Dzieduszycki wiele innych rzeczy, większych i mniejszych, ogłaszanych bądź w różnych pismach czasowych, bądź osobno, zawsze przeważnie treści historycznej. Świadczy to o wielkiej pracowitości, z jaką po za obrębem zajęć biurowych oddawał się badaniom naukowym, które postawiły go w pierwszym rzędzie pisarzy społecznych i zjednały mu krzesło akademickie. Kiedy w roku 1851 namiestnik Galicyi Agenor hr. Gołuchowski, z powodu niedopełnionych niektórych formalności w ustanowieniu ordynacyi przeworskiej, połączonej z kuratoryą zakładu im. Ossolińskich, usunął prawowitego kuratora księcia Lubomirskiego, a zakład w administracyę rządową objął, zamianował Maurycego Dzieduszyckiego zastępcą kuratora, i jemu ster zakładu powierzył, jako jedynemu z urzędników, posiadającemu imię w polskim świecie naukowym, aby tym sposobem przejednać w połowie przynajmniej opinię publiczną, przeciwną zaprowadzeniu administracyi rządowej w zakładzie. Dzieduszycki zastępował przez lat kilkanaście miejsce

kuratora bardzo sumiennie i z należytem znanstwem. Prawdziwem to można nazwać szczęściem dla zakładu im. Ossolińskich, że w tem trudnem położeniu zastępstwo kuratora nie w czyje inne dostało się ręce, w ręce pozbawione tej sumiennosci i znajomości rzeczy naukowej, jaką posiadał Dzieduszycki. Najzarliwsi przeciwnicy nie mogli mu tego odmówić. Zajął się szczerze sprawami zakładu, uporządkowaniem jego finansów, pomnażaniem biblioteki i zbiorów, i podniesieniem naukowego znaczenia zakładu, przez utrzymywanie rozległych stosunków ze światem naukowym w kraju i za granicą. Starania te odniosły należyty skutek i zjednały Dzieduszyckiemu takie uznanie ze strony samegoż kuratora rzeczywistego, księcia Jerzego Lubomirskiego, że gdy skutkiem starań sejmu galicyjskiego rząd chciał mu napowrót oddać tymczasowo w drodze administracyjnej kuratoryę zakładu, tenże wniósł do rządu o pozostawienie Dzieduszyckiego u steru tegoż, aż do ostatecznego sądowego załatwienia sprawy ordynacyi przeworskiej, oświadczając że nie można lepiej czuwać nad dobrem zakładu. Był to najpiękniejszy hołd oddany zasługom i prawości charakteru Maurycego Dzieduszyckiego.

Równie znakomite miejsce w rządzie naszych uczonych historyków zajęli Aleksander i Kazimierz bracia Stadnicey. Zamiłowanie nauk i literatury powzięli wczesnie od ojca, który się oddawał pracom naukowym, był członkiem Towarzystwa naukowego krakowskiego i napisał kilka dzieł treści historycznej. Obadwa synowie kończyli nauki uniwersyteckie w Wiedniu, poczem wstąpili do służby rządowej. Starszy Aleksander wystąpił z urzędu już w roku 1841 i oddał się wyłącznie odtąd pracom na polu nauk historycznych i prawniczych, studyował źródła archiwalne i na podstawie tychże napisał kilka ważnych dzieł i rozpraw, jako to: *O wsiach tak zwanych wołoskich na północnym stoku Karpat*, *O kniastwach we wsiach wołoskich z poglądem na wójtowstwa we wsiach na prawie Magybeurskiem osadzonych*, *Wykład popularny statutów wiślickich* i wiele innych umieszczonych różnemi czasy w pismach krakowskich i lwowskich, mianowicie w *Dodatku tygodniowym do Gazety Lwowskiej* i w *Kółku rodzinnem*. Wypracował kilka ważnych projektów w kwestyi reformy stosunków włościańskich i hypotecznych w Galicyi, do czego posłużyła mu praktyczna podczas urzędowania nabyta znajomość politycznych i administracyjnych stosunków galicyjskich. Ogłaszał krytycznie opracowane *Materyały do historyi miast galicyjskich*, z oryginalnych przywilejów i dyplomatów w różnych archiwach miejskich odszukanych. Ważniejszą z prac jego, na większy rozmiar podjętych, jest umieszczony naprzód w *Bi-*

blioteczce Warszawskiej, później osobno wydany *Przegląd krytyczny rozporządzeń tak zwanego statutu wislickiego, podług przedmiotów z uwzględnieniem poprawnej wersji A. Z. Helcla*, tudzież ostatnie jego w rękopisie pozostałe dzieło *Materyały do historii społecznej Rusi w wieku XIV*. W tece pośmiertnej pozostawił zbiór materyałów do *Dyplomatarjusza Rusi Czerwonej*. Testamentem na lat parę przed śmiercią napisanym, przekazał cały swój majątek na fundusz wydawnictwa aktów grodzkich i ziemskich z lwowskiego archiwum tak zwanego bernardyńskiego, lub gdyby wydawnictwo rzeczzone w pewnym oznaczonym przezeń od śmierci jego przeciągu czasu nie zostało rozpoczętem, fundusz ten miał być obrócony na wybudowanie drugiej niedokończonej dotąd wieży archikatedralnego kościoła we Lwowie. Dochód zaś od rozporządzonego w ten sposób majątku legował dożywociem rodzinie, po której zejściu dopiero testamentem ustanowiona fundacya miała przyjsć do skutku. Tym sposobem testament zawierał w sobie kollizyę warunków, zagrażającą urzeczywistnieniu fundacyi wydawniczej. Gdy bowiem testament określił stanowczo termin rozpoczęcia wydawnictwa, pod warunkiem unieważnienia legatu, jeżeli wydawnictwo w tym terminie nie zostanie rozpoczęte, a zarazem oddawał dochody na rzecz dożywocia, które mogło się ciągnąć dłużej nad określony testamentem termin rozpoczęcia wydawnictwa. Aby wyjść z tego dylematu i uratować fundacyę rozpoczęciem wydawnictwa w terminie naznaczonym wolą testatora, wyznaczył sejm galicyjski na ten cel zaliczkę z funduszków krajowych i polecił Wydziałowi krajowemu rozpocząć wydawnictwo, aby tym sposobem stało się zadosyć literze testamentu. Weszło tedy w życie ważne to wydawnictwo, prowadzone pod kierunkiem komisji wyznaczonej ku temu z ramienia Wydziału krajowego, pod bezpośrednią zaś redakcyą pierwotnie Tatomira, mianowicie tom pierwszy, następne zaś tomy pod redakcyą sprowadzonego umyślnie w tym celu z Poznania, dzisiejszego profesora historii na uniwersytecie lwowskim, Liskego. Dzięki tedy legatowi Stadnickiego i zapobiegliwości sejmu, wzbogaciła się już literatura historyczna kilku tomami ważnego dyplomatarjusza, po większej części z oryginałów drukowanego. Odstąpiono bowiem na wniosek prof. Liskego od pierwotnej myśli testatora aby w dyplomatarjuszu tym ogłaszać jedynie dokumenta oblatowane w aktach grodzkich i ziemskich archiwum bernardyńskiego, postanowiwszy drukować dyplomata z rozmaitych archiwów kapitulnych i miejskich brane. Zmieniony wprawdzie tym sposobem został poniekąd pierwotny

kierunek fundacyi, ale nie zmniejszyło to wartości wydawnictwa, przeciwnie rozszerzyło jego ramy.

Młodszy brat Aleksandra, Kazimierz hr. Stadnicki, oddaje się wyłącznie badaniom historycznym. W roku 1854 przy nowej organizacji władz urzędowych w Galicyi został mianowany wraz z Maurycym Dzieduszyckim radcą namiestnictwa lwowskiego. Wystąpiwszy z urzędu żyje obecnie zajęty jedynie pracami naukowemi, które mu wysokie stanowisko w świecie naukowym, tudzież krzesło akademickie także zjednały. Pierwsze swe dzieło wydał w roku 1842 pod tytułem *Piasty, rys historyczny*, w której to pracy, jako początkowej, nie ma jeszcze tego bogactwa erudycyi źródłowej, ani tego krytycznego gruntu, stanowiącego wartość naukową dzieł jego późniejszych. Zajął się następnie głównie dziejami Litwy i Rusi, i owocem tych to bardzo rozległych a szczegółowych, z wielkim mozołem prowadzonych, porównawczo-krytycznych źródłowych badań są jego dzieła historyczne, odnoszące się do dziejów wielkksiążęcego rodu Gedyminowego, z których pierwsze: *Synowie Gedymina* wyszło jeszcze w roku 1849. Stadnicki pracuje nieprzerwanie nad tym przedmiotem, opracował dzieje Olgierdowiców, i uzupełnił dawniejsze swe nad niemi studia w miarę nowo przybywających materiałów, celem nowego w *Rocznikach akademii umiejętności* wydania.

Stadniccy zajęci swemi pracami naukowemi, trzymali się zawsze w odosobnieniu od szerszego literackiego koła lwowskiego i na ożywienie ruchu literackiego żadnego nie wywierali wpływu.

Mało który z autorów, zwłaszcza pracujących na polu naukowem, doszedł za życia do takiej wziętości powszechnej, do takiej sławy i znaczenia jak Karol Szajnocha. Innych dzieła czytano, studyowano i ceniono w ściślejszych kołach lub kółkach uczonych; Szajnochę czytali wszyscy, lubowali się w jego dziełach i rozehwytywali je skwapliwie. Żadne dzieło w Galicyi nie miało takiego popuku jak jego *Jadwiga i Jagiełło*, żadne wydawnictwo nie przyniosło nakładcom lwowskim takich korzyści jak nakład dzieł Szajnochy. Jak w literaturze naszej powieściowej swego czasu J. I. Kraszewski urokiem swojskiej powieści ogarnął i do czytania pobudził wszystkie sfery publiczności, zyskując literaturze coraz szersze koła czytelników, podobnie Szajnocha, urokiem opowieści historycznej na ściśle naukowym gruncie opartej, budził zamiłowanie historii w szerokich kołach czytelnicych, i zyskiwał dla niej adeptów, ożywionych coraz bardziej przekonaniem o potrzebie i znaczeniu tej nauki. W dziełach jego czerpano nietylko znajomość dziejów, ale zarazem coraz większe naukowej wiedzy pragnienie.

Przeszłość umiejętnie odtworzona w obrazach tak wyrazistych i tak żywym zawsze nałożonych kolorytem, przemawiała szczegółniejszym urokiem do tych nawet czytelników, którzy nie byli w stanie pojąć naukowej prae tych wartości. Ztąd też dzieła Szajnochy mają podwójne znaczenie, którem oceniać należy stanowisko jego w naszej literaturze.

Okoliczności, niezawisłe od niego, nie dozwoliły mu kończyć szkół rozpoczętych. To było przyczyną że zmuszony poprzestać sam na sobie w dalszem kształceniu się, poszedł innym od szkolnego kierunkiem. W przymusowem osamotnieniu wyuczył się sam języka angielskiego i francuskiego, tudzież ćwiczył w łacinie. której początki ze szkół wyniósł, a której dokładna znajomość tak mu była w jego studiach historycznych później potrzebną. Znajomość z Bielowskim skłoniła go do poświęcenia się nauce historii. Bielowski starszy od niego o lat dwanaście był mu początkowo przewodnikiem na tej drodze. On pierwszy dojrzał w młodzieńcu talent pisarski i umocnił w postanowieniu obrania stale zawodu literackiego. Od lat młodzieńczych łączyła Szajnochę ścisła przyjaźń z Bielowskim. Z jego porady zaczął rozczytywać się w kronikach i pisarzach Zygmuntofskich, jego krytyce poddawał pierwsze płody swego pióra.

Pierwszy wierszyk, którym wstąpił na arenę autorską, drukowany był w redagowanym przez Bielowskiego *Dzienniku mój paryskich*. Wierszyk romantyczny i wdzięczny, przeszedł przed wydrukowaniem cenzurę Józefa Borkowskiego, któremu się bardzo podobał, tylko za wspólną naradą strofę ostatnią trochę zmieniono i dano tytuł *Milczenie*, którego pierwotnie nie miał. Pozwolę go sobie tutaj przytoczyć jako pamiątkę pierwszego wystąpienia Szajnochy w szrankach literackich:

Nie śmiem przybliżyć kroku...
Z daleka od ciebie stoję;
Choćbym dał życie za spojrzenie twoje,
Nie śmiem go szukać w twem oku.

Nie dla mnie oczu promienie,
Nie dla mnie wdzięków twych czary...
Od innych tobie przyjmować ofiary —
Dla cię odemnie... milczenie.

A przecie wiele... o! wiele
Wyniosłem darów od ciebie:
Anielską rozkosz w uczuć moich niebie,
I w błogich myślach wesele!

Choć wiecznie z dala być muszę
 Ty mi zostań jednakową...
 Jak Bóg — co na me modły nie odpowie mową;
 Lecz rozpromienia mą duszę!

Wiersz ten składał się z trzech części, z których każda miała po kilka strof, ale areopag redaktorski nie uznał za stosowne wydrukować dalszych części, nie wiem dla czego. Zapamiętałem z niewydrukowanych dwie strofy następne:

Ach! Cóżem winien, że we mnie,
 Choć tam noc wieczna bez końca...
 Promyzelek zatlił się słońca...
 Rozjaśnił duszy mej ciemnie!

Lecz i Ty, cożeś jest winna
 Że cię los wyniósł tam wyżej,
 Gdzie im się słońce zda bliżej...
 Tem dalej ziemia rodzinna!...

Szajnocha pisał dużo, ale z początkowych tych utworów mało stosunkowo drukował. Pisał sam dla siebie, jakby dla wypróbowania pióra, nabrania sił. Przekładał pieśni serbskie, pisał powieści, a że utrzymywał się z dawania lekyi historyi, więc opracowywał do podręcznego swego użytku całe ustępy dziejowe z różnych epok i to były pierwsze jego, nigdy nieogłoszone próby talentu dziępisarskiego. Następnie rzucił się był na pole dramatyczne i napisał kilka dramatów, z których tylko jeden, *Stasio*, był przedstawionym na scenie. Jest to studjum psychologiczne, osnowane na treści zapożyczonej z jakiejś powieści francuskiej. Późniejsze dramata *Zonia*, *Panicz i dziewczyna*, do którego to ostatniego śliczny epilog napisał Kornel Ujejski, miały tendencję społeczną. Nie były one nigdzie drukowane, ani przedstawiane, i tylko epilog Ujejskiego pozostał pamiątką ich bytu, gdyż Szajnocha zniszczył je sam później. Studya historyczne, którym się z coraz większym oddawał zapałem, pociągnęły go do dramatu historycznego. Napisał wierszem *Jerzego Lubomirskiego*, *Marynę Mniszchównę*, i zaczął kilka innych. Wyobraźni autorskiej nasuwał się na każdym kroku bogaty materiał historyczny. Wszelako nie było to właściwe talentu Szajnochy pole. W dramatach jego historycznych niema ani ciepła i ani gry życia, tworzącej dramat. Nie mogą się one równać z jego dziełami ściśle naukowemi.

Rozprawy historyczne Szajnochy w *Czasopiśmie naukowem zakł. im. Ossolińskich* zwróciły nań uwagę świata naukowego. Znamionowały one pisarza uzbrojonego już wielkim zasobem erudycyi, ezerpanej w materyale źródłowym. Poglądy jego okazywały bystrość wzroku badawczego, trzeźwą logikę w wysnuwaniu wniosków historycznych, dzielne pióro. Wszystkie te zalety miały się wkrótce w wyższym jeszcze stopniu objawić w dziełach szerszego rozmiaru. Szajnocha powziął zamiar opracować ustępami całą historję polską w szeregu monografii, których wedle pierwotnego planu miało być podobno dwanaście. Skutkiem tego postanowienia napisał *Bolesława Chrobrego*, monografię przedstawiającą po raz pierwszy czytelnikom polskim Mieczysławowskie i Bolesławowskie czasy w tak zajmującym a wiernym obrazie, którego wszystkie rysy dokładnie, częstokroć nawet dosłownie z kronikarskich źródeł powtórzywszy, dzieło swe na ściśle naukowym i krytycznym oparł gruncie. W podobny sposób opracował w następnej monografii czasy Łokietkowe, ale gdy przystąpił do studyowania dziejów Kazimierza W. i Jagiełła, bogactwo źródeł okazało się tak wielkie, widnokrąg dziejowy tak się rozszerzył i skomplikował, że niepodobna już było ująć następującego się materyału historycznego w monografii zakrojem i rozmiarem do poprzednich podobnej. Szajnocha chciał aby dzieło było gruntowne, wyczerpujące — aby dało wszechstronny obraz epoki, przedstawiło jej fizyonomję w pełnem, charakterystycznym świetle. Treść przedmiotu pociągała do coraz rozleglejszych badań. Studya przedsięwzięte zajęły lat wiele. Owocem tej pracy było czterotomowe dzieło *Jadwiga i Jagielło*, które sławę autorską Szajnochy od razu podniosło do zenitu i stale utrzymało w świecie naukowym i czytelniczym. Następnie mając już znacznie wzrok nadwątłony postanowił w podobny sposób opracować dzieje Sobieskiego. Całość miała się zawrzeć w ośmiu częściach, z których tylko pierwszą napisał pod tytułem: *Mściciel*. Punktem wyjścia tej pracy historycznej była klęska Cecorska, której mścicielem był bohaterski pogromca Turków, król Jan III. Studya do tego dzieła rozpoczął Szajnocha na tak rozległą skalę, iż postanowił nawet przedsięwziąć podróż do Wiednia, dla obejrzenia pola sławnej bitwy. Ślepotą przeszkodziła wykonaniu zamiaru i przerwała pisanie dalszych części. Pod względem piękności stylu i artyzmu formy *Mściciel* uważany jest za najcenniejsze z dzieł Szajnochy. Pisał on go prawdziwie natchnionem piórem. Nigdzie indziej nie spotykamy takiej siły obrazowania, opowieści tak porywającej, jak w *Mścicielu*. Wielki zasób materyałów w zakładzie im. Ossolińskich odnoszących się do historii naszej

XVII wieku, nastęczył Szajnosze myśl napisania dwutomowego dzieła: *Dwa lata dziejów naszych*. Przedstawił tu przełom kierunku dziejowego i politycznego ze śmiercią Władysława IV a początkiem panowania Jana Kazimierza, ale ostatnich rozdziałów choroba dokończyć mu już nie dozwoliła. Oprócz powyżej wymienionych dzieł większego rozmiaru, wydał Szajnocha cztery tomy *Szkiców historycznych*, pod którą to skromną nazwą, w odgraniczonych ramach skreślił uczenie i z wielkim artyzmem szereg historycznych wizerunków i rozpraw, objaśniających wiele szczegółów i postaci dziejowych. Rodzaj ten pisania, sposób przedstawiania dziejów w ramach pojedynczych monografii na pozór z sobą niepowiązanych, a przecież uzupełniających razem wzięwszy całość dziejowego obrazu, pierwszy wprowadził u nas Szajnocha z wielkiem powodzeniem. Szkice jego, pojawiające się najprzód w różnych pismach czasowych, nim w osobnym wydane zostały zbiorze, chwytało i odczytywano z wielkiem zajęciem. Przyczyniły się one wiele do sławy autora, do rozgłosu jego imienia w literaturze współczesnej. Objąwszy całość dzieł Szajnochy znajdujemy w nich tedy przedstawiony cały ciąg dziejów naszych, od pierwszego ich świtu, w brasku przedchrześcijańskich i przedmieczysławowskich czasów, od lechickiego początku Polski aż po drugą połowę XVII wieku.

Nim zakończę niniejsze wspomnienie o Szajnosze niepodobna mi nie dodać parę szczegółów odnoszących się do jego osoby i charakteru. Był to człowiek żelaznej woli i pracy. Kiedy się po dzisiejszem młodszem rozglądnię pokoleniu, zdaje mi się jakby już nawet zatarło się wyobrażenie tej zdumiewającej pracowitości i wytrwałości, której owocem bywają prawdziwie wielkie dzieła. Tej wytrwałości i pracy uosobieniem było całe życie Szajnochy. Z surowym katońskim rygorem, cechującym w ogóle wszystkie jego przekonania, szedł drogą wytkniętą w obranym zawodzie, a potrzeba iście wielkiego było zapału i wielkiego zamiłowania wytkniętego celu, wielkiej siły natchnienia, aby do ostatniej chwili nie wygorzała, dopóki aż choroba nie potargała ze szczerem umysłu i nie rozprzegła władz ciała i duszy. Większą część życia spędził, można powiedzieć, po pustelniczemu. Zamknięty pracował dniem i nocą. Nazywano go dziwakiem, miano za zimnego i obojętnego, a on przeciwnie był pełen uczucia pod pozorem obojętności, ale posiadał niepowszednią moc ducha i rozumiał że tylko wielką pracą wielkie dokonują się rzeczy.

Kiedy deputacya słuchaczów akademii Jagiellońskiej przybyła z Krakowa do Korczyna, gdzie zwykł był przepędzać lato, z prośbą

do Szajnochy, aby objął katedrę historii w rzezzonej akademii. ociemniały już wówczas i znękany fizycznie nie mógł zadosyć uczynić temu wezwaniu, a w serdecznej przemowie, którą usprawiedliwiał swą odmowę, wytknął zarazem kilku słowy drogę kształcenia się w zawodzie historycznym, którą sam doszedł do tak świetnych na tem polu wyników. Całą tajemnicą osiągnięcia pożądaných skutków, warunkiem postępu umiejętności, wedle zawartej w owej jego przemowie wskazówki, jest rozpoznanie i sprawdzenie jak największej ilości szczegółów, wydobyte jak największego zasobu materyału historycznego. Oto jest, o co się potrzeba przedewszystkiem starać w nauce historii. Bogaetwem wydobytych szczegółów rozjaśni się sam z siebie widokrąg dziejowy, wypadki w należytem ustawiają światło i rozwinię pogląd prawdziwy na ogólny tok rzeczy. Bez tego niema istotnej nauki dziejów — pozbawiona rzeczywistego gruntu, kulejąc na każdym kroku, stanie się ona mrzonką, niemającą punktu oparcia, zamiast być jak powinna wynikiem ścisłej logiki wypadków. Stawiając siebie za przykład, powyższą metodę, której się sam zawsze trzymał, wskazał za najskuteczniejszą i jedynie prawdziwą. Jakoż treść słów tych jest rzeczywiście najlepszą pracą jego naukowych ilustracją.

Wagilewicz zawód swój literacki rozpoczął także pod skrzydłem Bielowskiego i Borkowskich. Zaczął od pisania wierszy, z których parę Józef Borkowski w *Dzienniku Mól* wydrukował, chociaż nie mniej poetycznego niepodobna sobie wyobrazić jak cała postać Wagilewicza i jego prace naukowe. Ukończywszy teologię został księdzem świeckim i otrzymał parafię, którą po kilku latach, skutkiem niesprawiedliwego prześladowania utracił. Przywiedziony do największej rozpacz, z braku utrzymania dla żony i dzieci, przeszedł na protestantyzm, aby się od dalszych uchylić prześladowań i zamieszkał we Lwowie, gdzie całe życie w wielkim spędził niedostatku. Istny mól uczony, encyklopedya chodząca, posiadał ogrom erudycyi, zwłaszcza w rzeczach odnoszących się do dziejów Rusi i w ogóle Słowiańszczyzny, ale miał pióro ciężkie, nie posiadał swobodnego stylu, swady pisarskiej, skutkiem czego pisma jego będące nieocenionym zbiorem materyału historycznego, nie przynosiły mu żadnego dochodu, zwiększając tylko coraz bardziej tekę uczonego badacza. Zresztą i za najpoczytniejsze artykuły nie było komu płacić we Lwowie, bo nie było jak dzisiaj pism peryodycznych, które by się niemi zasilac potrzebowały. Wszakże Wagilewicz to był, który otrzymał pierwsze honorarium literackie we Lwowie,

ową historycznej sławy sztukę na kamizelkę od wydawcy *Dziennika Mód* krawca Kulczyckiego.

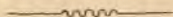
Oprócz kamizelki potrzeba było chleba. Powiodło się Wagilewiczowi otrzymać miejsce korektora przy *Gazecie Lwowskiej*, a zarazem w zakładzie im. Ossolińskich powierzono mu, dzięki staraniom Bielowskiego, korektę drukującego się tam wtórego wydania *Słownika Lindego*. Dochody z tych zajęć zaledwo mogły wystarczyć na życie. Wagilewicz też był nękany ciągle przeciwnościami, pochodzącymi z braku dostatecznego funduszu na utrzymanie. Cała jego powierzchowność była obrazem niedostatku. W zblakłej odzieży, w wytartym granatowym surducie większą połowę dnia pędzić musiał nad żmudnem i jałowem zajęciem korektorskiem, wszelako nie dbał o powierzchowność, ale dręczyło go to, iż tyle czasu musiał urywać ważniejszym naukowym pracom, marnując go na korektę i ekspedycję *Gazety Lwowskiej*. Co do korekty *Słownika Lindego* ta nastęrczała mu przynajmniej pole zużytkowania swych wiadomości filologicznych i gramatycznych, gdyż uzupełniał i poprawiał w wielu miejscach tekst pierwotny; była to więc praca już wdzięczniejsza i pożyteczna, albowiem miała cechę naukową, przesięgając zakres zwykłej korekty. Istotnie zasłużył się wielce Wagilewicz przy tem wydaniu *Słownika Lindego*, chociaż zasługa ta bez rozgłosu utonąła w tekście dzieła, niewskazana i nieznana. Miał on nawet wspólnie z Szajnochą i kilku jeszcze przez zakład im. Ossolińskich wezwanymi ku temu uczonymi zająć się układem tomu dodatkowego do rzeczonego *Słownika*, ale z ociemnieniem Szajnochy a śmiercią Wagilewicza zamiar ten został zaniechany.

Wagilewicz utrzymywał stosunki naukowe z uczonymi czeskiemi, z Szafarzykiem i Dubrowskim, a nie mając gdzie drukować swych rozpraw historyczno-etnograficznych we Lwowie, posyłał je pomienionym uczonym do Pragi, gdzie były drukowane w przekładzie na język czeski w *Muzeum Czeskiem* i innych pismach tamtejszych. Później umieszczał niektóre pomniejsze prace swoje w *Bibliotece Warszawskiej* i w czasopismach lwowskich. Osobno wydał *Gramatykę języka małoruskiego*, bardzo cenioną, i monografię *Monaster Skit w Maniawie*. Do *Monumentów* Bielowskiego przełożył i opracował krytycznie umieszczony w pierwszym tomie *Latopis Nestora*. Wszystko to wszakże jest tylko małą cząstką pozostałych w rękopisie prac jego filologicznych, etnograficznych i historycznych, odnoszących się głównie do Słowiańszczyzny i Rusi Halickiej.

Położenie Wagilewicza polepszyło się dopiero gdy za staraniem Bielowskiego, prof. Małeckiego i Stanisława Pilata, powołanych przez Radę miejską lwowską do zbadania stanu archiwum miasta Lwowa, poruczono mu uporządkowanie tegoż archiwum i zamianowano jego dyrektorem. Teraz dopiero Wagilewicz ujrzał się w swoim żywiole. Mając zapewnione sobie dostatanie utrzymanie mógł już wyzwolić się od dawniejszych jałowych zajęć dla chleba podejmowanych a oddać wyłącznie zgodnej z zamiłowaniem swoim pracy ściśle naukowej.

Dziwne a bardzo niepomysłne losy przechodziło lwowskie archiwum miejskie. Z dawien dawna było ono zbiorem najważniejszych dokumentów do historii Halicza i Lwowa, tu bowiem przechowywały się oryginalne nadania i akta sięgające czasów XII i XIII stulecia. Nie dawniej jak przed czterdziestu jeszcze laty znajdowało się w niem wiele rzeczy niezmiernie ważnych, oryginalnych przywilejów, których dzisiaj i śladu tam niema. Niestety dawny magistrat z Niemców złożony, i Rada miejska takimże samym przepełniona żywiołem, a przesiąknięta biurokracją pedantyczną, licząca przez przeciąg lat wielu w gronie swem przeważną część mieszczan Niemców, nieposiadających ani wyższego wykształcenia, ani zamiłowania rzeczy krajowych i pojęcia wartości tego, co się w archiwum miejskiem zawierało, nie troszczyła się o nie weale, w zupełnem pozostawiając przez długie lata zaniedbania. Wreszcie zwrócił ktoś uwagę panów Rady na to zaniedbanie, skutkiem czego poruczono uporządkowanie archiwum Dyonizemu Zubrzyckiemu. Z deszczu pod rynnę. Póki archiwum leżało w nieporządku, spoczywało przynajmniej pod stosami pyłu nietknięte, chyba przez mole. Gdy raz pył otrzepano i dobrano się do środka, zakradł się mól gorszy i pożarł niepowrotnie wiele najcenniejszych dokumentów. Przetrzebione niemilosiernie, ale ręką znającą się na cenie dokumentów, archiwum popadło po pożarze ratusza w roku 1848 w dawny bezład i — rzecz niesłychana! przeleżało lata zrzucone w kącie w niezamkniętych skrzyniach na strażnicy pompierskiej. Później przeniesiono je i umieszczono staranniej, oddawszy opiekę nad niem urzędnikowi magistratualnemu Raspowi. Pocziwy ten Niemiec, lubo nie był znawcą rzeczy naukowych, zajął się z prawdziwie ojcowską pieczołowitością poruczonem mu archiwum, pokochał je można powiedzieć, czuwał nad niem i porządkował, chociaż nie umiając języka ruskiego, w którym większa część starszych dokumentów była pisana, rady sobie w tem należycie dać nie mógł. Napisał on po niemiecku dziełko obejmujące historję miasta Lwowa

z tego względu dobre, iż oparł je ściśle na oryginalnych aktach, w archiwum się znajdujących. Wagilewicz dopiero zajął się ze znajomością rzeczy bardzo gorliwie uporządkowaniem archiwum. Odczytał, przepisał, przełożył i przygotował do druku sto kilkadziesiąt oryginalnych dokumentów, z których wiele było już bardzo nadwreżonych i zaledwo czytelnych. Śmierć wkrótce przerwała rozpoczętą pracę.



X.

Dziennik mój paryskich Tomasza Kulczyckiego — Józef Dzierzkowski — Kornel Ujejski — Jan Dobrzański — Reforma *Dziennika mój* — Jego tendencyjność i zasady — *Czasopismo Zakładu im. Ossolińskich* pod redakcją Wincetego Pola — *Życie towarzyskie*. — Wieczory literackie — Szezęsny Morawski i jego obraz historyczny — Liszt we Lwowie — Wystawa obrazów — Zakończenie.

Wskazaliśmy kierunek, w którym zaczynała się rozwijać w niniejszym okresie naukowość w Galicyi. O wiele potężniej rozwinęło się równocześnie życie literackie i poczęło kiełkować dziennikarstwo. Jeszcze Józef Borkowski od czasu wydania *Prac literackich* zaczął przemyślać nad utworzeniem we Lwowie pisma peryodycznego literackiego, mającego być wyrazem nowych kierunków literatury, ku czemu redagowane przez J. N. Kamińskiego i Jaszowskiego *Rozmaitości* służyć nie mogły. Monopol redakcyjny tego pisma był w ręku tych dwóch literatów starej daty, niepozoścających, jak widzieliśmy poprzednio, w przyjaznym stosunku z gronem literackiem młodszej ery, którego głównymi przedstawicielami byli Borkowscy z Bielowskim. Grono to potrzebowało swego własnego pisma, w któremby mogło swobodnie a wszechwładnie krzewić nowsze pojęcia literackie i obznajamiać publiczność czytającą z najnowszemi płodami literatury. Zadanie to nie było łatwe do urzeczywistnienia z powodu trudności uzyskania koncesyi na pismo tego rodzaju. Potrzeba było wyszukać wydawcę, którego osoba dawałaby rękojmię że pismo nie będzie miało żadnych ukrytych tendencyi, i że głównym jego celem będzie nie cokolwiek innego, jak tylko umysłowa rozrywka czytelników. Żaden literat nie byłby wówczas takiej otrzymał koncesyi, albowiem literatów w czambuł podejrzywano o ukryte cele rozszerzania pod płaszczem literatury zasad, nienależących do jej zakresu, i przekraczających wyż-

wspomnioną granicę bezbarwnej umysłowej rozrywki. O ten szkopuł rozbijał się przez dłuższy czas zamiar założenia nowego pisma literackiego we Lwowie, dopóki wreszcie nie znalazł się nakładca, odpowiadający wymaganym warunkom. Był nim zacny krawiec Tomasz Kulezycki. Nie znał on się co prawda nie a nie na literaturze. Miał pierwszą podówczas we Lwowie pracownię krawiecką i dzielnie władał nożycami, ale pióra nigdy w swoim ręku nie miał. Wydał już był dawniej dobrze ułożoną broszurę *O kroju sukien męskich*, zredagowaną przy pomocy jednego z literatów. Miał tedy już pewną powagę na polu teorii krawieckiej, co się przyczyniło skutecznie do tego, iż podawszy z namowy Józefa Borkowskiego o koncesyę na wydawnictwo *Dziennika mód paryskich*, z dodatkiem rycin i wzorów krawieckich, otrzymał żądane pozwolenie i pismo wydawać zaczął. Pierwszy numer dziennika, zredagowany przez Żegotę Paulego, był wyłącznie modom poświęcony. W następnych pojawiała się już część literacka, rozpierająca się coraz szerzej w ramach *Dziennika* a redakcyę objął Bielowski; ale Borkowski aż do śmierci głównie się nim zajmował i był duszą wydawnictwa.

Tak tedy pod firmą paryskiej mody wprowadzone zostało w świat nowe pismo literackie, które początkowo wątle i nieśmiało stawiając kroki, wzmogło się zwolna i rozpowszechniło, i przez czas dosyć długi poczeiwie zasługiwało się literaturze. Mody były tu jedynie wabikiem dla zjednania pismu szerszego wstępu pomiędzy temi sferami czytelników, zwłaszcza zaś czytelniczek, dla których sama literatura nie miała by była powabu; był to sposób rozpowszechnienia pisma, trafnie w owej porze dobrany. Na wędkę mody złowieni czytelnicy, mimowolnie chwyтали podany im obok tego pokarm literacki, oswajali się z nim i nabierali doń apetytu. *Dziennik* też chociaż na bardzo małą początkowo skalę założony i ograniczoną mający sferę, zalecał się wielu dobrymi rzeczami. Znać w nim było zdolną redakcyę i z każdego choćby najmniejszego artykułiku przebijał talent pisarski. Widać było że pismo prowadzone ze znanstwem i że znakomite składały się nań pióra, chociażby drobnymi tylko okruszynami. Najwięcej początkowo zapełniał się *Dziennik* artykułami Józefa Borkowskiego, oryginalnymi i tłumaczonymi. Znachodził się tam od czasu do czasu śliczny wierszyk Lueyana Siemieńskiego, Magnuszewskiego lub samego Borkowskiego. Bielowski pisywał do *Dziennika* artykuły literackie poważniejszego zakresu, Leszek Borkowski umieszczał w nim swe satyryczno-obyczajowe artykuły, nie będące ani powieściami ani rozprawami, ale pełne attykiej soli, mające dla czytelników powab obojga. Oprócz

tego prowadził przez czas jakiś Leszek dzielnem piórem stale rubrykę krytyki literackiej i teatralnej w *Dzienniku Mód*. Z młodszych adeptów literatury dopomagali Bielowskiemu Ksawery Jaworski, Marcei Skałkowski, a najczynniej Szajnocha, starszy od nich wiekiem i piórem i w ścisłej już wówczas z Bielowskim przyjaźni pozostający. Administracją i częścią przeznaczoną modzie, zajmował się sam Kulczycki. Starał się o ilustracye, czuwał nad ich litografią i kolorowaniem, rozmierzał i układał wzory, dodawane do *Dziennika*; według jego wskazówek czyniono znajdujące się w każdym numerze opisy mód. Kulczycki wówczas jeszcze człowiek zamożny, nie skąpił nakładu i nie oglądał się też na zyski z pisma, któremu się starannie oddawał. Poczywy pan Tomasz miał też i ambicyjkę literacką, bardzo zresztą szlachetną w gruncie, i zdawało mu się nieraz że jest na prawdę redaktorem pierwszego w kraju pisma literackiego. Przejęty tem uczuciem z całą szczerością otwartego serca powtarzał:

— Wszystko, co mam, oddam chętnie dla dobra literatury i kraju...

I prawdę mówił. Przez dziesięć lat wydawał *Dziennik Mód* pod rozmaitemi okolicznościami, nie szczędząc starania i kosztów, dopóki zmiana stosunków krajowych i wynikła ztąd zupełna utrata majątku, nie zniewoliły go ostatecznie do zaprzestania wydawnictwa.

Dziennik mód paryskich wychodził początkowo w małym arkuszyku co dni czternaście. Zważywszy liczbę dzisiejszych gazet i dzienników, zasypujących codziennie czytelników masami zadrukowanego papieru, a pomimo tego tak cheiwie zawsze wyglądanych i czytanych, zdumieć się istic przychodzi jakim sposobem ów co dni czternaście nadechodzący mały arkuszyk mógł zaspokajać umysłowe potrzeby sfery czytelniczej w kraju, jak ta szczypta wiedzy, tak z rzadka i skąpo dawana, była w stanie zaspokoić ciekawość, ugasić literackie pragnienie, tem bardziej, że oprócz tego nie posiadała Galicya więcej żadnego innego pisma literackiego prócz *Rozmaitości*, wychodzących także tylko raz w tydzień, a zapełniających się już wówczas głównie przekładami rzeczy niemających literackiej wartości. O *Lwowianinie* zaś wspominać nawet nie warto. Świadczy to o ogromnym postępie, uczynionym od owego czasu w Galicyi, pod względem rozpowszechnionej potrzeby czytania. Początkowo sam już *Dziennik mód paryskich* znacznie się do tego przyczynił w ciągu dziesięcioletniego swego istnienia. Później po lecich kilkunastu ze zmianą stosunków krajowych, przy wzrastającej nieustannie liczbie szkół i rozbudzeniu życia publi-

cznego, rzecz naturalna że chęć do czytania coraz się bardziej wzmagala. Najwięcej przyczyniła się do tego prasa polityczna. Jak pierwiej moda była owym wabikiem przyciągającym ciekawość czytelników i zwracającym nieznacznie ich uwagę ku przedmiotom literackim, tak znowu tutaj ciekawość wypadków politycznych i potocznych nowin, pociągająca coraz szersze koła czytelników, była ową przynętą, za pomocą której rozpowszechniały się uzupełniające gazetę polityczną wiadomości literackie i naukowe. Prawda i to, że jak rzeka, im się szerzej rozlewa, tem traci na głębokości, tak też i tutaj rozwielenienie się dziennikarstwa, mianowicie politycznego, o ile przyniosło korzyści w szybkim i przystępnem rozpowszechnieniu wiedzy, o tyle znowuż ma swoje ujemne strony. Dawniej każda rzecz przeczytana zapisywała się głęboko w pamięci, z każdej myśli autora wysysano pożytek umysłowy, lubowano się jej pięknoscią, przejmowano prawdami w niej zawartemi. Takie czytanie wymagało więcej czasu, ale przynosiło więcej korzyści — zajmowało więcej uwagi i wystarczało na dluzej. Dzisiejsza gazeta czyta się skwapliwie, ale pobieżnie. Najpożądane w niej bywają kronikarskie wiadomości; rzecz głębsza pomija się częstokroć. Co się przeczytało pobieżnie, zapomina się równie łatwo. Ubożuchne dziennikarstwo za czasu *Dziennika mód paryskich* miało swoje korzyści i pozostawiło pożyteczne po sobie owoce.

Z śmiercią Józefa Borkowskiego *Dziennik* utracił najgorliwszego opiekuna i współpracownika, i byłby może bardzo wiele na tem ucierpiał, gdyby go nie wsparł dzielnym piórem Józef Dzierzkowski, jeden z najbardziej utalentowanych pisarzy galicyjskich, występujący właśnie w owej porze w szranki autorskie na polu powieściarskim. Pierwszą jego powieść *Placz i śmiech* umieścił był Borkowski w *Pracach literackich*. Napisana z ogniem i siłą znamionowała wysoki talent, wykształcony na wzorach nowożytnej powieści francuskiej. W *Albumie na korzyść pogorzalców Rzeszowskich* umieszczone jego powieści *Bale na wsi* i *Jutro*, tudzież szkic charakterystyczny *Leśniczy*, odznaczały się głębokim uczuciem obok swobodnego humoru, zdolnością wybornego szkicowania postaci typowych, i poezją języka, pełnego świeżości i wdzięku. Dzierzkowski mieszkał podówczas w Zbarażu, małej mieścinie podolskiej o kilkanaście mil od Lwowa, w wielkim niedostatku. Borkowscy postanowili zachęcić go do oddania się stale zawodowi autorskiemu, do osiedlenia się we Lwowie, wprowadzić w świat literacki i zjednać znakomitego pisarza literaturze.

Dzierzkowski dotąd prowadził życie awanturnicze, z którego ustepy pozostawił naszkicowane w *Pamiętnikach pana Bolesły*. Od wyrostka pełen burzliwych, nieokiełzanych namiętności, wychowywał się u swego stryja, uczonego lwowskiego adwokata Dzierzkowskiego, używającego wielkiej powagi we Lwowie, który sobie z synowcem rady dać nie mógł. Mecenasa chciał uczynić synowca prawnikiem — napędzał do studyowania klasyków — do Tacyty i Justynjana. Ale wychowaniec obdarzony z natury ogromnem objęciem, bystrością umysłu niezwykłą, tem mniej posiadał ochoty do żmudnego ślęczenia nad skryptami i książkami szkolnemi. Smakowała mu za to literatura nowa francuska, którą cheiwie połykał. Stryj napędzał do nauki porządnej, systematycznej, gruntownej, i strofował nieustannie wychowanka, wymyślając rozmaite kary dla przewyciężenia wrodzonej jego kruąbrności i lekkomyślności, za co tenże mu się odwdzięczał najrozmaitszemi wybrykami. Pewnego razu zamknął go stryj za karę do karceru domowego na strych, w braku innego ku temu stosownego miejsca, gdzie się znajdował skład poduszek i piernatów. Młody więzień, zamiast oddać się skrusze i rozmyślaniu nad przyszłą poprawą, zaczął dla skrócenia sobie czasu pruć piernaty i przez okno poddasza pierze z nich całemi masami wyrzucać na ulicę. Krzyk powstał ogromny. Zdziwiony mecenas wyziera oknem na ulicę i w tej chwili widzi się osypany lawinami pierza, zlatującego z góry i zaścielającego grubym już wałem ulicę. Musiał tedy co prędzej wypuścić ptaszka z klatki, aby uwolnić snującą się pod oknami publiczność od pierzowej zamieci i myśleć o innym skuteczniejszym sposobie zachęty synowca do nauki.

Z tem wszystkim Dzierzkowski spędziwszy młodość pod okiem stryja i w otaczającym go towarzystwie, wykształcił się znakomicie. Oprócz wiadomości kształcących umysł, posiadał ogładę towarzyską, mówił wybornie po francusku, znał dobrze literaturę francuską a poniekąd i starożytnych klasyków; słowem posiadał wszystkie warunki, mogące mu zjednać stanowisko w świecie. odpowiedne i własnym jego zdolnościom i pamięci opiekuna, przez którego w świat był wprowadzony. Nie skorzystał jednak z tego, idąc raczej za popędami niesfornej natury, niżeli za głosem rozważli. Po śmierci stryja pozostawiony sam sobie, puścił się samopas w przygody, które go, jak widzieliśmy, doprowadziły do zupełnego odosobnienia i niedostatku w nędznej mieście, bez żadnej nadziei na przyszłość, żadnego widoku na jutro, z żoną i dwójkiem synków. Przybywszy do Lwowa, wstępując w zawód lite-

racki Dzierzkowski zerwał z przeszłością, ustatkował się, zmienił zupełnie tryb życia i oddał się gorliwie pracy literackiej. Leszek Borkowski wprowadził go w literackie kółka lwowskie, poznał z literatami. Dzierzkowski wstąpił do redakcyi *Gazety Lwowskiej*, z czego przy współpracownictwie do *Dziennika Mód* razem wzięwszy, miał dostateczne utrzymanie. Redakcyja *Gazety Lwowskiej* była podówczas przytuliskiem literatury we Lwowie — nie pod względem literackim, ale materyalnym. Miała ona organizację niejako urzędową — biuro redakcyjne z kilkunastu osób złożone, godziny urzędowe i fundusze na opłacanie personalu redakcyjnego. Wszyscy też literaci lwowscy, potrzebujący żyć z pióra, zwłaszcza młodzi w zawód ten wstępujący, starali się o pomieszczenie w redakcyi *Gazety Lwowskiej*, przechodzili przez jej biura, pozostając tam dłużej lub krócej, dopóki odpowiedniejszego zdolnościom lub życzeniom swoim nie znaleźli stanowiska. Trwało to do roku 1848 dopóki rząd nie nabył gazety od spadkobierców Krattera, skutkiem czego stosunki redakcyjne i jej organizacya zupełnie się zmieniły.

Równocześnie z Dzierzkowskim pracowali w redakcyi *Gazety Lwowskiej* Szajnocha, Zacharjasiewicz, Franciszek Waligórski i kilku innych młodszych. Redaktorem naczelnym *Gazety* był Krawczykiewicz, późniejszy dyrektor Kasy oszczędności, autor Arytmetyki przeznaczonej do użytku szkolnego. Dzierzkowski miał sobie oddany w gazecie dział *Nowin* miejscowych potocznych, w których zakres wchodziła także krytyka literacka i artystyczna. Rubrykę tę ożywił i starał się urozmaicić, o ile skąpy widnokrąg nowin lwowskich dozwalał. Po za godzinami biurowemi zajmował się pisaniem powieści i artykułów literackich do *Dziennika mód paryskich*, a czasem i do innych pism zamiejscowych. Teraz także napisał pierwszą swą większą rozmiaru powieść osobno wydaną *Kuglarze*, i drugą *Dla posagu*, w dwóch tomach, tudzież *Pamiętniki Bolesty*, wydane wraz z innemi pomniejszych kilku powieściami. Słowem Dzierzkowski pisał wiele, pracował ciągle. Na wieczory literackie u niego zbierało się co tydzień całe grono literackie lwowskie, z którem Dzierzkowski przez lat kilka wspólnej pracy żył się być ściśle, dopóki w r. 1848 nie rzucił się w zamęt spraw politycznych, zaniechał na czas dłuższy pracy literackiej i wyjechał ze Lwowa. Za powrotem po kilku lecich niebytności Dzierzkowski znów oddał się literaturze i dziennikarstwu, ale pod innemi już warunkami. Nie dbał o względy towarzyskie, żył po kawalersku, sam jeden w ubogiej izdebce, w której oprócz tapczana i stolika, żadnego więcej nie było sprzętu, pomimo ogromnych dochodów, jakie mu

plodne pióro przynosiło, które wszakże trwonił po za obrębem kół literackich.

Kiedy w roku 1844 poznałem Dzierzkowskiego we Lwowie, był podówczas w sile wieku, atletycznej budowy, w obejściu ujmujący i pełen ogłady. Na sympatycznej jego twarzy błąkał się lekki cień smutku, rysujący się w ustach na pół melancholijnym, na pół ironicznym uśmiechem goryczy, świadczącym o cierpieniach przebytych, o walkach wewnętrznych i rozczarowaniach. W łagodnem spojrzeniu jasnych niebieskich oczu znać było miękkość charakteru, niezdolnego oprzeć się sile namiętności wiodących na bezdroża.

Gdy Dzierzkowski rozpoczął swój zawód autorski była to właśnie pora kiedy powieść zaczęła pod piórem Kraszewskiego i jego naśladowców coraz szerzej rozpościerać się w naszej literaturze, pociągając ku sobie urokiem nowości i różnaitości, jako najswobodniejsza forma, pod którą najłatwiej można się było porozumiewać z publicznością, zasiewać pożyteczne myśli i bez kaznodziejskiego moralizowania, lecz w artystycznym przedstawieniu powieściarskiej treści, torować drogę wyobrażeniom i zasadom odnoszącym się do najważniejszych zagadnień psychicznych, społecznych a nawet politycznych; poruszać strony najserdeczniejszych i najwznioślejszych duszy ludzkiej uczuć. Ta bogata forma odpowiadała najlepiej talentowi Dzierzkowskiego, posiadającego wiele wyobraźni, zmysłu spostrzegawczego, ironii Hogartowskiej, a przytem wiele namiętnego ognia i poczucia artystycznego. Nie brakło mu więc przymiotów, tworzących dobrego powieściopisarza. Jakoż od pierwszego zaraz występu zjednał sobie publiczność — pióro jego wnet nabrało rozgłosu, powieści, szkice, humoreski, następujące szybko jedne po drugich, zachwycały i bawiły na przemian, a zawsze wielkie sprawiały na czytelniku wrażenie. Było w nich wiele natchnionej młodzieńczej poezji w uczuciach i obrazowaniu, ujmująca świeżość kolorytu, podniosłość myśli, uwydatniona często kontrastem szkicowanych po Hogartowsku scen i postaci życia powszedniego, zbliżonych czasem aż do karykatury. Chociaż Dzierzkowski przedstawiał zawsze typy swojskie i treść zawsze brał z życia naszego własnego, z tem wszystkim powieści jego w swym układzie, w sposobie gromadzenia i kontrastowania efektów, miały cechę nowożytnego powieściarstwa francuskiego, chociaż co do treści i ducha były szczeropolskie. Znać tylko było że autor ich kształcił się na francuskich wzorach i że one były mu pierwiastkowo szkołą techniki powieściarskiej. Pierwotnie powieści Dzierzkowskiego nie miały żadnych ubocznych, wyraźnie określonych tendencji, oprócz ściśle artystycznych,

psychiczno-etycznych. Do tej grupy należą powieści z okresu, obejmującego pierwszych lat kilka jego pracy autorskiej. Pierwsze jego powieści były po większej części powtórzeniem zdarzeń przeżytych lub zapamiętanych. fotografią społeczeństwa i osób wprost z natury żywcem w ramy powieściowe przeniesionych, a chociaż starał się główniejsze z nich podnieść do znaczenia ogólniejszych typów, tyle w nich przecie pozostawało miejscowej i osobistej cechy, że można było znając stosunki łatwo poznać podobieństwo. Napisane w owym czasie większe powieści *Kuźlarze*, *Dla posagu* i w parę lat później ogłoszona *Rodzina w salonie*. pomimo swego artystycznego obrobienia i bezwzględnej artystycznej wartości, były osnute w znacznej części na zdarzeniach rzeczywistych i zawierały całe szeregi portretów, mniej więcej wyraźnych lub maskowanych. Zarzucano to w swoim czasie ostro jego powieściom, z drugiej strony dodawało im to cośkolwiek skandalicznego pieprzyku, przyczyniającego się do ich wziętości, bo jest to przyprawka, którą ludzie zawsze lubią i niestety... lubić będą. Dla dzisiejszych czytelników strona ta powieści Dzierzkowskiego jest już niezrozumiałą. W obec sądu literatury ostoją się one tem tylko, co w nich jest prawdziwą zaletą artystyzmu.

Powieścią *Salon i ulica*, napisaną w roku 1847, przeszedł Dzierzkowski na pole powieści tendencyjno-społecznej i wszystkie później główniejsze jego powieści, jak *Król dziadów*, *Znajda*, *Szpicrut honorowy* i wiele innych, tę samą już noszą cechę. Napisał także parę powieści historycznych. W roku 1858 założył we Lwowie gazetę polityczną *Przegląd powszechny*, i odtąd oddał się już przeważnie publicystyce politycznej. Pisywał i później powieści, bo do starej sławy powieściarza zewsząd się o nie udawano, ale wszystkie te już jego z ostatnich czasów utwory powieściarskie nie dorównują dawniejszym. Po większej części rutyna zastąpiła w nich natchnienie. Mogły się czytać na zimno z pożytkiem — zalet dawnego pióra nie miały.

Dzierzkowski był przez lat dwadzieścia głównym, można powiedzieć, kierownikiem opinii i filarem literatury, zwłaszcza publicystyki w Galicyi. Żadne pismo tutejsze nie obeszło się bez jego współpracownictwa, każdego przedsięwzięcia literackiego, mającego mieć powodzenie, musiał być uczestnikiem, wszędzie znać było jego rękę, jego wysoki talent. Rozległych szczegółowych wiadomości, tego co nazywamy erudycją, Dzierzkowski nie posiadał; uczeni nazywali go *ignorantem*, ale przyznać musieli niepospolitą dzielność pióra, potęgę i wszechstronność talentu, zastępującego niedostatki

systematycznej uczoności. Jakoż zdumiewać się istotnie przychodzi nad tą ogromną gładkością pióra, nad tą niespracowaną siłą umysłu, jaką Dzierzkowski był obdarzony. Była to wyjątkowa, iście Herkulesowa natura. Był w stanie pisać nieprzerwanie dzień cały, jeżeli tego wymagała żarliwość zecerów, zwłaszcza zaniedbanej przez kilka dni poprzednich drukarni. Często w braku obcych artykułów sam własnymi zapełniał całkowite numera *Dziennika mód, Nowin, Dziennika literackiego*, zwłaszcza zaś redagowanego przez siebie *Przeglądu powszechnego* i *Przyjaciela domowego*, którego to pisma, wydawanego przez Hipolita Stupnickiego, był także redaktorem, a często jedynym współpracownikiem. Pomimo tego nawału pracy w piórze Dzierzkowskiego nie znać było nigdy znużenia. Po przebytej na hulance jednej lub kilku nocach wróciwszy do domu, kładł zimny okład na głowę, smarował wąsy amonjakiem i zasiadłszy do stolika pisał nieprzerwanie sześć lub ośm godzin, aby powetować czas zaniedbany i zadowolić zecerów, wpadających co chwila po rękopis. Kiedy go znużyła powieść, odsuwał ją i zabierał się do artykułu politycznego, znużony nim imał się rzeczy literackiej, polemiki lub korespondencyi, poczem znów wracał do odłożonej na bok powieści. Tym sposobem pisał wiele rzeczy naraz i mówił, że ta zmiana treści odświeża mu umysł i jest rodzajem wypoczynku. W rozprawach literackich i krytycznych rozwinął Dzierzkowski wiele śmiałych i trafnych poglądów, w artykułach rozumowanych był przekonującym zarówno logiką argumentacyi jak siłą stylu równie jędrnego jak obrazowego. Zapalczywy obrońca zasad lub spraw wziętych w opiekę, straszny był w polemice, gromił i poniewierał przeciwnika, nie przebierając w rodzaju broni, której używał, byle odnieść zwycięstwo. Umarł na wodną puchlinę z piórem w ręku jak żołnierz na wyłomie, nad korektą własnego artykułu do *Przyjaciela Domowego*.

W *Dzienniku Mód paryskich* Kulczyckiego pojawiły się także pierwsze poezye Kornela Ujejskiego. Młodzieniec poeta rozwinął od razu genialny blask pochodzący z prawdziwego natchnienia. W poezyach jego było wiele nowych piękności, było uczucie i dzielność; obok wzniesłego lirycznego polotu zachwycająca prostota sielanki. Ujejski wówczas wiele pisał; każdy prawie numer *Dziennika Mód* podawał nowy jego wiersz, jeden piękniejszy od drugiego. Publiczność sympatycznie witała młodzieńca, którego utwory przypominały świetniejsze czasy poezyi. Wydane w r. 1845 pierwsze jego dzieło poetyczne, *Pieśni Salomonowe i Pieśń nad pieśniami*, było parafrazą treści biblijnej, z wielkiem uczuciem poetycznem i

zrozumieniem ducha biblijnego wyspiewaną. Późniejsze jego poezye z *Dziennika Mód*, w osobnym zbiorze wydane, pomimo że się je autorowi *Kwiatami bez woni* i *Zwiędłym liściem* nazwać podobają, miały najczudniejszą woń poezyi i uczucia, świeżość i barwy wiosniane. *Melodye hebrejskie* należą do najpiękniejszych jego utworów. Lubo talent Ujejskiego jest rdzennie liryczny, w *Melodyach* przesuwają się obrazy i postacie jakby najlżejszem wyciosane dółtem, z całym plastycznym wdziękiem wykończonego artyzmu. — W *Skargach* wzniósł się poeta do najwyższej potęgi uczucia i słowa, z głębi duszy, wielkimi rozżalonymi bólami, płynącego. Dzieła pomienione rozpowszechniły i ustaliły w ciągu trzech lat sławę Ujejskiego, podniosły ją do wysokości mało komu dostępnej. Ujejski żył podówczas w ścisłej przyjaźni z Wincentym Polem. Pragnął poznać Mickiewicza i Słowackiego, i głównie w tym celu z wiosną r. 1847 wyjechał do Paryża, skąd dopiero po roku wrócił do Lwowa.

Przez lat parę był Dzierzkowski głównym współpracownikiem, rzecz można duszą *Dziennika Mód paryskich*. Były to świetne czasy *Dziennika*. Pióro Dzierzkowskiego miało urok nowości i natchnienia. *Dziennik* zyskiwał coraz więcej wziętości. Wkrótce jednak rzeczy się zmieniły. Jakoż w roku 1845 poróżnił się Dzierzkowski z Kulezykiem i usunął zupełnie od współpracownictwa. Zadało to cios fatalny *Dziennikowi*. Ubyło mu najpotężniejsze i jedyne już teraz stałe współpracownicze pióro. Cały ciężar redakcyi a w znacznej części i współpracownictwa spadł na barki Bielowskiego, który coraz bardziej zajęty swemi studjami historycznymi, coraz mniej miał czasu i ochoty zajmować się redakcyą. Posługiwał się więc młodszymi, mniej uzdolnionymi a za to tem łacniej nastęrczącymi się piórami, zapełniał pismo przeważnie tłumaczeniami. Rzadko kiedy nadarzyła mu się sposobność uzyskania lepszego artykułu Szajnochy, lub którego innego z dawniejszych kolegów literackich. Każdy z nich, podobnie jak Bielowski, miał swoje inne zajęcie, niedozwalające myśleć o *Dzienniku*. Dołączyły się do tego wypadki krajowe, które podówczas nastąpiły, i uwagę publiczną odwróciły na jakiś czas od literatury. Wszystko to bardzo niepomysłnie wpłynęło na losy *Dziennika*. Liczba czytelników tak się zmniejszyła iż bez energicznej reformy w samejże redakcyi dalsze wydawnictwo niemal stało się niepodobieństwem. Redaktor z wydawcą przemysłiwali nad środkami tej reformy. Bielowski zgadzał się na zatrzymanie nadal głównego kierownictwa redakcyi, jedynie pod warunkiem, jeżeli będzie miał zastępcę czyli wyręczy-

ciela, któryby się zajął prowadzeniem zarówno technicznej, jak literackiej strony pisma, mianowicie staraniem się o artykuły i zawiązywaniem stosunków współpracowniczych, czemu Bielowski oddać się wyłącznie nie mógł. Skutkiem tego umówił się Kulezycki o objęcie w powyższych warunkach spółredakcyi *Dziennika Mód* z Janem Dobrzańskim, który swą ruchliwością i uzdolnieniem zdawał się najodpowiedniejszy temu zadaniu.

Dobrzański kształcił się staraniem marszałka Wasilewskiego, deputata Stanów, jednego z najświetlejszych i najzaćmiejszych obywateli galicyjskich. Kilku zamożnych właścicieli dóbr interesujących się sprawami pożytku krajowego, jak ksiązę Leon Sapieha, Adam Zamojski, Józef hr. Dzieduszycki, postanowiło było zwracać uwagę na zdolniejszą młodzież uboższej szlachty i włościan, i dopomagać wybranym do wyższego kształcenia się w szkołach. Była to myśl szlachetna, której doniosłość da się dopiero należycie ocenić zwążywszy niedostatek szkół w ogóle i położenie ówczesne ludności ubogiej, pozbawionej wszelkich środków pomocy naukowej z funduszów publicznych. Marszałek Wasilewski był jednym z pierwszych myśli tej inicjatorem i wykonawcą. Dojrzał on w młodym Dobrzańskim zdolności, które mogły się pomyślnie rozwinąć, posyłał go do szkół, polubił z czasem coraz bardziej, a gdy młodzieniec istotnie piękne okazywał talenta, używał go za sekretarza i pod własnym kształcił okiem, aby nauki szkolne uzupełnić wykształceniem literackim. Dobrzański chodził do szkół w Przemyślu. Oddawał się głównie naukom filozoficznym i estetyce. Miał zamiar składać doktorat z filozofii. Ale nie przyszło do tego, gdyż za nadto ruchliwa z natury organizacya umysłowa nie dozwoliła mu oddać się naukom ścisłym, pomimo że zgodnie z myślą swego dobroczyńcy i opiekuna czas jakiś w tym kierunku się kształcił. Onego czasu odnosił się nawet w tym przedmiocie listownie do Wincentego Pola, który wówczas można powiedzieć był tem słońcem literatury w Galicyi, około którego wszystko się obracało, i do którego wszystko się odnosiło po wskazówki, rady lub wyrok w rzeczy literackiej. Serdecznym listem odpowiedział Pol na wezwanie, ojcowskie młodzieńcowi rady z przyjazną podając życzliwością, co do kierunków i środków w obranym zawodzie naukowym. Piękny ten list Pola znajduje się wydrukowany później w *Rozmaitościach* lwowskich. Doradzał w nim Dobrzańskiemu studyowanie dzieł Platona, w braku znajomości języka greckiego, w niemieckim przekładzie Szlejermachera, tudzież poznanie się z Sebastyana Petrycego przekładem dzieł Arystotelesowych. Wszystkie te wszelako rady,

zyczenia i zamiary nie nie pomogły w obec odmiennego usposobienia wrodzonego. Nikt nie ujdzie swego powołania, którego zaród przynosi z sobą w świat wchodząc. Dobrzański nie urodził się na uczonego, ale za to te właśnie przymioty, które nie dozwoliły mu zasiąść w świątyni Minerwy, uczyniły go najruchliwszym i najzdolniejszym w Galicyi redaktorem. Umieć zawsze przeczuć smak czytającej publiki, odgadnąć instynktownie kiedy jej czego potrzeba, co w danej chwili jest poczytne i pożądane, i zawsze się zręcznie według tego w prowadzeniu pisma zakierować, potrafić pociągnąć ku sobie młodsze zwłaszcza talenta, pożyteczne dziennikowi, nie żałować ku temu ani nóg, ani głowy, przeczuć artykuł nie tylko już w tece, ale nawet dopiero jeszcze w głowie autora się znajdujący i porwać go ztamtąd dla swego pisma, oto sposoby i przymioty, któremi się odznaczał jego talent redaktorski. Niesłychaną swą zapobiegliwością cudów dokazywał, tem trudniejszych do wykonania, że współpracownicy z małym wyjątkiem nigdy go się długo nie trzymali, lecz zawsze umiał sobie dać rady i dawnych nową falangą zastąpić, przez co wydobywały się nieraz na wierzeh niespodziewanie istotne talenta z tej wiecznie ruchomej fali współpracowników, spływającej w jego redakcyę. Dobrzański utorował w Galicyi drogę dziennikarstwu, przyzwyczaił ją do dziennikarskiego pokarmu, i tak wszechwładnie zapanował był na tem polu, że przez długi czas dziennik czy gazeta założona we Lwowie bez jego uczestnictwa i nie pod jego redakcyą wychodząca, nie miała żadnego powodzenia i upadała po krótkim istnieniu. Po raz pierwszy wszechwładztwo Dobrzańskiego na polu dziennikarstwa galicyjskiego zachwiane zostało gdy w r. 1858 Dzierzkowski założył *Przegląd powszechny*, gazetę polityczną, która pomimo zacietej z tego powodu walki Dobrzańskiego z Dzierzkowskim, nie tylko się utrzymała, ale i świetne miała czasy.

Pierwsze plody literackie pióra Dobrzańskiego pojawiły się w *Dzienniku mód paryskich*, zaraz w początkach jego istnienia. Wierszyki były udatne, rozprawki estetyczne znamionowały talent na niemieckich kształcony autorach. Dobrzański pisał w *Gazecie Lwowskiej* stale recenzye teatralne. Później zajmował się czas jakiś krótki redagowaniem *Rozmaitości*, pod naczelnym kierunkiem J. N. Kamińskiego, który rad był że dostał młodego i energicznego wyścizciela. Wnet jednak Dobrzański wyjechał na kilka lat na wieś, otrzymawszy posadę nauczyciela domowego.

Gdy wrócił do Lwowa, była to właśnie chwila, w której wydawca i redaktor *Dziennika mód paryskich*, Bielowski z Kul-

czyckim, widząc konieczną potrzebę zreorganizowania pisma, oglądali się za pomocą sił młodszych. Nadarzył się Dobrzański. Niepodobna było pomyślniejszego uczynić wyboru. Umówiwszy się z Kulczyckim na tantjemę od liczby nowo przybywających abonentów, objął spółredakcyę *Dziennika* i rzucił się z całą gorliwością młodzieńczą a zapobiegliwością wrodzoną do ożywienia i podniesienia pisma, do nadania mu rozgłosu i pozyskania jak najszerszego koła abonentów. Pogodził Dzierzkowskiego z Kulczyckim, a zjednawszy tym sposobem płodne i wielostronne pióro dla *Dziennika*, zapewnił już w znacznej części przyszłe jego powodzenie. Odtąd Dzierzkowski z Dobrzańskim przez lat dwanaście szli ręką w rękę, redagując wspólnie kolejną czasę *Dziennik mód paryskich*, później *Nowiny* i *Dziennik literacki*, dopóki założenie *Przeglądu powszechnego* spólności tej raz na zawsze nie rozerwało.

Z początkiem roku 1847 wzięli oni tedy w swe ręce prowadzenie *Dziennika mód* prawie wyłącznie, albowiem Bielowski tak dobrze jak wcale nie już się do tego nie mięszał, polegając na nowym spółredaktorze, a bardziej może jeszcze na wytrawnym piórze Dzierzkowskiego, zwłaszcza gdy się wkrótce przekonał o wielkiem powodzeniu *Dziennika* w nowej jego organizacyi, podskoczeniu mianowicie liczby abonujących prawie do tysiąca — rzecz przedtem niesłychana w Galicyi!

Dziennik mód od razu przez nową redakcyę zupełnie przeobrażony, stał się niemal zupełnie do dawniejszego niepodobny. Przedtem trzymał on się ściśle zakresu literackiego i artystycznego. Zaszły podówczas właśnie wielkie katastrofy krajowe, zwróciły uwagę powszechną od spraw literatury i sztuki do bardziej z życiem powszedniem związanych kwestyi administracyjnych, społecznych, ekonomicznych, w ogóle cywilizacyjnych. Burzą rozkołysane umysły przedstawiały chaos, miotany jakby morzem najsprzeczniejszych uczuć i żywiołów, przepojone goryczą upadały zwątpieniem, lub dyszały nienawiścią gangrenującą społeczeństwo. Ludzie myśli i słowa mieli tu rozległy roztaczający się przed nimi zakres działania. Nowi wydawcy *Dziennika mód*, który był wyrazem literatury w kraju, pojmowali literaturę nie w jej abstrakcyjnym znaczeniu, z czysto naukowego lub artystycznego punktu widzenia, lecz uważali ją jako powołaną do rozjaśnienia tego zamętu rozgoryczonych i błakających się po bezdrożu żywiołów; do wskazania im właściwych zadań i celów, do jasnego określenia zasad, mających stać się cementem społecznym i siłą przyszłości. Literatura miała być w ich ręku kompasem kierowniczym w dalszej żeglud-

dze — przywrócić należyłą równowagę społeczną, zrehabilitować jednych, zdrzeć maskę pozorów drugim i strącić z przywłaszczonego piedestału niezasłużonych. Z wytkniętym w ten sposób programem, bezbarwny dotąd *Dziennik mód paryskich* stał się w rękę nowej redakcyi pismem literackim tendencyjno-społecznem; pionierem zasad demokratycznych, bronionych zacięciem i krzewionych żarliwie w każdym wierszu i słowie, pod wszystkimi kształtami literatury, w powieści, poezyi, rozprawie, recenzyi literackiej i artystycznej. Inaugurowała tę dążność powieść Dzierzkowskiego *Salon i Ulica*, przedstawiająca położenie i nędzę niższych warstw społecznych, z zepsuciem wyższych w jaskrawych zestawione kontrastach. Autor skreślił w niej stosunki klas rzemieślniczych, proletaryatu miejskiego; w następnej, mniej wprawdzie udatnej pod względem artystycznym, ale w tym samym napisanej duchu, pod tytułem *Szpicerut honorowy* rozszerzył widownię treści, objął stosunki wiejskie. Prowadzona tym sposobem propaganda zasad demokratycznych pod płaszczykiem arcyzmu literackiego okazała się nadzwyczaj skuteczną pomimo krzyków, jakie tu i owdzie z przeciwnego obozu przeciw prowadzonej w ten sposób walce, mianowicie ze strony bliżej nią dotkniętych się odzywały. Ponieważ cała ta propaganda literacka prowadzona była z wielkim w ogóle talentem, ponieważ tendencya podawana w formie literackiej nie raziła kazuodziejską suchością lub pedanterią, ale wypływała sama przez się z artystycznie pojętej i przedstawionej treści przedmiotu, przeto pociągała mimowiednie umysły, wstrząsała uczuciem i wdrażała się w przekonania. Ujmowała zarazem urokiem formy i szlachetnością idei. Dzierzkowski *Salonem i Ulicą* stworzył nową erę w powieściarstwie galicyjskiem. Przeniósł powieść na pole kwestyi społecznych. *Salon i Ulicę* rozchwytywano z rąk do rąk i rozczytywano łakomie. Liczba czytelników *Dziennika mód* wzrosła niesłychanie. Nie wystarczało już teraz wydawać pismo co dni ezternaście. Zwiększające się z pomnożeniem prenumeratorów fundusze dziennika ułatwiły możność zadosyćczynienia objawiającej się zewsząd potrzebie częstszego wydawania. *Dziennik mód* zaczął wychodzić co tydzień w powiększonym formacie. Nieraz potrzeba było zamiast arkusza wydać półtora lub dwa, w miarę nagromadzonego zasobu pilniejszych artykułów. Dobrzański wprowadził wówczas po raz pierwszy w Galicyi w życie sposób upowszechnienia tanich książek za pomocą osobnych odbitek powieści z *Dziennika mód*. Ponieważ przy odbitkach tego rodzaju ubywał koszt osobnego składania i osobnego honorarium autorskiego, przeto książki tym sposobem

odbite można było sprzedawać po cenie stosunkowo niesłychanie niskiej, o jakiej dotąd publiczność czytająca nie posiadała wyobrażenia. Pierwszym takim odbitkiem w Galicyi była powieść Dzierzkowskiego *Salon i Ulica*. Sporej tej książki w formacie kieszonkowym sprzedano po „sorokowcu“ cały nakład z kilku tysięcy egzemplarzy w przeciągu kilku tygodni. Były to cuda jak na ówczesne stosunki literackie. Uderzającą nowością taniość książki znacznie się do tego przyczyniła. Następne powieści Dzierzkowskiego, nie tylko z *Dziennika mód paryskich*, ale i później z *Nowin* i z *Dziennika literackiego* w osobnych wydawane odbitkach, po niskiej cenie równie się dobrze rozchodziły, i wnet bywały wyczerpane. Może to być dobrą w ogóle wskazówką dla wydawców jak skutecznie niskość ceny przyczynia się do rozpowszechnienia książek.

Były to najświetniejsze czasy *Dziennika mód paryskich*, a można powiedzieć i najświetniejsze talentu Dzierzkowskiego. Sława jego autorska doszła do zenitu, pióro było potężne i natchnione. Wprawdzie bywał on, jak każdy pisarz tendencyjny z natury rzeczy być musi, w żarliwości obrony swych zasad stronnictwem. W powieści jego lud zawsze wyszlachetniony do ideału, biedny do rozpaczony i pokrzywdzony, a za to sfery arystokratyczne przejęte wszelkiem zepsuciem, zgangrenowane do obrzydliwości. Sąd to nie zawsze sprawiedliwy, podnoszący się z jednej strony do nienaturalnego optymizmu, z drugiej niesprawiedliwie pesymistyczny. Biorąc rzeczy chłodno, tak się one zapewne przedstawiają i z tego punktu łatwo krytyce w Achillesową ugodzić piętę. Ale w zapale walki czyż można się dziwić że walczący ostrej dobiera broni, aby zwyciężyć przeciwnika, i raz za razem bez miłosierdzia zadaje? Dzierzkowski zbyt może silnym obrazu swe nakładał kolorytem, zbyt rażących barw dobierał, zbyt jaskrawe kreślił kontrasty, ale chcąc działać skutecznie, chcąc aby malowidło jego pożądane wywarło wrażenie, czynić tak musiał. Powieści jego można w tym względzie porównać do wylewu rzeki, która aby użyźnić rozległe łąki, musi wprzód wezbrać i zerwać tamujące prąd jej przeszkody.

Z końcem roku 1846 przybył do Lwowa Wincenty Pol i stałe tutaj zamieszkał. Zakład im. Ossolińskich korzystając z tego, pozyskał go dla siebie i oddał mu redakcyę wydawanej dotąd przez dyrektora Zakładu Kłodzińskiego *Biblioteki*, gwałtownie potrzebującej reformy. Pod redakcyą dotychczasową *Biblioteka* była pismem bez życia, a pomimo starań redaktora aby zapełnić ją poważnym uczonym materiałem, była zbiorowiskiem artykułów niezajmujących tak dalece ani świata uczonego ani powszedniego. W ogóle mało

pono kto czytał *Bibliotekę*, a nikt się o nią nie troszczył. Gdy Pol objął redakcyę w ręku jego *Czasopismo* zmieniło tytuł, format, ducha, barwę, słowem przeobraziło się rdzennie. Pol zaczął je wydawać zeszytami miesięcznymi. Postanowił mu dać cechę bardziej literacką, uczynić wyrazem literatury bieżącej i nadać charakter bardziej urozmaicony. Obok rzeczy ściśle naukowych weszły tedy do programu *Czasopisma* powieść, poezya, krytyka literacka i artystyczna, słowem wszystko co stanowi obszar literatury i jest jej życia objawem. Wysokie literackie stanowisko Pola dawało rękojmię wartości *Czasopisma*, zjednało dlań od razu powszechną sympatyę i podniosło znaczenie. Pol postarał się o zapewnienie *Czasopismu* grona stałych współpracowników. Rozległe stosunki dozwalały mu zgromadzić w tym celu najznakomitsze miejscowe i zamiejscowe pióra. Z miejscowych do stałego współpracownictwa w *Czasopiśmie* należeli Szajnocha, Dzierzkowski i inni równocześni współpracownicy *Dziennika mód paryskich*. Między temi dwoma pismami nie było tedy nieprzyjaznego spótzawodnictwa, wzajemnej opozycyi, jak to najczęściej pomiędzy miejscowemi bywa pismami, a zwłaszcza we Lwowie zawsze później bywało i bywa. Tym razem obadwa pisma, mające po części tych samych głównych współpracowników, nie szły sobie w spak, miały jednak różną barwę, i odmienny cel główny. *Dziennik mód paryskich* był jak widzieliśmy pismem na wskroś tendencyjnym, *Czasopismo* Pola nie przesięgając zakresu literatury, nie miało innych zadań i celów, oprócz ściśle literackich, naukowych i artystycznych. Tego programu trzymali się współpracownicy piszący razem do *Dziennika mód* i do *Czasopisma*. W *Dzienniku* pisano energiczniej, dotyczyło kwestji bieżących pod rozmaitemi formami. W *Czasopiśmie* ciż sami autorowie nadawali swym artykułom cechę poważniejszą, trzymali się poziomu bardziej naukowego. W tym duchu zachęcał Pol młodszych pisarzy do opracowywania treści poważniejszych. Za jego pobudką zajął się studiami dziejów architektury, i umieścił w *Czasopiśmie* pierwszą swą obszerniejszą pracą *Historyę architektury egipskiej* Jan Zacharjasiewicz, obecnie obok Kraszewskiego i Jeża najpłodniejszy i najeelniejszy z powieściopisarzy spóczesnych. Zamierzył też Pol podnieść znaczenie nauk przyrodniczych, na które u nas przedtem za mało zwracano uwagi. Dawniejsze *Czasopismo* i *Biblioteka Zakładu* miały jak widzieliśmy przeważnie cechę historyczną, w którym to kierunku rozwijały się w ogóle wszystkie czynności Zakładu. Pol umieścił w swem *Czasopiśmie* obszerny artykuł o potrzebie założenia Muzeum przyrodniczego w Zakładzie Ossolińskich, podał

szczególony program takiego muzeum i nastawał gorąco na rozszerzenie w tym kierunku zakresu czynności Zakładu.

Z ożywieniem się literatury ożywiło się też bardzo życie towarzyskie w sferach literackich. Od dawna zbierało się na wieczory literackie co tydzień wyborowe grono intelligencji lwowskiej u marszałka Tadeusza Wasilewskiego. Uprzejmość uczonego i powszechnie dla wysokiej swej zaenoci poważanego gospodarza domu, tudzież jego córki, panny Felicyi, obecnie pani Boberskiej, autorki wielce zasłużonej w zawodzie pedagogicznym i właścicielki znanego we Lwowie Zakładu wychowawczego żeńskiego, uprzyjemniała nadzwyczaj owe zebrania literackie u pana marszałka i czyniła je przez lat kilka najmiłszem ogniskiem towarzystwa literackiego we Lwowie. Co wtorku bywały wieczory literackie u Kłodzińskiego, dyrektora zakładu im. Ossolińskich. Na wieczory te podobnie jak i u marszałka Wasilewskiego zbierało się także grono pań, ożywiających towarzystwo i dających mu cechę bardziej salonową i etykietalną, co nie przeszkadzało bynajmniej swobodzie wymiany myśli w najważniejszych nieraz kwestyach naukowych. I owszem dodawało to jeszcze zgromadzeniom tym owego uroku, jaki miewać zwykło zawsze towarzystwo wykształconego grona niewieściego. Rozmowa toczyła się tutaj zawsze w kole przedmiotów wyższego, ogólniejszego znaczenia. Omawiano na przemian najważniejsze kwestye literackie i publiczne. Kiełkowały rozmaite projekta, rozjaśniały się pojęcia, powstawały plany literackie, z których jedne rozwijały się później i urzeczywistniały, inne upadały niewykonane i zapomniane. Najnowsze dzieła i wydawnictwa stanowiły zazwyczaj główny przedmiot rozmowy. Na każdym prawie z tych wieczorów, zwłaszcza u Kłodzińskiego, czytał ktoś z obecnych jakiś nowy swój utwór, najczęściej przeznaczony do *Czasopisma* Zakładu, nad czem rozwijała się następnie dyskusya krytyczna, udzielano autorowi i sobie wzajem rozmaitych uwag, a rozmowa snowana z tego wątku przenosiła się następnie na najrozmaitsze pola i różne przedmioty. Na jednym z tych wieczorów czytał Maurycy Dzieduszycki najnowszy podówczas utwór nieobecnego we Lwowie Kornela Ujejskiego, pierwszy akt *Samsona*, przyjęty z uniesieniem przez całe zgromadzenie, a przeznaczony do umieszczenia w *Czasopiśmie* Zakładu.

We czwartki schodziliśmy się w męskim towarzystwie u Dzierzkowskiego. Dwa małe pokoiki, schludnie umeblowane, jednopiętrowego domku na Chorążczyźnie napełniały się wówczas licznem i gwarnem gronem. W trzecim pokoiku gospodyni domu zajęta

samowarem, krzątała się około herbaty i przyjęcia gości, mało zresztą uczestnicząc w rozmowie, którą za to sam gospodarz domu ożywiał błyskami dowcipu. Bywali na wieczorach tych u Dzierzkowskiego zawsze prawie Wincenty Pol i Leszek Borkowski, rzadko kiedy Szajnocha, gdyż oddany swym naukowym pracom mało się w ogóle udzielał towarzystwu, żyjąc prawie po pustelniczemu. Za to nie opuszczał ich nigdy Dobrzański, z obowiązku niejako redaktorskiego, ile że tutaj omawiały się zawsze sprawy *Dziennika* i rozprawiano nad umieszczonemi już lub umieścić się dopiero w nim mającemi artykułami. Przychodził też często Józef Kaz. Turowski, późniejszy wydawca *Biblioteki polskiej* i Mieczysław Darowski, interesujący się zawsze żywo sprawami publicznemi i literackimi, dzisiejszy prezes lwowskiego Stowarzyszenia rzemieślniczego „Gwiazda“. Mnie początkującemu na torze literackim młokosowi zjednała wstęp do tego poważnego grona napisana przed dwoma laty i wydana u Żupańskiego w Poznaniu powieść *Dwa światy*, na tle społecznem życia ludu wiejskiego osnuta, tudzież parę pomniejszych artykułików w *Dzienniku mód* i korespondencya z *Podola galicyjskiego* w *Oređowniku Naukowym*, gdzie istotny obraz galicyjskich stosunków społecznych, mianowicie położenie ludności wiejskiej wydatnemi starałem się przedstawić rysami.

Regularnym gościem na tych zebraniach bywał także Szczęsny Morawski, wydawca *Materiałów do Konfederacji Barskiej*, autor dzieła *O Sądeczyźnie* i humorysta piszący pod pseudonymem Arbuzowskiego. Wówczas jednak zajmował on się głównie jeszcze malarstwem i pielęgnował więcej pędzel niż pióro, oddany malarstwu historycznemu, za główny swój zawód uważając nie literaturę, lecz sztukę. Malował wówczas duży bardzo obraz mający przedstawić *Spotkanie Zebrzydowskiego z Zygmuntem III*. Obraz był tak wielkiego rozmiaru, iż zajmował całą izdebkę, nie zbyt co prawda wielką, od podłogi do sufitu, od drzwi wchodowych do okna, wzdłuż całego pomieszkania. W takich warunkach trudno było o światło stosowne i inne dogodności, które w tym razie zastąpić musiała gorliwość i natechnienie artystyczne. Jakoż pracował bardzo gorliwie i techniczne akcesorya z wielką archeologiczną sumiennością wykończał. Kompozycyę składały, rzecz naturalna, dwie grupy, jedna przedstawiała poczt królewski konny z królem na czele, druga Zebrzydowskiego z poczem pieszym. Malarz umieścił w obu orszakach różnych swoich znajomych, z natury portretowanych, tak iż znalazło się na tem płótnie pomieszczone całe gronko lwowskich literatów. Leszek Borkowski w szyszaku i kołczudze, Bielowski i

inni w pancerzach i zbrojach. Wszyscy wyglądali marsowo, po rycku, w postawie odpowiedniej uroczystości chwili i duchowi zesłowiecznego obyczaju. Morawski umiał dobrze oddawać charakter portretowanych osób, uwydatnić rysy stanowiące główną cechę oblicza i postawy, portretował wyraziście — czy jednak skończył swój obraz historyczny, nie wiem. Kiedy go widziałem, był on w wielu miejscach zaledwo podmalowany; niektóre postacie były dopiero węglem na płótnie naszkicowane. Prawdopodobnie został nieukończony, gdyż nigdy później o nim nie słyszałem.

Morawski był gadułą — proszę nie przywiązywać do tego słowa złego znaczenia. Kiedy wpadł na opowiadania, nie było już temu końca, ni miary. Chcąc nie chcąc służyć było potrzeba koniecznie. Posiadał dużo ciekawych wiadomości, zwiedził wiele okolic, studyował obyczaje, zwyczaje i wyobrażenia miejscowe, miał nieprzebrany zapas szczegółów charakterystycznych, etnograficznych, historycznych i archeologicznych, mało komu wiadomych lub wcale nieznanym, które opowiadał z lubością i zamiłowaniem. Ale opowiadanie jego, niezmiernie nieraz ciekawe pod względem treści, bywało rozwlekłe i nużyło obecnych. Najpilniejszym jego słuchaczem bywał Leszek Borkowski, zawsze z półironicznym uśmiechem na ustach, świdrujący mowę badawczym wzrokiem, jakby chcąc wyciągnąć essencję opowieści studyował zarazem opowieść i opowiadającego. Gawędziarstwo Morawskiego nie miało tego uroku małowniczności i nowości, jakim odznaczały się niezrównane gawędy Pola, lub w gadulstwo aż przechodząca, ale pomimo tego zawsze zajmująca i ożywiona swada Ksawerego Godebskiego.

Gdy cokolwiek liczniejsze zebrało się towarzystwo, dzieliło się zazwyczaj z konieczności na dwie grupy, nie mogąc się pomieścić w jednym pokoju szupłego pomieszczenia. W takim razie zazwyczaj jedno grono otaczało Leszka Borkowskiego, lub gospodarza domu, umiającego zawsze ożywić i urozmaicić rozmowę; drugie grono grupowało się około Wincentego Pola. Działo się to mimowiednie, przypadkowo, bez żadnego z góry obmyślanego zamiaru i przymusu towarzyskiego, każdy szedł za tem, jak go w którą stronę pociągały bardziej sympatye osobiste lub treść rozmowy i nikt na to nie zwracał uwagi, a przecież rysowały się w tem nieświadomie odcienia pewnych zdań i usposobień odmiennych, przy spólności zasadniczych przekonań.

Z wiosną roku 1847 przyjechał Liszt do Lwowa. Na wieczorze u Dzierzkowskiego podniesiono pytanie, jak się w obec jego przyjazdu mają zachować literaci lwowscy; czyli przyjąć go uro-

czyście jak pierwszego w Europie reprezentanta sztuki, czyli wcale się nim nie zajmować? Większość zdań oświadczyła się za pierwszym; to jest za powitaniem i przyjęciem uroczystem w imieniu grona literackiego. Chciano skorzystać z tej sposobności, nader rzadko w owych stosunkach przy zupełnym braku życia publicznego się zdarzającej, chciano mówić skorzystać z tej sposobności aby objawić istnienie życia literackiego we Lwowie, okazać że literaci lwowscy umieją wysoko cenić sztukę i uszanować artystę, że literatura rozwija się tu wszechstronnie, śledzi wszystkie pokrewne sobie kierunki ducha cywilizacyjnego, czy to na polu umiejętności, czy sztuki. Miał to być tedy niejako hołd literatury oddany sztuce, przez uczczenie jednego z najznakomitszych jej współczesnych przedstawicieli.

W tej myśli tedy postanowiono aby oba pisma miejscowe podały w obszerniejszym artykule doniesienie o przybyciu Liszta do Lwowa i o jego stanowisku artystycznym na polu muzyki. Tym sposobem miała być publiczność objaśniona co do znaczenia, jakie chciano nadać uroczystemu przez literatów przyjęciu Liszta we Lwowie. Zarazem poruczono Polowi i Dzierzkowskiemu, jako dwom przedstawicielom prasy miejscowej, aby nazajutrz udali się z powitaniem do Liszta i zaprosili go na obiad składkowy na cześć jego w gronie literatów i artystów w przyszłą niedzielę.

Skutkiem tego postanowienia w najbliższym numerze *Dziennika Młod* pojawił się w powyżej wymienionym duchu napisany przez Dzierzkowskiego artykuł „Liszt we Lwowie“, objad zaś składkowy odbył się wedle programu w ogrodzie hotelu Żorża.

Pogoda służyła — zastawiono stoły w alei pod owocowemi drzewami, otoczonej szpalerami rozkwitłych róż i bzów. O godzinie czwartej zajęło miejsce przy stole grono z czterdziestu osób, samych literatów i artystów, złożone. Towarzystwo było dobrane. Obok Liszta zasiadł Dzierzkowski, aby mu służyć za tłumacza ogólnej rozmowy, toczącej się po polsku. Pierwszy toast na cześć Liszta wniósł Adam Zamojski — rzecz naturalna że wierszem, bo już to była jego słabość aby skorzystać z każdej sposobności pofolgowania swej wierszomanii. Tym razem toast udał się i powszechnym przyjęty został oklaskiem. Był następujący :

W Polsce jest zwyczaj od wieka
Nad mistrza cenić człowieka...
A więc dawnym obyczajem
Z obu względów cześć Ci dajem!

Dalej wznoszono toasty na cześć literatury i literatów, poezyi i poetów, artystów i różnych znakomitości nieobecnych — słowem toasty szły gęsto, rozmowa coraz bardziej się ożywiała, usposobienie było coraz weselsze, sztywność etykietałna znikła zupełnie, żarty i dowcipy sypały się bez końca, wreszcie całe towarzystwo w toku żartobliwej a ożywionej rozmowy, wychwalając przymioty wina, potępiło jednogłośnie wodę, jako żywioł bezbarwny, będący źródłem wszelkiej melancholii w świecie. Wówczas Liszt oświadczywszy że nie pojmuje jak taki żywioł może się znajdować w tak doborowem uczonych ludzi towarzystwie, wylał własnoręcznie na ziemię z okrzykiem: *A bas l' eau!* wszystką wodę ze stołu, a służba zastąpiła ją szampanem.

Po obiedzie towarzystwo, podzielone na grupy, spędziło czas na rozmowie i przechadzce po ogródku. Wyszliśmy ztamtąd już szarym mrokiem, gdy pierwsze gwiazdy wieczorne zaśrebrzyły na niebie.

Na wtorek zaprosił Liszta Kłodziński na wieczór do zakładu Ossolińskich. Nie był to już zwykły wtorkowy wieczór literacki w pomieszkaniu dyrektora, ale uroczyste przyjęcie w dużej obrazowej sali zakładu. Wzdłuż sali zastawione były wytwornie stoły do herbaty. Znajdował się tu także fortepian, skromnie wyczekujący na uboczu czy nie zechce nań rzucić łaskawem okiem gość spodziewany? Zebrało się około stu zaproszonych osób, pań i mężczyzn. Chociaż towarzystwo było także przeważnie z literatów i artystów złożone, nie było wyłącznie literackiem i liczyło w swem gronie różne znakomitości śmietanki towarzyskiej, mającej z jakiegokolwiek względu prawo wstępu w koło wyższej inteligencji. Liszt przybył późno — dopiero około godziny dziesiątej, gdyż go zatrzymano na jakimś obiedzie proszonym, a później na przejażdżce po Wysokim Zamku. Przez cały wieczór był w usposobieniu poważnem, uroczystem. Będąc tutaj gościem pierwszej instytucji naukowej w kraju, chciał się do tego zastosować całym swem obejściem i przybrał nastrój odpowiedni. Sprowadzał ciągle rozmowę na pole literatury i sztuki, postanowił być artystą *par excellence*, okazać znawstwo i erudycję właściwą w gronie, które go otaczało.

Z wielkiem zajęciem oglądał obrazy na ścianach sali rozwieszane, zwłaszcza portrety osób historycznych, prosząc o wytłomaczenie niektórych szczegółów, co znów przeplatał własnymi uwagami. Rozpytywał się o stosunki naukowe zakładu i w ogóle z wielkiem współczuciem mówił o sprawach krajowych. Gdy mu odczytano wiersz na cześć jego umyślnie na tę uroczystość napi-

sany po polsku i w przekładzie francuskim, zbliżył się do fortepianu i po krótkiej przyprawce zaczął improwizować.

Obecni otoczyli fortepian w najgłębszej ciszy, wśród której rozlegały się tylko cudnie harmonijne tony owej improwizowanej opowieści, najprzód pełne rzewnej melancholii, wypowiadające jakby najgłębsze sere boleści, przechodzące później przez najburzliwsze i najfantastyczniejsze akordy, a zakończone powszechnie znanym marszem.

— Czy zrozumiałem was? zapytał otaczających odrywając ręce od klawiszów, gdy ostatni ton tryumfalnego hymnu przebrzmiał.

Uniesienie obecnych nie miało granic. Oklaski i podziękowania posypały się ze wszech stron. W tej chwili kustosz zakładu, Szlachtowski, podał Lisztowi album zakładowe, w które ten wpisał swe imię, biorąc to za znak ukończenia wieczoru i hasło wyjścia, pożegnał towarzystwo i opuścił salę. Po jego odejściu zarzucono Szlachtowskiego wymówkami że za wcześnie wystąpił z tem albumem i przerwał wieczór w najlepszej chwili.

Towarzystwo jednak nie rozeszło się, pomimo oddalenia się gościa i zabawa trwała jeszcze parę godzin. Resztę wieczoru zajęła poezya. Proszono Pola aby deklamował co z swoich najnowszych utworów. Usilnym prośbom grona niewieściego dawszy się nakłonić, wypowiedział poeta jeden z swych wdzięcznych obrazków tatrzańskich. Pobudzony entuzjazmem powszechnym Adam Zamojski, wielki wielbiciel Pola i Kamińskiego, deklamował inny nieznan dotąd wiersz Pola, a następnie filozoficzny jakiś wiersz Kamińskiego. Pamięć wszakże mu nie służyła, deklamacya więc rwała się i nie wiodła. Przerywał, poprawiał się i na nowo zaczynał. Naprawdę Kamiński, ustawiwszy się za nim, podpowiadał jak mógł — deklamacya poszła fatalnie a wiersz żadnego naturalnie nie uczynił wrażenia. Przeciwnie jakby zimną wodą wszystkich niemile skropił po deklamacyi Polowskiej. Biedny Kamiński! Co się z nim wówczas nie działo! Kilka razy przerywał chcąc skłonić do zaprzestania deklamacyi. Był to już wówczas starzec, skołatany życiem i cierpieniami, podobny do ruiny, w której trudno było dopatrzeć śladów nawet dawnej energii i potęgi myśli.

Było już o drugiej z północy gdyśmy w gronie ośmiu czy dziesięciu bliższych znajomych wyszli z sali zakładu. Noc była wiosenna, przepyszna! Ranek się zbliżał. Wszyscy byli ożywieni, nikt nie uczuł potrzeby spoczynku. Zaproponowano przechadzkę na Wysoki Zamek, aby oglądać wschód słońca, wspaniale ztamtąd się

przedstawiający. Naturalnie że gdzie się znajdują poeci i artyści, propozycya taka musi być przyjęta ochoczo, więc gwarnie ruszyliśmy naprzód. Gdyśmy przechodzili ulicą szeroką po pod okna pomieszkania Przyłęckiego, otworzyło się okienko pierwszego piętra i głosik niewieści zawołał:

— Stasiu!

Był to głos pani P., której mąż był w naszym towarzystwie. Posłuszny małżonek wymknął się z pomiędzy nas i zapewniwszy że zaraz powróci, wśliznął się w bramę kamienicy — ale nie wrócił. Ta dezercya braci literackiej kosztowała go potem wiele. Przez długi czas musiał znosić niemiłosierne żarty ze swej małżeńskiej uległości. Szczególniej dał mu się w znaki Dzierzkowski.

Nie przyjemniejszego nad ową przechadzkę po Wysokim Zamku w ciepłej a wonnej nocy wiosennej. Dobrą jeszcze przynajmniej godzinę przechadzaliśmy się wśród alei i bujnych klombów zalanych rosą poranną, nim pierwsze brzaski dnia zabielały na widnokręgu. Oglądaliśmy tymczasem kamienne lwy, tarcze herbowe i inne staroświeckie rzeźby, ze starej zwalonej wieży ratuszowej miejskiej tutaj przeniesione, częścią wmurowane w grotę nad studnią, częścią porzucone po krzakach.

Pol objaśniał ich znaczenie heraldyczne, jakoteż charakterystykę ornamentyki architektonicznej starożytnej. Słup pręgierzowy, przedstawiający figurę z zawiązanymi oczyma, jako symbol sprawiedliwości, sprowadził rozmowę na pole wspomnień historycznych. Wkrótce przepyszny widok wschodu słońca zwrócił wszystkich oczy ku sobie. Nasyciwszy się jego wspaniałością, pod wpływem najmilszych wrażeń i wesołego humoru, acz dobrze znużeni całonocnem czuwaniem, zwróciliśmy się z powrotem ku miastu, które jeszcze spało w najlepsze snem błogosławionych.

Nie mogę przenieść na sobie aby nie przytoczyć w tem miejscu komicznej sceny, malującej wesołość usposobienia naszego w tej chwili. Żartowano z Dzierzkowskiego, najotyłszego z nas wszystkich, który z budowy był nieco do słonia podobny, co mu w poufnem naszym kółku przydomek grubasa zjednało, żartowano żeń mówię, że znużony nie będzie w stanie swemi własnymi piedestałami dotoczyć się do domu. Odcinał się jak mógł atakowany w ten sposób Dzierzkowski, wreszcie zaproponował wyścig o zakład dla przekonania że pomimo swej herkuleicznej budowy żwawszy jest i bardziej rący od tych, co się żeń natrzęsają.

Propozycya się podobała. Pol i Szajnocha przyjęli zakład. Metę oznaczono od podnóża góry zamkowej do arcybiskupiego pa-

łać, i — o! dziwo! Czy uwierzycie? Rzecz zapewne po raz pierwszy i jedyny w świecie widziana — trzech najpoważniejsi mężowie w kraju, kierownicy opinii publicznej, reprezentanci poezyi, literatury i nauki, w serdecznej żakowskiej pustocie, przeganiają się o lepsze, jak proste młodzieniaszki, pozostawiwszy po za sobą pedantyzm i pruderyę uczoności. Wniosek Dzierzkowskiego stał się szatanem kusicielem, a jak proste i szlachetne musiały być dusze, co się dały uwieść pokusie tej serdecznej wesołości! Dzierzkowski wygrał zakład. Spółzawodnicy pogubili się po drodze. Przy pałacu areybiskupim pożegnaliśmy się i każdy poważnie poszedł swoją drogą, jedni na spoczynek, inni wprost do pracy codziennej.

Koncerta Liszta były prawdziwą ucztą artystyczną dla Lwowa. Kółko nasze literackie zbierało się po każdym koncercie na wieczór i pogadankę. Należał zawsze do tych pokoncertowych zebrań August Wysocki, zapalony miłośnik muzyki, który żadnego nie opuścił koncertu; należeli dwaj młodzi artyści malarze, rozpoczynający wówczas swój zawód artystyczny, Kossak i Raczyński, tudzież lekarz dr. Jankowski, który zwiedziwszy w celach lekarsko-naukowych wszystkie pięć części świata, powrócił był właśnie z wieloletniej swej podróży do Lwowa, i z tego powodu wielkiej tu zrazu doznawał wziętości.

Wrażenia koncertowe rozmaicie usposabiały obecnych w tem gronie. Dzierzkowski stawał się tem bardziej mowny i ożywiony im silniejsze wrażenie muzyka nań wywarła. Pol przeciwnie bywał zadumany i melancholijny. Powzięto zamiar ofiarowania Lisztowi literacko-artystycznego albumu na pamiątkę jego pobytu we Lwowie. Album miało się składać z utworów wszystkich lwowskich literatów i artystów. Każdy literat miał się tam wpisać wierszem lub prozą, artyści malarze dać rysunki lub akwarele, muzycy swe kompozycye muzykalne. Zebraniem i ułożeniem albumu miał się zająć Pol, lecz wkrótce potem zachorował. Rzecz się odwlokła i nie przyszło do jej wykonania...

Około tegoż samego jakoś czasu urządzono wystawę obrazów w zakładzie im. Ossolińskich. Wystawa obrazów była we Lwowie czemś osobliwem. Lwów posiadający Towarzystwo muzyczne, nie posiadał ani szkoły malarskiej, ani Towarzystwa, któreby się zajmowało tą gałęzią sztuk pięknych, pozostawioną prywatnym usiłowaniom kilku osamotnionych na torze artystycznym starszych i młodszych malarzy, zmuszonych w portretowaniu szukać utrzymania z uszczerbkiem szerszej pracy artystycznej. Szczęśliwa garstka miłośników, często raczej z mody niż z istotnego zamiłowania opie-

kujących się sztuką, poprzestawała co najwięcej na zamówieniu portretów familijnych. Kto chciał kupić większy obraz dla udekorowania salonu, sprowadzał go z zagranicy, chociażby tylko jaką kopię podejrzaną wartości; bo wówczas bardzo jeszcze, niestety! zakorzeniony był przesąd, zwłaszcza u klas zamożniejszych, że wszystko co cudzoziemskie już przez to samo lepsze od swojego. W takim stanie rzeczy któż miał zajmować się urządzeniem wystaw i z kąd je było zasilać przy szczupłej liczbie artystów, oddających się malarstwu, i ubóstwie ich pracowni? Nie mieliśmy jeszcze Matejki i Rodakowskiego. Nikt nie przeczuwał nawet jak świetne zbliża się jutro.

Nie pamiętam już dzisiaj kto się właściwie zajmował urządzeniem wystawy, o której mowa, i na jaki cel dochód z niej był przeznaczony. Wypadła ona daleko lepiej niż się można było spodziewać. Zebrano po domach prywatnych wszystkie lepsze obrazy, jakie tylko gdzie były i znalazło się ich sporo. Wydobyto na jaw rzeczy cenne i znakomite, o których przedtem mało kto słyszał i wiedział. Galerya zakładu im. Ossolińskich znakomicie się też do pomnożenia tej liczby przyczyniła. Słowem wystawa była jak na Lwów dosyć bogata i obudziła powszechne zajęcie. Przyczyniła się do tego prasa miejscowa, korzystając z tej sposobności aby podnieść cywilizacyjne znaczenie sztuki i rozwijać poczucie estetyczne, uszlachetniające ducha i tak blisko literackim pokrewne zamiłowaniom.

Wystawa zajmowała całe poprzeczne lewe skrzydło gmachu Ossolińskich. Na piętrze umieszczono obrazy mistrzów zagranicznych, zaś w dużej sali zakładu na dole były same obrazy malarzy polskich. Oddział ten najwięcej zajmował uwagę powszechną i pisma miejscowe w sprawozdaniach o wystawie najszerzej się o nim rozpisywały, zwłaszcza że w liczbie znajdujących się tu obrazów było najwięcej pędła artystów miejscowych młodych, rozpoczynających dopiero zawód malarski, a już świetne rokujących nadzieje. Chciwie wypatrywano w ich dziełach zarodków przyszłości, podnoszono zalety, z których przebiegał promień natchnienia i talentu, pobłażano niedostatkom. Życzliwość powszechna otaczała prace młodych artystów. Znaleźli oni obfite źródło zachęty i uznania; mieli sposobność usłyszeć głos krytyki, połączony z niejedną pożyteczną wskazówką. Sprawozdanie o wystawie pisał Dzierżkowski posiadający dosyć znajomości sztuki i smak wykształcony. Szczęsny Morawski podjął się jako malarz napisać ocenienie obrazów pod względem techniki malarskiej. Sprawozdanie to umieścił Pol w *Czasopiśmie* zakładu.

Lwów posiadał wówczas dwóch starszych malarzy: Maszkowskiego, nauczyciela rysunków w szkole realnej, i Aloizego Rajchana, mającego sławę najlepszego we Lwowie portrecisty, zajmującego się wyłącznie prawie malowaniem portretów. Maszkowski kształcił się na malarza historycznego. Za młodu spędził lat kilka w Rzymie pilnie studiując mistrzów włoskich, i tak umiał się wgłębić w ich ducha, mianowicie w tajemnice kolorytu każdemu z nich właściwego, iż był swego czasu wybornym kopistą. Kopie jego we Włoszech robione, zbliżały się w takim stopniu do doskonałości oryginałów, iż zwróciły szczególniejszą uwagę znawców na młodego artystę i dozwalały wiele sobie po nim obiecywać na przyszłość. Ale w porze naszej wystawy Maszkowski był już stary. Koloryt jego stracił wiele z swych dawnych przymiotów. Na wystawie znajdował się jeden jego większy obraz historyczny, przedstawiający *Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa*, i cztery małego rozmiaru obrazki rodzajowe staropolskie. Jeden z nich przedstawiał sędziwą parę małżeńską, grającą maryasza, drugi oświadczyńny młodzieńca o rękę panny, trzeci księdza proboszcza w gościnie w szlacheckim dworku kawę pijącego. Obrazki te bardzo chwalono z powodu wybornej charakterystyki typowych postaci, tak różnych od społeczeństwa dzisiejszego, które artysta po części sam jeszcze z lat swych dzieciennych zapamiętał, i z pamięci jakby wprost z natury przeniósł na płótno.

Zupełnie inny był sposób malowania Rajchana. Chodziło mu głównie o koloryt, o harmonję barw i łagodność rysunku, co zwłaszcza objawiało się w jego portretach kobiecych. Podobieństwo umiał oddawać bardzo dobrze. Malowane przezeń portrety Wincetego Pola, Karola Lipińskiego i wielu innych znakomitości społecznych, odznaczały się uderzającym podobieństwem charakteru każdej fizygnomii. Ale najlepiej lubiły się portretować u Rajchana kobiety, albowiem każda na jego portrecie musiała być piękną, tak starannie każdą głowę kobiecą upiększał i wygładzał, dobierając jak najłagodniejszych tonów i barw najwdzięczniejszych. Portretom jego, zwłaszcza kobiecym, nie dostawało wykończenia szczegółów. nadających obrazowi piętno natury i życia, anatomia rysunku gubiła się pod wymuskaną powierzchownością płci różowej, tak iż obraz bardzo wdzięcznie wyglądający z pozoru, często wiele do życzenia pozostawiał dla oka znawcy. Rajchan oprócz portretów dał na wystawę obrazek rodzajowy, przedstawiający wiejską dziewczynę u studni z konewką, z której podaje napić się wody parobczakowi. Sielska to grupa jakby z natury zdjęta miała wiele typowej prawdy

i prostoty. Parobczak był rzeski, dziewczyna trochę zadumana. Tkwiał w tem cały romans — może tragedia. Obrazek był piękny swą prostotą. W całym traktowaniu znać w nim było rękę wytrawnego artysty. Krytyka przyjęła ten obraz nadzwyczaj sympatycznie. Wiele o nim mówiono i pisano, widząc w nim zapowiedź rozszerzenia dotychczasowego zakresu artystycznej działalności Rajchana. Sądzono że po tej szczęśliwej próbie Rajchan w tym kierunku pracować będzie dalej, wszedłszy raz na pole kompozycji rodzajowych. Zachęcano go do tego ze wszech stron. Dobre przyjęcie pochlebiali artyście i zdawało się że pożądaný odniesie skutek. Z tem wszystkiem Rajchan nie zmienił kierunku i został przy portretach. Oddawał się także malarstwu religijnemu. W kilku kościołach galicyjskich znajdują się jego pędla wielkie obrazy ołtarzowe. Potrzeba chleba powszedniego często, niestety! ważną rolę w życiu artysty i wpływa na kierunek jego pracy.

Miał Lwów wybornego pejzażystę Langa, który już wszakże nie żył podczas niniejszej wystawy. Pozostawił on wiele obrazów, pomiędzy któremi wiele widoków okolic Lwowa zdejmowanych z natury. Lang znał doskonale perspektywę i miał właściwy swój koloryt, po którym każdy jego obraz na pierwszy rzut oka się poznawało. Widoki jego opływała szaroprzejrzysta atmosfera, w której wszystkie barwy spływały w harmonię odpowiedną naturze krajobrazu i bardzo dobre czyniły wrażenie. Na wystawie znajdowało się kilka jego krajobrazów wielkiego rozmiaru, a znawcy wysoko je cenili.

Najwięcej uwagi zwracały na siebie prace trzech młodych artystów Szlegla, Raczyńskiego i Kossaka. Wszyscy trzej rozpoczęli dopiero zawód artystyczny. Nie pomnę już dzisiaj dokładnie, co który z nich dał na wystawę — wiem tylko że były to po większej części portrety i postacie typowe; w każdym z tych obrazów przebłyskiwały promienie talentu i pracy podążającej do ideałów sztuki w wytrwałem a zwycięskim łamaniu się z trudnościami technicznymi. Najwięcej obiecywano sobie wówczas po Szleglu. Powrócił on był właśnie z artystycznej podróży po Wschodzie, z zasobem wrażeń, budzących uniesienie w poetycznej duszy młodzieńca i ze wspomnieniami oglądanych świeżo po galeryach i muzeach stolic europejskich dzieł wielkich mistrzów, w których z zapalem młodzieńczym studiował tajemnice twórczości jenjuszów. Szlegel był niezawodnie wówczas przynajmniej poetą. Posiadał w głębi duszy ów płomyk Prometeuszowy, mało komu dany, a stanowiący cechę talentów wyższego rzędu. Znać to było w jego

opisach podróży, w jego rozprawach o sztuce i innych artykułach literackich, nacechowanych poetyczną oryginalnością poglądu i ciepłem uczucia. Gdyby Szlegel zamiast pęzła był się jał pióra, byłby może znakomitym został pisarzem. Jako malarz nie spełnił rokowanych nadziei. Z czasem zgasła iskra poezyi. Zdmuchnął ją realizm życia. W jego obrazach postępu znać nie było; chociaż malował dużo, ale pospiesznie. Między innymi pozostawił cały szereg obrazów olejnych stanowiących ilustrację scen z *Pana Tadeusza*. Zajmował się malowaniem obrazów historyczno rodzajowych, ale daru kompozycyi nie posiadał a błędy kolorytu i rysunku były rażące. Umarł pełen rozczarowania i goryczy, uskarżając się na brak uznania, a przypisując to zawiściom stronnicych. Przeciwnie młodszy znacznie od Szlegla Kossak w kilkanaście lat potem znakomite zajął w świecie artystycznym stanowisko, a dzieła jego na wystawach powszechnych paryskiej i wiedeńskiej pozyskały znawców europejskich uznanie.

Takie było podówczas życie literackie i rozwój sztuki we Lwowie. Mniemam że powyższemi kilku rysami wypadło uzupełnić obraz literatury. Rok 1848 zmienił to wszystko. Ze zmianą stosunków politycznych i społecznych zmienił się zupełnie bieg życia umysłowego i dawniejszy stan literatury. Nowe zmiany wywołały nowe kierunki i nowych ludzi na arenę literacką, a wszechstronniejsze rozbudziwszy życie, zamknęły dawniejszy okres. Na tem i my też zamykamy karty niniejszego pamiętnika. Nowe te stosunki i zmiany za nadto jeszcze są bliskie dnia dzisiejszego, za nadto powikłane tysiącem nici z chwilą obecną, aby się dały dziś już w należytem świetle dokładnie przedstawić.

Pisałem w Jaryszowie
na Podolu.

Grudzien 1876 — Marzec 1877.



Przypisy.

Do str. 49. Ostatnią pracą naukową Walentego Chłędowskiego było dzieło obejmujące wykład zasad estetyki *Umniectwo i natura*, którego rękopis przysłał był ze wsi roku 1840 Bielowskiemu do oceniaenia. Ponieważ we Lwowie nie było podówczas nakładcy na dzieła tego rodzaju, radził mu Bielowski aby je posłał do druku do *Tygodnika literackiego* do Poznania lub do *Biblioteki Warszawskiej*.

Do str. 82 Do podróży do Wilna nakłonił Pola Adam Jocher, który będąc dalekim krewnym Ziętkiewiczów, przybył do nich do Mostek r. 1827 z Wilna. Poznaawszy tutaj Pola i przekonawszy się o jego znajomości literatury niemieckiej i biegłości w tym języku, doradzał mu aby się przysposobił do ubiegania się o mającą zawakować wkrótce katedrę literatury niemieckiej w uniwersytecie wileńskim. W tym celu oddał się Pol studjowaniu literatury niemieckiej, słuchał w latach 1828 i 1829 kursów estetyki i pedagogii na uniwersytecie lwowskim, i wypracował w języku niemieckim *Historję Epopei*. Zawiadomiony listownie przez Jochera o zawakowaniu wzmiankowanej katedry, Pol za przybyciem swem do Wilna w jesieni r. 1830, złożył dowody swego uzdolnienia, został zamianowany zastępcą profesora i wykładał na uniwersytecie wileńskim w kursie zimowym literaturę niemiecką aż do maja, w którym to czasie opuścił Wilno. Najlepsza jego biografia, napisana z materyałów autentycznych przez śp. Maurycego hr. Dzieduszyckiego, znajduje się w VIII tomie zupełnego wydania *Dzieł Wincentego Pola*, dokonanego staraniem rodziny a nakładem księgarza Richtera we Lwowie (1877—1878) dokąd pragnących w tym względzie dokładniejszych wiadomości czytelników odsyłam po sprawdzenie i uzupełnienie szczegółów biograficznych przezemnie z pamięci przytoczonych.

Do str. 89. Umyślnie do tych wykładów geograficznych wymalował Konstanty Macewicz, według wskazówek i wymiarów Pola, widok porównawczy całego łańcucha Karpat, wodnemi farbami na dwóch dużych kartonach, z dokładnem odgraniczeniem stref górskich, oznaczeniem wysokości pojedynczych szczytów, tudzież pokładów geologicznych. Kartony te znajdują się obecnie w zbiorach bibliotecznych Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego.

Do str. 96. Utrzymują że cały zbiór Fauriela jest apokryfem. Cóżkolwiek-
 bądź Borkowskiego rozbiór przekładu Chodźki zawiera prawdy este-
 tyczne na zdrowem poczuciu piękna oparte.

Do str. 133. W pierwszym roku wydawnictwa bito *Dziennika mód pa-
 ryskich* 200 egzemplarzy i to wystarczało.

Głównejsze omyłki druku.

Str.	32	wiersz	4	zamiast: <i>w Laszkowcach</i>	czytaj	w Liczkowcach,
"	34	"	18	" <i>140.000 tomów</i>	"	40.000 tomów,
"	35	"	5	" <i>księcia Józefa</i>	"	księcia Jerzego
"	43	"	20	" <i>verietas</i>	"	varietas,
"	43	"	30	" <i>cechę</i>	"	cechy,
"	43	"	36	" <i>brzmienia</i>	"	brzemiens
"	45	"	18	" <i>pojmwanych</i>	"	przyjmowanych
"	47	"	8	" <i>po r. 1820</i>	"	w roku 1820
"	47	"	11 i nast.	" <i>Brodzki</i>	"	Brody
"	49	"	28	" <i>Fredry</i>	"	Fredry
"	49	"	28	" <i>poezya</i>	"	poezja
"	50	"	14	" <i>zewnętrznęj</i>	"	wewnętrznej
"	54	"	20	" <i>lirycznego potoku</i>	"	lirycznego polotu
"	57	"	1	" <i>Cześć druga</i>	"	Cześć druga (1830—1848)
"	59	"	18	" <i>życie</i>	"	życia
"	64	"	35	" <i>i poczta</i>	"	i nim ją poczta
"	79	"	32	" <i>przytoczeniem kró- ciuchnej</i>	"	przytoczeniem za- kończenia króciuchnej
"	79	"	34	" <i>ona</i>	"	ono
"	79	"	41	" <i>posiadam</i>	"	mam
"	80	"	22	" <i>Hoszanach</i>	"	Dobrzezanach
"	80	"	23	" <i>Rudkach</i>	"	Mostkach
"	81	"	11	" <i>filozoficzną</i>	"	estetyczną
"	81	"	14	" <i>1828</i>	"	1830
"	90	"	5	" <i>w mieście, i Lwów za- interesować żywo dla muzyki</i>	"	w mieście tak mu- zykalnym jak Lwów
"	90	"	33	" <i>następnęj zimy</i>	"	W zimie r. 1864
"	95	"	14	" <i>Miał w tem trochę za- miaru Borkowski</i>	"	Miał w tem trochę próżności Borkowski
"	104	"	35	" <i>przedstawienie</i>	"	przedstawienia
"	106	"	10	" <i>wylamie się</i>	"	wyłania się
"	115	"	23	" <i>Borkowskim</i>	"	Borkowskimi
"	121	"	20	" <i>zarazem</i>	"	a zarazem.